


AMBER

CLIVE CUSSLER



AFERA ŚRODZIEMNOMORSKA

CLIVE CUSSLER

AFERA ŚRÓDZIEMNOMORSKA

CYKL: DIRK PITT TOM 2

Tytuł oryginału THE MEDITERRANEAN CAPER

Autor ilustracji KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Opracowanie graficzne IMI design studio / prepress

Redaktor MIRELLA REMUSZKO

Redaktor techniczny ANNA WARDZAŁA

Copyright (c) 1973 by Clive Cussler Polish edition published by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Published by arrangement with

Peter Lampack Agency, Inc.

551 Fifth Avenue, Suite 2015

New York, N.Y. 10176-0187 USA

ISBN 83-7082-360-2

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1994. Wydanie I Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa

*Dla Amy i Eryka,
aby żeglowali jak najdłużej*

PROLOG

Panował żar jak w piekarniku i była niedziela. W wieży kontroli ruchu powietrznego dyżurny Bazy Lotnictwa Wojskowego Brady przypalił następnego papierosa, położył na przenośnym klimatyzatorze stopy w skarpetkach i czekał, aż się cokolwiek wydarzy.

Nie bez powodu nudził się jak mops: ruch powietrzny był zazwyczaj w niedziele marny, a praktycznie rzecz biorąc - bliski zera, bo w dni świąteczne samoloty bojowe niezmiernie rzadko latały nad Śródziemnomorskim Teatrem Operacyjnym, zwłaszcza że akurat nie dojrzewały żadne napięcia międzynarodowe. Od czasu do czasu siadała lub startowała wprawdzie jakaś maszyna, zwykle jednak chodziło tylko o uzupełnienie paliwa w samolocie, którym jakiś dygnitarz spieszył na konferencję gdzieś w Europie albo Afryce.

Po raz dziesiąty od rozpoczęcia służby kontroler powiódł spojrzeniem po wielkiej tablicy z rozkładem lotów - żadnych startów, a od 16:30, przybliżonego czasu jedyne go dziś lądowania, dzieliło go jeszcze bez mała pięć godzin.

Był młody - niewiele po dwudziestce - i stanowił uderzający dowód przeciwko tezie, że blondyni opalają się kiepsko: każdy widoczny kawałek jego skóry przypominał ciemnoorzechowy fornir, intarsjowany platynową pajęczyną włosków. Cztery paski na rękawie świadczyły, że ma stopień sierżanta sztabowego, a jego mundurowa koszula koloru khaki była nawet pod pachami sucha jak pieprz, chociaż temperatura sięgała 37°C. Zwyczajem powszechnie tolerowanym w jednostkach Air Force, stacjonujących w regionach o gorącym klimacie, miał rozpięty kołnierzyk i nie nosił krawata.

Wychylił się i ustawił klimatyzator w taki sposób, aby strumień chłodnego powietrza owiewał mu nogi. Rad z orzeźwiającego łaskotania uśmiechnął się, splótł dłonie na karku, rozparł się wygodniej i wbił wzrok w metalowy sufit.

Natychmiast przed oczyma jego duszy zamajaczyła towarzysząca mu nieustannie wizja Minneapolis i dziewcząt paradujących po Nicollet Avenue - znów przeliczył w pamięci: jeszcze pięćdziesiąt cztery dni będzie się musiał męczyć, zanim w ramach rotacji wróci do Stanów. Każdą upływającą dobę odfajkowywał ceremonialnie w noszonym na piersi czarnym notesiku.

Ziewnąwszy po raz może dwudziesty wziął z parapetu lornetkę i spojrzał na samoloty, które stały na czarnym asfalcie pod budynkiem wieży kontroli.

Lotnisko zbudowano na leżącej w północnej części Morza Egejskiego wyspie Thasos, oddzielonej od kontynentalnej Macedonii greckiej szesnastomilowym pasem wody, zwanym - jakżeby inaczej - cieśniną Thasos. Lądowy masyw Thasos składa się z czterystu trzydziestu kilometrów kwadratowych skał porośniętych drzewami. Pełno tu starożytnych ruin, datujących się niekiedy z tysięcznego roku przed naszą erą. Baza, skrótowo określana przez jej personel mianem Lotniska Brady, została wybudowana pod koniec lat sześćdziesiątych na mocy traktatu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i rządem greckim, a oprócz eskadry myśliwców złożonej z dziesięciu F-105 starfire na stałe stacjonowały w niej tylko dwa monstrualne transportowce C-133 cargomaster, które połyskując w oślepiającym egejskim słońcu, wyglądały teraz jak para spasionych wielorybów.

W daremnym poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia sierżant kolejno przyglądał się uśpionym maszynom, lotnisko było jednak puste. Większość personelu albo krzepiła się piwem w pobliskim

miasteczku Panaghia, albo zażywała na plaży kąpieli słonecznej, albo też drzemała w klimatyzowanych koszarach. Obecność ludzi sygnalizowała tylko samotna sylwetka żandarma, strzegącego bramy głównej, i pozostające w nieustannym ruchu anteny radarowe, obracające się na dachu betonowego bunkra. Dyżurny powoli uniósł lornetę i pobiegł wzrokiem ponad lazurowymi falami morza: w dniu równie jasnym i bezchmurnym jak dzisiejszy mógł z łatwością dostrzec szczegóły odległego greckiego lądu. Potem skierował szkła na wschód, chwytając fragment linii horyzontu, gdzie ciemny błękit morza stykał się z jasnym błękitem nieba, a po chwili z migotliwej mgiełki rozpalonego upałem powietrza wyłoniła się biała plamka statku, stojącego na kotwicy. Sierżant zmrużył oczy, poprawił ostrość i wreszcie z najwyższym trudem odcyfrował wymalowane na dziobie mikroskopijne czarne literki: Pierwsze Podejście.

Kretyńska nazwa, uznał. Nie potrafił dopatrzeć się w niej sensu. Na kadłubie statku widniały również inne oznakowania - śródokręcie pionową masywną krechę przecinał czarny napis NUMA - Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych.

Zwieszające się nad wodą zakrzywione ramię ustawionego na rufie żurawika dobywało z głębi jakiś podobny do kuli obły przedmiot; na widok krzątających się przy urządzeniu ludzi sierżant doświadczył cichej satysfakcji, że również cywile muszą harować w tym niedzielnym skwarze.

Nagle jego obserwacyjne rozrywki uciał dobiegający z interkomu odczłowieczony głos: - Wieża, tu Radar... Odbiór!

Sierżant odłożył lornetkę i wcisnąwszy guzik uruchomił mikrofon. - Zgłasza się Wieża Kontrolna, Radar. Kto umarł?

- Mam kontakt mniej więcej szesnaście kilometrów na zachód.

- Szesnaście kilometrów na zachód? - zagrzmiął sierżant. - To przecież w głębi wyspy. Praktycznie mamy ten wasz kontakt już nad głową. - Raz jeszcze zerknął na zapisaną wielkimi literami tablicę i upewnił się, że nie ma prawa oczekiwać żadnego lotu, który byłby zaplanowany. - Następnym razem dajcie mi cynk wcześniej, dobra?

- Nie mam bladego pojęcia, skąd się wziął - zadudnił głos z bunkra radarowego. - Przez sześć minionych godzin nie mieliśmy na ekranie w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów dosłownie niczego, co by leciało w naszą stronę.

- No to albo przestańcie kimać na służbie - warknął sierżant - albo sprawdźcie swój cholerny sprzęt. - Zwolnił przycisk mikrofonu, chwycił lornetę, wstał i uważnie popatrzył w kierunku zachodnim.

Był tam... maleńki ciemny punkcik, sunący zaledwie parę metrów ponad wzgórzami. Nadlatywał powoli - z szybkością najwyżej stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Przez kilka chwil wydawało się, że trwa w nieruchomym zawieszeniu, ale potem, niemal błyskawicznie, zaczął nabierać konkretnego kształtu i w okularach lornety zarysowały się wyraziście kontury kadłuba oraz skrzydeł. Tak wyraziście, że o pomyłce nie mogło być mowy. Sierżantowi ze zdziwienia opadła szczeka, gdy suche powietrze wyspy rozdarł terkocząco-dudniący hałas silnika stareńkiego jednomiejscowego dwupłatu o stałym podwoziu ze szprychowymi kołami.

Dziób, zdeformowany sterzącym zgrubieniem rzędowego silnika, miał poza tym opływowy kształt, który jednak na wysokości otwartej kabiny robił się kanciasty. Wielkie drewniane śmigło tłukło powietrze jak stary wiatrak, popychając antyczną maszynę z żółwią ospałością, pokryte zaś płótnem skrzydła o typowych dla wczesnych konstrukcji karbowanych krawędziach spływu płata dygotały i kołysały się na wietrze. Od kołpaka śmigła po koniuszki sterów wysokości cały samolot

był wymalowany na jadowicie żółty kolor. Sierżant odjął od oczu lornetę dokładnie w chwili, gdy maszyna, ukazując dobrze znany krzyż maltański, niemieckie oznakowanie samolotów bojowych z czasów I wojny, przemknęła nad wieżą.

Ściśle rzecz biorąc: przemknęła najwyżej półtora metra ponad nią. Gdyby coś takiego wydarzyło się w innych okolicznościach, sierżant padłby zapewne plackiem na podłogę, zdumienie jednak, wywołane widokiem tego niepojętego rozumowo, a tak przecież materialnego ducha spływającego z zamglonych niebios nad Frontem Zachodnim sprawiło, że stał jak słup soli. Kiedy samolot przelatywał nad wieżą, jego pilot bezczelnie pomachał ze swojej kabiny. Był tak blisko, że sierżant zdołał dostrzec jego rysy, przysłonięte nieco goglami, i wysłużoną czapkę-pilotkę. Widmo z przeszłości uśmiechało się od ucha do ucha, poklepując kolby zamontowanych na osłonie silnika sprzężonych karabinów maszynowych.

Czy chodziło o jakiś monstrualny dowcip? Czy facet był szajbniętym Grekiem, który urwał się z cyrku powietrznego? A w ogóle, skąd przyleciał? Nagle zmysły sierżanta zarejestrowały fakt, iż gdzieś za śmigłem zamigotały dwa świetlne punkciki i oto roztrzaskane okna wieży kontrolnej przestały istnieć.

Czas się zatrzymał i na uśpione Lotnisko Brady wtargnęła wojna. Pilot antycznego myśliwca zataczał kręgi wokół wieży kontroli lotów, schodząc nad ziemię atakował wysmukłe sylwetki leniwie rozpartych na pasie startowym odrzutowców i swymi muzealnymi ośmiomilimetrovymi pociskami dziurkował jak sito i rwał na strzępy cienkie kadłuby FS-105. Trzy z nich, trafione w zbiorniki paliwa, natychmiast stanęły w ogniu tak gwałtownym, że zdołał przemienić asfalt w dymiące kałuże smoły. Raz za razem latający eksponat wznosił się nad lotnisko i spadał, syjąc ołowianym niszczycielskim gradem. Po trzech myśliwcach przyszła kolej na jeden z gigantycznych C-133 cargomasterów, który eksplodował z rykiem płomieni, sięgających wysokości stu metrów.

W wieży kontrolnej pełniący służbę sierżant patrzył oszołomiony na sączącą się z jego piersi czerwoną strużkę krwi. Delikatnie wyszarpał z górnej kieszonki czarny notes i z hipnotyczną fascynacją spojrział na małą, schludną dziurkę w samym środku okładki. Potrząsnął głową, żeby zrzucić czarny welon, który przesłaniał mu oczy, a potem z wysiłkiem dźwignął się na kolana i powiódł dokoła tępym spojrzeniem.

Dosłownie wszystko - sprzęt radiowy, umeblowanie, podłogę - zaścielały roziskrzzone kawałki potłuczonego szkła. Klimatyzator leżał na grzbiecie jak śmiertelnie trafiony mechaniczny zwierzak: sztywne łapy sterczały do góry, a z kilku okrągłych dziurek wyciekał na podłogę płyn chłodzący. Sierżant nieprzytomnie popatrzył na, cudownym zbiegiem okoliczności, nietknięte radio i kalecząc dłonie i nogi ostrymi odłamkami poczołgał się w jego stronę. Sięgnął po mikrofon i chwycił go kurczowo, plamiąc krwią plastikową rączkę.

Ciemność zaczęła ogarniać myśli sierżanta, który zastanawiał się: "Jaka jest właściwa procedura? Co człowiek mówi w podobnej sytuacji?"

Byle co! Byle co!

- Do wszystkich, którzy mnie słyszą. MAYDAY! MAYDAY! Tu Lotnisko Brady. Zostaliśmy zaatakowani przez nie zidentyfikowany samolot. To nie jest alarm ćwiczebny. Powtarzam: Lotnisko Brady zostało zaatakowane...

Rozdział 1

Major Dirk Pitt poprawił kabłąk słuchawek na swoich ciemnych gęstych włosach i powoli kręcąc

gałką częstotliwości usiłował polepszyć odbiór. Potem, z błyskiem zdumienia w oczach koloru akwamaryny, uważnie słuchał przez moment, a na jego ogorzałym czole pojawiły się zmarszczki.

Nie o to chodzi, iż wiadomość, jaką odebrał, była niezrozumiała. Wręcz przeciwnie. Ale po prostu nie mógł dać jej wiary. Jeszcze raz wyteżył słuch w zgiełku, jaki czyniły dwa silniki wodnosamolotu catalina. Słowa, które dobiegały jego uszu, słabły zamiast nabierać mocy. Potencjometr siły głosu był rozkręcony do oporu, od Lotniska Brady zaś dzieliło ich zaledwie czterdzieści osiem kilometrów: w tych okolicznościach meldunek kontrolera ruchu powietrznego powinien rozszarpać bębunki Pitta. Albo siada zasilanie na Wieży, albo kontroler jest poważnie ranny - uznał Pitt. Dumał może minutę, a potem sięgnąwszy w prawo potrząsnął uśpioną sylwetką w fotelu drugiego pilota.

- Koniec drzemki, śpiąca królowno. - Jego głos, cichy z pozoru i naturalny, miał w sobie coś, co sprawiało, że z łatwością przebijał się przez hałas dudniącego silnika czy zgiełk zatłoczonego pokoju.

Kapitan Al Giordino ze znużeniem dźwignął głowę i donośnie ziewnął. W jego ciemnych podkrążonych oczach wyraźnie odbijały się trudy trzynastu godzin, jakie spędził w kabinie starej łodzi latającej bez przerwy wstrząsanej drgawkami. Wyrzucił w górę ramiona, nabrał powietrza w niezwykle pojemne płuca i przeciągnął się aż zatrzeszczały stawy. Potem siadł prosto i wysunąwszy głowę wbił spojrzenie w przestrzeń rozciągającą się za szybami kabiny.

- Jesteśmy już nad Pierwszym Podejściem! - wymamrotał znowu ziewając.

- Prawie - odparł Pitt. - Thasos na wprost przed nami.

- O kurczę - mruknął Giordino, a potem skrzywił usta w uśmiechu. - Mogłem sobie jeszcze pospać dobrych dziesięć minut. Czemuś mnie obudził?

- Przechwyciłem z Brady wiadomość, że lotnisko zostało zaatakowane przez nie zidentyfikowany samolot.

- Chyba mnie podpuszczasz - powiedział z niedowierzaniem Giordino. - To musi być jakiś kawał.

- Nie, wcale tak nie sędzę. Z głosu kontrolera nie wynikało, że wpuszcza mnie w maliny. - Pitt zawahał się, cały czas uważnie obserwując fale, które przemykały najwyżej piętnaście metrów pod kadłubem cataliny. Dla wprawy i utrzymania refleksu w dobrej formie, przez ostatnie kilometry leciał tuż nad morzem.

- Niewykluczone, że Wieża Brady mówi pełną prawdę - stwierdził Giordino, wciąż wpatrzony w okno. - Tylko spójrz tam, na wschodnią część wyspy.

Obaj mężczyźni skoncentrowali całą uwagę na wyłaniającym się z morza kopulastym skrawku stałego lądu. Opustoszałe plaże, graniczące z białą wstążką przyboju, były żółte, a stoki łagodnych pagórków pokrywała zieleń drzew. Kolory te, rozmyte przez fale ciepła, żywo kontrastowały z błękitem Morza Egejskiego. Gdzieś z południowego obszaru Thasos biła w bezwietrzne niebo wielka kolumna dymu, tworząc nad wyspą olbrzymią, spiralnie skręconą czarną chmurę. Gdy dziób cataliny przybliżył się do Thasos nieco bardziej, Pitt i Giordino dostrzegli migotanie płomieni.

Pitt chwycił mikrofon i wcisnął guziczek na jego rączce. - Wieża Brady, Wieża Brady, tu Papa-Bravo-Yankee-086, odbiór. - Nie było odpowiedzi i Pitt jeszcze dwukrotnie powtórzył wezwanie.

- Cisza? - zapytał Giordino.

- Grobowa - odparł Pitt.

- Powiedziałeś: nie zidentyfikowany samolot. Rozumiem, że chodziło o jeden?

- Dokładnie takich słów użyła przed zamknięciem Wieża Brady.

- To kompletnie bez sensu. Dlaczego jeden samolot miałby atakować bazę sił powietrznych Stanów Zjednoczonych?

- Bóg raczy wiedzieć - odrzekł Pitt, pociągając lekko drążek sterowy. - Może to jakiś grecki kmicz, wpięprzony, że nasze odrzutowce płoszą mu kozy? Tak czy inaczej, nie jest to atak na dużą skalę, bo w takim razie Waszyngton już by nas powiadomił. Pożyjemy, zobaczymy. - Pitt potarł oczy, aby odegnać z nich senność. - Przygotuj się, zamierzam wznieść się wyżej, zatoczyć krąg nad tymi wzgórkami i mając słońce za sobą zejść na dół, żeby się dokładniej wszystkiemu przyjrzeć.

- Tylko bez żadnych numerów, zgoda? - poprosił Giordino marszcząc brwi i uśmiechając się z powagą. - Ten stary karawan będzie mocno do tyłu, jeśli czeka tam na nas odrzutowiec uzbrojony w rakiety.

- Nie bój bida - powiedział ze śmiechem Pitt. - Mój główny cel w życiu polega na tym, żeby najdłużej, jak to możliwe, uchować się w zdrowiu. - Pchnął manetki przepustnicy i dwa silniki Pratt & Whitney Wasp wyraźnie zwiększyły obroty, a potem, zręcznie manipulując drążkiem skierował w słońce spłaszczony ryj samolotu; catalina z sekundy na sekundę zwiększała wysokość i nad górami Thasos ruszyła po łuku w stronę potężniejącej chmury dymu.

Nagle w słuchawkach Pitta zahuczał głos - ten sam co przedtem, ale teraz nierównie mocniejszy. Omal nie ogłuszył Pitta, zanim ten zdołał go wyciszyć.

- Wzywa Wieża Brady. Zostaliśmy zaatakowani! Powtarzam: zostaliśmy zaatakowani! Odezwijcie się... Błagam, niech się ktokolwiek odezwie! - Głos brzmiał nieomal histerycznie.

- Wieża Brady, tu Papa-Bravo-Yankee-086. Odbiór - powiedział Pitt.

- Bogu dzięki - dobiegło w odpowiedzi westchnienie.

- Próbowałem wywołać cię już wcześniej, Wieża Brady, ale zniknąłeś z eteru.

- Zostałem trafiony podczas pierwszego ataku i... i chyba straciłem przytomność. Teraz już czuję się lepiej. - Głos się łamał, lecz słowa były zrozumiałe.

Jesteśmy w przybliżeniu piętnaście kilometrów od was na wysokości tysiąca ośmiuset metrów - powiedział powoli Pitt, nie powtarzając swoich zamiarów. - Jak wygląda sytuacja?

- Jesteśmy bezbronni. Wszystkie nasze jednostki zostały zniszczone na ziemi. Najbliższa eskadra myśliwców przechwytyjących stacjonuje o kilkaset kilometrów stąd. Żadnym cudem nie dotrze tu na czas. Możecie nam pomóc?

Pitt odruchowo pokręcił głową. - To nie wchodzi w grę, Wieża Brady. Nie wyciągam nawet trzystu kilometrów na godzinę i na pokładzie mam zaledwie dwa karabiny. Walka z odrzutowcem byłaby tylko stratą czasu.

- Proszę, pomóżcie - powiedział błagalnie głos. - Samolot, który nas zaatakował, nie jest odrzutowym bombowcem, lecz dwupłatem z czasów pierwszej wojny. Pomóżcie...

Pitt i Giordino, kompletnie zbici z pantałyku, popatrzyli po sobie i minęło pełnych dziesięć sekund, zanim Pitt wziął się w garść.

- Dobra, Wieża Brady, lecimy. Miejmy tylko nadzieję, że nie dałeś plamy z identyfikacją napastnika, bo w przeciwnym wypadku dwie siwowłose matusie pograżą się w cholernej żalobie, kiedy ja i mój drugi pilot kopniemy w kalendarz. Bez odbioru. - Potem Pitt odwrócił się do Giordino i zachowując niewzruszony wyraz twarzy wyrzucił szybko, pewnie i rzeczowo: - Idź na tył, otwórz luki, weź karabin i rób za snajpera.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedział oszołomiony Giordino.

Pitt pokręcił głową. - Ja też nie kupuję tego bez zastrzeżeń, ale musimy do chłopaków z ziemi wyciągnąć pomocną dłoń. A teraz zasuwasz.

- Zrobię to - wymamrotał Giordino - ale wciąż nie wierzę.

- Praca myślowa to nie twoja działka, brachu. - Pitt, z przelotnym uśmiechem, lekko szturchnął Giordino w ramię. - Powodzenia.

- Tobie też się przyda. Krwawisz równie łatwo jak ja - odparł przytomnie Giordino, a potem, mrużąc pod nosem, wstał z fotela drugiego pilota i ruszył w głąb samolotu. Kiedy znalazł się w ładowni, wyjął z szafki ściennej karabin kaliber .30 i założył magazynek z piętnastoma nabojami. Otworzył luk, a rozgrzane powietrze smagneło go po twarzy i wypełniło całą ładownię. Raz jeszcze sprawdził broń, a gdy zasiadł w oczekiwaniu, znów pomyślał o swym przyjacielu pilotującym samolot.

Giordino znał Pitta od bardzo dawna. Bawili się ze sobą jako chłopcy, w szkole średniej byli członkami tej samej drużyny lekkoatletycznej, umawiali się z tymi samymi dziewczynami. Żaden facet na świecie nie znał Pitta tak dobrze jak Giordino... ani, skoro o tym mowa, żadna kobieta. W Picie mieszkało dwóch różnych ludzi. Był zatem ów kompetentny perfekcjonista Dirk Pitt, który rzadko popełniał błędy, a zarazem - co stanowi doprawdy nieczęstą kombinację przymiotów - nie miał w sobie szczypty zarozumiałości, za to mnóstwo humoru i wielką łatwość nawiązywania kontaktów i zawierania przyjaźni. Ale był jeszcze ten drugi Pitt, melancholijny Pitt, który na długie godziny zamykał się w sobie i jak gdyby pogrążony bez reszty w jakiejś fantastycznej mrzonce, stawał się człowiekiem nieprzystępnym i wyniosłym. Musiał wprowadzić istnieć klucz, zdolny otworzyć drzwi, dzielące tych dwóch Pittów, ale Giordino nigdy go nie znalazł. Wiedział tylko, że - odkąd w minionym roku opodal Hawajów Pitt stracił ukochaną kobietę - znacznie częściej niż kiedyś popadał w zmienne nastroje.

Giordino przypomniał sobie jeszcze jedną przemianę: otóż na moment przed wyjściem z kabiny pilotów spostrzegł, że ciemnozielone oczy Pitta stają się w obliczu niebezpieczeństwa świetliście jasne. Takie oczy widział dotąd tylko raz w życiu; zerknął na swoją prawą dłoń, w której brakowało palca, i z lekka się wzdrygnął. Potem oderwał myśli od wspomnień i wróciwszy do teraźniejszości odbezpieczył karabin. I wtedy - rzecz osobliwa - poczuł się niczym nie zagrożony.

Twarz siedzącego w kabinie Pitta mogłaby stanowić rzeźbiarskie studium męskości. Pitt nie był przystojniakiem w typie amanta filmowego, wręcz przeciwnie, i kobiety z rzadka - jeśli w ogóle - z własnej inicjatywy padały mu do stóp. Zazwyczaj w jego obecności nieco strwożone i zakłopotane, wyczuwały szóstym zmysłem, iż nie jest mężczyzną skłonny do czynienia zadość niewieścim zachciankom czy też wdawać się w głupawe kokietyjne gierki. Pitt przepadał za damskim towarzystwem i miękkością kobiecych ciał, a zarazem chorobliwie nie znosił owych sztuczek, kłamstewek oraz innych kretyńskich zabiegów, do jakich trzeba się uciec, aby uwieść przeciętną samicę. Nie brakowało mu kunsztu w sztuce zwabiania kobiet do łóżka - zasługiwał w tej mierze na miano eksperta - po prostu musiał pokonać w sobie ogromne opory wewnętrzne, by podjąć tę grę. Preferował kobiety bezpośrednie i szczere, które jednak były towarem niezmiernie trudno dostępnym na rynku.

Pitt pchnął drążek sterowy i catalina obniżyła dziób, schodząc płytkim lotem nurkowym w kierunku piekła, jakie rozpętało się na Lotnisku Brady; białe wskazówki wysokościomierza cofając się po swojej czarnej tarczy rejestrowały powolne opadanie. Pitt wyostrzył kąt schodzenia i

dwudziestopięcioletni samolot - skonstruowany z myślą o niezawodności, dużym zasięgu i powolnych lotach zwiadowczych, nie zaś rekordach szybkości - zaczął wyczuwalnie wibrować.

Pitt wystąpił o zakup tej maszyny, kiedy na żądanie admirała Jamesa Sandeckera, został - zachowując stopień majora - oddelegowany z Air Force do NUMY na okres, wedle dokumentów, nie określony. Oficjalna nazwa jego funkcji - Ładowo-Pokładowy Specjalista ds. Bezpieczeństwa - to, zdaniem Pitta, wyłącznie wydumany eufemizm. Pitt stał się bowiem szpeniem od wszelkich kłopotów. Ilekroć takie czy inne przedsięwzięcie rozbijało się o jakąś przeszkodę bądź problem natury nienaukowej, właśnie on miał usunąć trudności i przywrócić status quo ante. I stąd wziął się postulat kupna wodnosamolotu. Catalina-086 P była, powolna wprawdzie jak żółw, mogła jednak bez trudu przewozić pasażerów i ładunki, a także - co istotniejsze, skoro bez mała dziewięćdziesiąt procent operacji NUMY miało miejsce na otwartym morzu - lądować na wodzie i z niej startować.

Nagle uwagę Pitta przykuł barwny błysk na czarnym tle chmury. Był to jaskrawożółty samolot, który nagle skręcił ostro i zanurkował w obłok dymu. Pitt cofnął manetki przepustnicy, żeby zredukować prędkość, z jaką obniżała lot catalina, i nie przemknąć zbyt szybko obok niezwyklego przeciwnika. Żółty samolot niczym diabeł z pudełka wyprysnął z chmury po jej przeciwnej stronie i - co było doskonale widoczne - ponowił atak na Lotnisko Brady.

- Niech mnie wszyscy diabli - zahuczał donośnie Pitt. - To stary niemiecki myśliwiec typu Albatros.

Catalina nadlatywała wprost od strony słońca i pochłonięty bez reszty swym niszczycielskim zajęciem pilot albatrosa nie mógł jej widzieć. Pitt zbliżając się do przeciwnika uśmiechnął się ironicznie. Ubolewał jedynie, że w dziobie cataliny nie drzemią kaemy, gotowe rzygnąć ogniem. Lekko przycisnął lewy orczyk i odszedł w bok, żeby Alowi Giordino otworzyć lepsze pole ostrzału. Catalina, wciąż niepostrzeżenie, nadlatywała z rykiem silników, przez który jednak przebił się nagle odgłos karabinowych wystrzałów.

Znajdowali się prawie nad albatrosem, kiedy stercząca z otwartej kabiny głowa w skórzanej pilotce zaczęła się obracać; byli tak blisko, że Pitt dostrzegł, jak na widok nadlatującego od strony słońca wodnosamolotu opadła szczeka faceta za sterami żółtej maszyny - myśliwy stał się ofiarą. Zanim wziął się w garść i przewaliwszy albatrosa na grzbiet zdołał uciec w bok, Giordino opróżnił w jego kierunku cały magazynek.

Posępny, absurdalny dramat, rozgrywający się na zasnutych dymem niebiosach ponad Lotniskiem Brady wszedł w nowy etap, kiedy wodnosamolot z czasów drugiej wojny światowej stawiał czoło myśliwcowi z pierwszej wojny. Catalina była szybsza, albatros jednak miał przewagę, jaką dają dwa karabiny maszynowe i nieporównanie większa manewrowość. Mniej znany niż współczesny mu fokker, był wszakże doskonałym samolotem myśliwskim i w latach 1916-1918 prawdziwym wołem roboczym Cesarskiej Floty Powietrznej.

Albatros wykonał nagły zwrot z półbeczki i zaatakował catalinę. Pitt zareagował błyskawicznie: szarpnął do siebie drążek sterowy i modląc się gorąco, aby skrzydła nie oderwały się od kadłuba, wprowadził wodnosamolot w pętlę. Zapomniał o wszelkiej ostrożności i powszechnie stosowanych zasadach pilotażu; krew zawrzała w nim uniesieniem, jakie towarzyszy tylko walce jeden na jednego. Nieomal słyszał trzask nitów, kiedy łódź latająca przewaliła się na grzbiet. Jego nietypowy zwód kompletnie zaskoczył przeciwnika i bliźniacze nitki ognia z dziobu żółtego samolotu poszły Panu Bogu w okno.

Wykonawszy ostry skręt w lewo albatros znalazł się z cataliną na kursie kolizyjnym: Pitt widział

ogniki pocisków smugowych mniej więcej trzy metry poniżej swojej kabiny. Dzięki Bogu, że facet jest kiepskim strzelcem, pomyślał, czując jednak, w miarę jak samoloty zbliżały się do siebie, narastający skurcz w żołądku.

Wyczekał do ostatniego momentu, pchnął nos cataliny w dół i szybkim nawrotem uzyskał dla swej maszyny na jedną krótką chwilę uprzywilejowaną pozycję ponad i za albatrosem; Al Giordino ponownie otworzył ogień. Żółty samolot wywinął się spod karabinowej salwy nurkując pionowo ku ziemi i Pitt na moment stracił go z oczu. Natychmiast odszedł w prawo, przepatrując niebo, ale było już za późno - przewidział raczej niż usłyszał łomot pocisków, wgryzających się w poszycie latającej łodzi. Jadowitemu żądłu małego samolociku uszedł tylko dlatego, że gwałtownie zmusił catalinę do wykonania manewru spadającego liścia, ale tym razem naprawdę niewiele brakowało.

Nierówny bój, mający za jedynych widzów grupkę wojskowych, którzy jak oczarowani obserwowali go z ziemi, trwał osiem pełnych minut. Potem samoloty minąwszy linię nadbrzeża przeniosły się nad morze, gdzie doszło do ostatniej rundy.

Pitt był już zlany potem: słone połyskliwe kropelki jedna za drugą, niczym zostawiający smugowy ślad mikroskopijne ślimaki, spełzały w dół jego twarzy. Przeciwnikowi nie brakowało sprytu, ale jeśli chodzi o strategiczne sztuczki, Pitt też nie wypadł sroce spod ogona. Z bezgraniczną cierpliwością, czerpaną z Bóg wie jakich rezerw, utajonych w jego organizmie, wyczekiwał odpowiedniego momentu, a kiedy ten wreszcie nadszedł - Pitt był przygotowany.

Albatros zdołał usytuować się za cataliną i nieco ponad nią, Pitt jednak nie zmieniał szybkości; pilot żółtego myśliwca, przekonany o rychłym zwycięstwie, podszedł na czterdzieści metrów do ogona wodnosamolotu, zanim jednak zagadały jego kaemy, Pitt przymknął przepustnicę i opuścił klapy sprawiając, że jego wielka maszyna nieomal stanęła w miejscu. Zaskoczony facet z albatrosa przemknął nad latającą łodzią, zaliczając przy okazji w silnik kilka dobrze i z bliskiej odległości wymierzonych kulek. Pitt ujrzał, że tuż przed kabiną wodnosamolotu albatros odszedł w bok, a jego pilot zsuwa gogle na czoło i z szacunkiem, jaki jeden odważny człowiek potrafi okazać drugiemu, unosi dłoń w krótkim salucie. Potem, ciągnąc za sobą czarną smugę dymu potwierdzającą umiejętności strzeleckie Ala Giordino, żółty samolocik zawrócił i mając pod sobą wyspę, skierował się na zachód.

Cataliną, wyhamowana niemal do zera, wchodziła teraz w lot nurkowy, więc Pitt przez kilka dramatycznych sekund musiał borykać się z urządzeniami sterowniczymi zanim wyrównał lot. Potem łagodnym łukiem rozpoczął wznoszenie. Znalazłszy się na wysokości tysiąca pięciuset metrów ponownie wyrównał lot i uważnym spojrzeniem omiół wyspę oraz najbliższy spłacheć morza. Nie dostrzegł jednak jaskrawożółtej maszyny z krzyżem maltańskim. Zniknęła. Rozwiała się jak dym.

Ten żółty albatros był mu skądś znany i Pitt pomyślał, że oto zapomniany upiór z przeszłości powrócił, aby go prześladować. Niesamowite uczucie ustąpiło jednak równie szybko, jak się pojawiło; Pitt głęboko westchnął, napięcie zelzało, mógł się z ulgą rozluźnić.

- No to kiedy załapuję się na oznakę strzelca wyborowego? - zapytał Giordino od drzwi kabiny. Mimo paskudnej rany na głowie uśmiechał się od ucha do ucha. Krew ściekając po prawej skroni i policzku, plamiła kołnierz jego jaskrawej, kwiecistej koszuli.

- Musisz poprzestać na tym, że kiedy wylądujemy, postawię ci drinka - odparł Pitt, nie odwracając głowy.

Giordino wsunął się w fotel drugiego pilota. - Czuję się tak, jakbym przed chwilą zaliczył w Disneylandzie przejażdżkę górską kolejką - oznajmił.

Pitt nie potrafił powstrzymać szerokiego uśmiechu. Przez chwilę milczał, rozluźniony i wygodnie rozparty, a potem spojrzał na Ala spod przymrużonych powiek. - Co ci się stało? Dostałeś kulkę?

Giordino obdarzył Pitta kpiąco-żałosnym spojrzeniem. - Skąd ci strzeliło do łba, że możesz cataliną robić pętle?

- Wtedy uznałem to za sensowny manewr - odparł Pitt z błyskiem w oku.

- Następnym razem uprzedź pasażerów. Rzucalo mna po ładowni jak piłką.

- W co walnałeś? - zapytał Pitt, unosząc brwi.

- Musisz wiedzieć?

- Więc?

Giordino był wyraźnie zakłopotany. - Jeśli naprawdę musisz: w kławkę od sracza.

Po krótkiej chwili Pitt odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem tak zaraźliwym, że Al mu zawtórował. Zagłuszając silniki rechotali niemal przez trzydzieści sekund, potem jednak dotarła do nich powaga ich obecnego położenia.

Pitt wciąż miał trzeźwy umysł, ale z wolna zaczynało opanowywać go znużenie. Długie godziny lotu i napięcie ledwie skończonej walki przytłaczało go i przejmowało odrętwiającym chłodem jak gęsta wilgotna mgła. Rozmyślał o rozkosznych zapachu mydła pod zimnym prysznicem, o szorstkim dotyku wykroch-malonej pościeli - i nagle te rzeczy stały się dlań niezwykle istotne. Zerknąwszy przez szybę na Lotnisko Brady uświadomił sobie, że ich pierwotnym celem było Pierwsze Podejście, powodowany jednak instynktem czy też mętnym przeczuciem zmienił teraz plany.

- Chyba powinniśmy odpuścić sobie lądowanie na wodzie obok Pierwszego Podejścia i jak Bóg przykazał siąść na ziemi. Coś mi mówi, że mamy w kadłubie kilka dziurek.

- Nie głupi pomysł - odparł Giordino. - Nie mam nastroju na skakanie ze spadochronem.

Wielki wodnosamolot zszedł nad zasłany żelastwem pas startowy, a kiedy wylądował na wyżarzonym asfalcie, podwozie podskoczyło wśród jadowitego pisku gумы, jakie zwykle towarzyszy przyziemieniu.

Trzymając się z dala od płomieni, Pitt pokołował na przeciwległy skraj płyty lotniska, gdy zaś catalina stanęła w miejscu - wyłączył zapłon i już po chwili dwa srebrne śmigła wytraciły obroty i zastygły nieruchomo, lśniąc w mocnym egejskim słońcu.

Pitt i Giordino przez jakiś czas siedzieli bez słowa, wchłaniając w siebie pierwsze rozkoszne sekundy ciszy, która zapanowała w kabinie pilotów po trzynastu godzinach zgiełku i wibracji, a potem Pitt odryglował boczne okienko, otworzył je i z beznamietnym zainteresowaniem zaczął przypatrywać się zwalczającym ogniste piekło strażakom z bazy. Wężę, jak autostrady na mapie samochodowej, wiły się dosłownie wszędzie, wrzeszczący zaś i miotający się ludzie powiększali tylko wrażenie ogólnego chaosu. Ogień trawiący FS-105 został prawie opanowany, ale jeden z cargomas-terów C-133 wciąż gwałtownie płonął.

- Tylko tam popatrz - powiedział Giordino wyciągając ramię.

Pitt przechylił się nad tablicą rozdzielczą i przez okna Ala Giordino zobaczył, że po płycie lotniska zmierza slalomem w ich kierunku niebieski kombi Air Force, wiozący kilku oficerów, za samochodem zaś, niczym sfera ujadających ogarów, gna trzydziestu czy czterdziestu szeregowych,

którzy wiwatują jak wściekli.

- Oto co nazywam prawdziwie zajebistym komitetem powitalnym - powiedział rozbawiony Pitt, uśmiechając się szeroko.

Giordino przetarł krwawiące rozcięcie chusteczką do nosa, a potem, gdy już dokładnie przesiąkła, zwinął ją w kłębek, wyrzucił przez okno i spojrzawszy na niedaleki brzeg morski utonął na moment w głębokiej zadumie. W końcu zwrócił się do Pitta: - Chyba nie muszę ci mówić, jaki mieliśmy cholerny fart, że tu siedzimy?

- Nie, nie musisz - odparł Pitt głucho. - Przynajmniej dwa razy byłem pewien, że ten duch nas załatwi.

- Chciałbym wiedzieć, kim, do diabła, był i o co chodzi w tej całej rozróbie.

Na twarzy Pitta malowała się analityczna ciekawość. - Jediną przesłanką jest ten żółty albatros.

Giordino spojrzał na przyjaciela pytająco. - A jakie znaczenie mógłby mieć kolor tego latającego rupiecia?

- Gdybyś przykładał się do lekcji z historii awiacji - odparł Pitt nie bez życzliwej ironii - byłbyś sobie zapewne przypomniał, że piloci niemieccy z czasów I wojny światowej zwykli malować samoloty na "prywatne", choć niekiedy dziwaczne kolory.

- Odłóż ten wykład z historii na później - burknął Giordino. - W tej chwili chcę się tylko wykaraskać z tej sauny i skasować drinka, którego mi jesteś winien. - Wstał z fotela i ruszył w stronę wyjścia.

Sekundę później koło srebrzystej latającej łodzi gwałtownie zatrzymał się niebieski samochód. Wszystkie jego drzwi rozwarły się na oścież, a na płytę lotniska wysypali się pasażerowie, którzy wśród wrzasku zaczęli łomotać pięściami we właz cataliny. Zaraz potem cały samolot opadli rozentuzjasmowani żołnierze.

Pitt nie wstawał z miejsca i tylko machając zza szyby dłonią, odpowiadał na radosne powitania. Jego ciało było odrętwiałe i znużone, umysł jednak wciąż pracował na pełnych obrotach. Dwa słowa kołatały nieustannie w myślach Pitta, który wreszcie wymruczał je na głos. "Jastrząb Macedonii".

- Co mówisz? - zapytał Giordino odwracając się od wyjścia.

- Nic, zupełnie nic - odrzekł Pitt, wzdychając długo i donośnie. - Chodźmy... postawię ci wreszcie tego drinka.

Rozdział 2

Kiedy Pitt się obudził, było jeszcze ciemno. Nie miał pojęcia, jak długo spał - może się tylko zdrzemnął, a może zasnął na wiele godzin; nie wiedział i nic go to nie obchodziło. Daremnie przewracał się z boku na bok, szukając przy wtórze skrzypu sprężynowego łóżka najwygodniejszej pozycji - ulga, jaką przynosi tylko głęboki sen, wciąż była nieosiągalna. Świadomą częścią swojej duszy usiłował odgadnąć powody takiego stanu rzeczy. Czy przeszkadza mu monotony pomruk klimatyzacji? Nie, bo przecież nauczył się sypiać wśród jazgotliwego hałasu silników lotniczych. Może więc natarczywe karaluchy? Bóg świadkiem, że na Thasos się od nich roi. Nie, chodziło o coś innego. Wtedy pojął. To ta druga, nieświadoma, część jego duszy nie pozwalała mu zasnąć. Niczym projektor filmowy wciąż, bez przerwy wyświetlała obrazy z niezwykłych zdarzeń minionego dnia.

Był wśród nich jeden, który wybijał się ponad wszystkie inne - pewna fotografia z galerii Cesarskiego Muzeum Wojny. Pitt wyraźnie ją sobie przypominał: aparat uwiecznił niemieckiego lotnika z czasów I wojny światowej, pozującego obok samolotu myśliwskiego. Ubrany w lotniczy

strój, trzymał dłoń na łbie olbrzymiego białego owczarka. Pies, pełniący najwyraźniej rolę maskotki, miał wywalony ozór i pobłażliwie spoglądał na swojego pana. Lotnik patrzył w obiektyw aparatu. Miał chłopięcą twarz, która wydawała się bezbronna bez typowych pruskich atrybutów: monokla i korporanckiej blizny. Jednak wyniosłość teutońskiej postawy wojskowej można było wyczytać z cienia aroganckiego uśmiechu na wargach i sylwetki tak wyprostowanej, jakby jej właściciel kij połknął.

Pitt zapamiętał nawet informację, którą umieszczono pod fotografią:

JASTRZĄB MACEDONII

Porucznik Kurt Heibert z Jagdstaffel 91. zaliczył na Froncie Macedońskim trzydzieści jeden zwycięstw nad lotnikami sprzymierzonych; jeden z wybijających się asów wielkiej wojny. Przypuszczalnie zestrzelony, zaginął nad Morzem Egejskim 15 lipca 1918 roku.

Przez jakiś czas Pitt leżał nieruchomo wpatrując się w ciemność, by uznać wreszcie, że tej nocy już nie zaśnie. Uniósł się, wsparł na łokciu i wzięwszy z nocnego stolika swoją omegę, przybliżył zegarek do oczu. Jego fosforyzujące wskazówki pokazywały czwartą dziewięć. Pitt usiadł na łóżku i spuścił bose stopy na podłogę z płytek PCW, potem z paczki leżącej obok zegarka wyjął papierosa i przypalił go srebrną zapalniczką. Wstał z papierosem w zębach, przeciągnął się i nagle wykrzywił twarz, gdy boleśnie zapiekły go mięśnie grzbietu, któremu wiwatujący ludzie z Brady nie szczędzili wczoraj poklepywali. Pitt uśmiechnął się w duszy na wspomnienie owej lawiny gratulacji i uścisków dłoni, jaką zostali z Alem zasypani po wyjściu z kabiny wodnosamolotu.

Blask księżycyca, wpadający szeroką smugą przez okno pokoju, i ciepłe czyste powietrze nadchodzącego ranka podkreśliły Pitta, który ściągnął gatki i tak długo po omacku myszkował w swoich bagażach, aż rozpoznał dotykiem znajomą tkaninę kąpielówek. Założył je, wziął z łazienki ręcznik i wyszedł w ciszę przedświt.

Księżyc, tak świetlisty bywa tylko w regionach śródziemnomorskich, natychmiast skąpał go w blasku od stóp do głów i obnażył fantastyczną, nieco upiorną pustkę pejzażu. Na rozgwieżdżonym niebie droga mleczna kładła się jak wielki biały ornament, wyhaftowany na czarnym aksamicie.

Z kwater oficerskich Pitt ruszył alejką w stronę bramy głównej; przystanąwszy na moment spojrzął na opustoszały pas startowy i spostrzegł, że tu i ówdzie w szeregach obrzeżających go wielobarwnych świateł widnieje czarna wyrwa. Zapewne, doszedł do wniosku, część systemu sygnalizacyjnego została zniszczona podczas ataku, niemniej jednak dla pilota, dokonującego nocnego lądowania, ogólny wzór był nadal czytelny. Na drugim końcu płyty, za poprzerwanymi nitkami światełek, dostrzegł ciemną, opuszczoną sylwetkę cataliny, która przywiodła mu na myśl kaczkę wysiadującą jajka. Uszkodzenia, jakie pociski wyrządziły jej kadłubowi, okazały się nieznaczące i ludzie z ekipy technicznej solennie obiecali, że do naprawy, która miała potrwać trzy dni, wezmą się z samego rana. Dowódca bazy, pułkownik James Lewis, dał wyraz swemu ubolewaniu, iż remont tak się przeciągnie, musiał jednak większość techników skierować do pokieroszowanych odrzutowców i ocalałego cargomastera C-133. W związku z tym Pitt i Giordino uznali, że przyjmą zaproszenie pułkownika, by tymczasem zamieszkać w bazie, używając welbotu Pierwszego Podejścia do przerzucania się z lądu na statek i odwrotnie; ten układ odpowiadał wszystkim, bo Pierwsze Podejście dysponowało niewieloma kajutami i wszystkie były straszliwie zatłoczone.

- Coś kapkę za wcześniej na kąpiel, nie, brachu?

Wyrwany tymi słowami z zadumy, Pitt stwierdził, że stoi w jaskrawobiałym świetle reflektora, umocowanego na dachu budki strażniczej przy bramie głównej. Budka, zdolna pomieścić najwyżej

jednego człowieka, stała na obudowanej krawężnikiem wysepce, oddzielającej pasy ruchu dla pojazdów wjeżdżających i wyjeżdżających. Z drzwi budki wyszedł krępy niedźwiedziowaty żandarm i przyjrzał się Pittowi badawczo.

- Nie mogłem spać - powiedział Pitt i natychmiast ugryzł się w język, że nie potrafił wykrzesać z siebie czegoś bardziej oryginalnego. Ale w końcu do cholery z tym, pomyślał, przecież to stuprocentowa prawda.

- Trudno ci się dziwić - stwierdził żandarm. - Po tych dzisiejszych historiach chyba nikt w bazie nie śpi jak niemowlę. - Samo słowo "sen" wyzwoliło odruch i wartownik szeroko ziewnął.

- Musisz się piekielnie nudzić przesiadując tu po całych nocach - zagadnął Pitt.

- Taa, nudy na pudy - odparł żandarm i zahaczył kciuk jednej dłoni o pas, podczas gdy drugą wsparł na kolbie zawieszzonego u biodra colta .45 automatic. - Jeśli chcesz wyjść z bazy, pokaż lepiej przepustkę.

- Wybacz, ale nie mam. - Pitt zapomniał poprosić pułkownika Lewisa o przepustkę umożliwiającą opuszczenie Lotniska Brady i wchodzenie na jego teren.

Na twarzy wartownika zagościł wyraz twarzy właściwy ludziom groźnym i twardym. - No to lepiej zasuway po nią do koszar. - Pacnął ćmę, która zmierzając ku światłu zderzyła się z jego obliczem.

- To by była czysta strata czasu, bo w ogóle nie mam przepustki - powiedział z bezradnym uśmiechem Pitt.

- Nie odstawiaj głupka, brachu. Nikt bez przepustki nie przejdzie przez tę bramę w jedną czy drugą stronę.

- A jednak dałem sobie radę.

Oczy żandarma stały się podejrzliwe. - Jakim cudem?

- Przyleciałem.

Wyraz kompletnego zaskoczenia całkowicie odmienił twarz wartownika, a jego oczy - co w blasku reflektora było doskonale widoczne - rozjarzyły się ciepło. Zbagatelizował nawet fakt, iż z jego białą czapką zderzyła się kolejna przelatująca ćma.

- To ty jesteś pilotem tej cataliny! - wyrzucił z siebie.

- Przyznaję się bez bicia - odparł Pitt.

- Ano, muszę uścisnąć ci grabę. - Usta żandarma rozchyliły się w szerokim uśmiechu, ukazując komplet uzębienia. - To był najlepszy lotniczy popis, jaki w życiu widziałem - stwierdził wyciągając masywną dłoń.

Pitt podał swoją i skrzywił twarz w grymasie: miał krzepki uścisk, ale przy tym, co zademonstrował wartownik, było to ledwie muśnięcie. - Dzięki, tyle że czułbym się znacznie lepiej, gdyby tamten się rozbił.

- E, do diabła, nie mógł zalecieć daleko. Ten rżech dymił jak komin, kiedy przelatywał nad wzgórzami.

- Może spadł po tamtej stronie?

- Nic z tych rzeczy. Pułkownik zapędził do poszukiwań cały szwadron żandarmerii lotniczej. Aż do zmroku miotaliśmy się dżipami po całej wyspie i gówności znaleźli - oznajmił z niesmakiem. - Najbardziej wkurza mnie to, żeśmy spóźnili się do bazy na wyżerkę.

Pitt szeroko się uśmiechnął. - No więc albo runął do morza, albo jakimś cudem dociągnął nad kontynent i spadł dopiero tam.

Żandarm wzruszył ramionami. - Możliwe. Ale jedno jest pewne - na Thasos go nie ma. Daję ci na to osobistą gwarancję.

Pitt wybuchnął śmiechem. - Mnie to wystarczy. - Zrzucił ręcznik na ramię i podciągnął kąpielówki. - Miło się z tobą gada...

- Moody. Lotnik drugiej klasy.

- Jestem major Pitt.

Żandarm tępo wybałuszył oczy. - Och, przepraszam, panie majorze. Nie wiedziałem, że jest pan oficerem. Myślałem, że jest pan jednym z tych cywilów, którzy pracują dla NUMY. Tym razem pana wypuszczę, panie majorze, ale radziłbym załatwić sobie przepustkę.

- Zajmę się tym z samego rana.

- Mój zmiennik przychodzi o ósmej. Jeśli pan do tej pory nie wróci, powiem mu, żeby nie robił panu sęków.

- Dziękuję, Moody. Może się jeszcze zobaczymy. - Pitt pomachał wartownikowi ręką, odwrócił się i ruszył w stronę plaży.

Trzymając się prawej strony wąskiej brukowanej drogi, po przejściu mniej więcej półtora kilometra dotarł do małej zatoczki, oflankowanej wielkimi urwistymi skałami, Księżyc wskazał mu ścieżynę i Pitt schodził po niej tak długo, aż pod jego stopami zachrząścił piasek plaży - wtedy upuścił ręcznik i podszedł do linii przyboju. Właśnie o brzeg uderzyła fala, a jej pienisty grzbiet prześlizgnął się gładko po ubitym piasku i oblizał stopy Pitta; potem umierająca fala zawahała się przez moment i wreszcie zaczęła się cofać. Wiatr ledwie dyszał i lśniąca morze było względnie spokojne - księżyc rzucał na jego powierzchnię srebrzystą smugę, która sięgała horyzontu, gdzie woda i niebo zlewały się w nieprzeniknioną czerń. Pitt, wchłaniając w siebie ciepłą ciszę, wszedł do morza i popłynął wzdłuż owej smugi.

Ilekcio przebywał samotnie nad morzem, ogarniało go osobliwe uczucie. Było tak, jak gdyby wysączała się zeń dusza, przekształcając go w byt pozbawiony materialnego istnienia. Jego umysł oczyszczał się i sublimował; wysiłek intelektu stawał się zbędny; wszelkie myśli zniknęły. Będąc w takim stanie, Pitt miał tylko mętne poczucie gorąca, chłodu, zapachu i dotyku - pozostawał mu jedynie słuch. Wsłuchiwał się tedy w nicość ciszy, ów największy, lecz zarazem najmniej znany, skarb człowieka. Na chwilę tonęły w zapomnieniu wszystkie jego klęski, zwycięstwa i miłości, nawet samo życie zatracalo się i ginęło w owej ciszy.

Leżał jak martwy, pozwalając unosić się wodzie, prawie godzinę, dopóki wreszcie jakaś mała falka nie wtłoczyła mu do gardła kilku słonych kropel. Gdy usiłował je wyparskać, wróciła doń świadomość fizycznego istnienia i Pitt, ani przez moment nie kontrolując kierunku, bez wysiłku popłynął na grzbiecie w stronę brzegu. Kiedy wyczuł pod plecami twardy piasek, przestał płynąć i pozwolił, by fale wyrzuciły go na brzeg jak szczątek rozbitego okrętu. Wówczas podciągnął się nieco, aż górna połowa jego ciała wychynęła z morza, i pozwolił, by woda tysiącem miniaturowych wirów i prądów opływała jego nogi i pośladki. Ciepły egejski przybój narastał w szarówce przedświtu i zalewał plażę; Pitt zapadł w drzemkę.

Gwiazdy konały jedna po drugiej w bladym świetle brzasku, kiedy wewnętrzny alarm rozdzwonił się w mózgu Pitta, uprzedzając go o czyjejs obecności. Pitt obudził się natychmiast, ale trwał w całkowitym bezruchu i tylko zerkał spod lekko uchylonych powiek. Ledwie dostrzegał kontury stojącej nad sobą postaci. Wyteżając wzrok usiłował zobaczyć coś więcej. To była kobieta.

- Dzień dobry - powiedział i usiadł.

- O mój Boże! - wyrzuciła bez tchu, a potem poderwała rękę do ust, jak gdyby zamierzała wrzasnąć.

Było wciąż zbyt ciemno, aby widzieć przerażenie w jej oczach, ale Pitt słusznie się go domyślał. - Przepraszam - powiedział miękko. - Nie chciałem pani przestraszyć.

Dłoń powoli opadła. Kobieta stała jakiś czas wpatrując się w Pitta, wreszcie jednak, odzyskawszy głos, wyjąkała cichutko: - Ja... ja sądziłam, że pan nie żyje.

- Wcale się pani nie dziwię. Przypuszczam, że doszedłbym do tego samego wniosku, gdybym o tej porze znalazł na granicy fal uśpionego faceta.

- I doznałam strasznego szoku, kiedy pan usiadł i powiedział "dzień dobry.

Jeszcze raz szczerze proszę o wybaczenie. - Nagle do Pitta dotarło, że kobieta mówi po angielsku. Miała wymowę zdecydowanie brytyjską, aczkolwiek z leciutkim akcentem niemieckim. Wstał. - Pozwoli pani, że się przedstawię: Dirk Pitt.

- Nazywam się Teri - odparła - i brak mi słów, aby powiedzieć, jak bardzo się cieszę, iż pan jest żywy i zdrowy, panie Pitt. - Nie podała swojego nazwiska, a Pitt nie zamierzał o nie pytać.

- Niech pani uwierzy, Teri, cała przyjemność po mojej stronie. - pokazał dłonią piasek. - Czy nie zechciałaby pani wraz za mną wskrzesić słońca?

Roześmiała się. - Dziękuję, z przyjemnością. Choć, z drugiej strony, prawie pana nie widzę, skąd więc mogę wiedzieć, że nie jest pan potworem albo kimś w tym rodzaju? - W tonie jej głosu pobrzmiwała zalotna nutka. - Czy mogę panu ufać?

- Szczerze mówiąc, nic a nic. Czuję się w obowiązku uprzedzić panią, iż dokładnie w tym zakątku dopuściłem się aktów przemocy na dwustu niewinnych dziewczynach. - Był to gruby żart, Pitt jednak zdawał sobie sprawę, że to skuteczna metoda wysondowania osobowości rozmówcy.

- O! Z rozkoszą zostałamby numerem dwieście pierwszym, tyle że nie jestem niewinną panienką. - Światła było już dość, aby Pitt zdołał dostrzec biel zębów w rozchyłonych uśmiechem ustach. - Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał tego za złe.

- Nie, jestem wobec podobnych ułomności bardzo tolerancyjny. Muszę tylko prosić, aby zachowała pani w tajemnicy fakt, iż numer dwieście pierwszy nie był czysty jak śnieg. Gdyby rzecz przedostała się do wiadomości opinii publicznej, moja reputacja potwora zostałaby bezpowrotnie zrujnowana.

Oboje wybuchli śmiechem, a potem siedli ramię w ramię na ręczniku Pitta i pograżyli się w rozmowie, podczas gdy słońce z wahaniem rozpoczynało wspinaczkę na nieboskłon ponad Morzem Egejskim. Gdy rozjarzona pomarańczowa kula wystrzeliła znad rozchwianej linii horyzontu pierwsze złociste strzały, Pitt w nowym świetle zaczął uważnie przypatrywać się kobiecie.

Miała około trzydziestu lat i nosiła czerwone bikini. Kostium, chociaż majteczki zaczynały się dobre pięć centymetrów poniżej pępka, nie należał do owych mikroskopijnych stroików, a materiał, z którego był wykonany, lśnił niczym atlas i przylegał do ciała jak druga skóra. Postać Teri stanowiła czarującą mieszaninę wdzięku i jędrności: płaski, gładki brzuch, kształtne piersi, ani za duże, ani za małe, długie nogi kremowej barwy... Może nieco za szczupłe, ale Pitt postanowił zbagatelizować tę drobną niedoskonałość i przyjrzał się twarzy kobiety. Profil był wyśmienity, a rysy, łączące w sobie piękno i tajemniczość greckiego posągu, zasługiwałyby na miano nieskazitelnych, gdyby nie mała okrągła blizna w pobliżu prawej skroni. W normalnych okolicznościach zakrywałyby ją sięgające ramion czarne włosy, ale teraz, spoglądając w słońce, Teri odrzuciła głowę do tyłu i hebanowe pukle spływające po plecach sięgały piasku.

Odwróciła się nagle, chwytając na sobie przenikliwe spojrzenie Pitta.

- Miał pan obserwować wschód słońca - powiedziała z rozbawieniem.

- Napatrzyłem się już w życiu na wschody słońca, ale po raz pierwszy stanąłem twarzą w twarz z niepodrabianą Afrodytą. - Pitt dostrzegł, że jego komplement wywołał błysk zadowolenia w ciemnobrązowych oczach.

- Dzięki za pochlebstwo, ale Afrodyta była stuprocentową Greczynką, podczas gdy ja jestem nią tylko w połowie.

- A ta druga połówka?

- Ojciec był Niemcem.

- W takim razie bogom niech będą dzięki, że wdała się pani w matkę.

Rzuciła mu nadasane spojrzenie. - Lepiej żeby nie słyszał tego mój wujek.

- Typowy szkop?

- Tak, chyba tak. W istocie to dzięki niemu jestem na Thasos.

- Więc nie może być taki zły - stwierdził Pitt, podziwiając orzechowe oczy Teri. - Czy stale z nim pani mieszka?

- Nie. Urodziłam się tu, ale dorastałam w Anglii. Jakoś przeżyłam tamtejsze szkoły, a potem, kiedy miałam osiemnaście lat, zakochałam się w pewnym oszałamiającym sprzedawcy samochodów i wyszłam za niego za mąż.

- Nie miałem pojęcia, że sprzedawcy samochodów potrafią być oszałamiający.

Zignorowała sarkastyczną uwagę Pitta i podjęła: - Uwielbiał w wolnych chwilach wyścigi samochodowe i był w tym dobry. Zwyciężał w rajdach, próbach terenowych, konkursach. - Wzruszyła ramionami i zaczęła palcem kreślić kółka na piasku, jej głos zaś stał się dziwnie ochryply. - Potem, podczas pewnego deszczowego weekendu, jadąc podrasowanym MG wpadł w poślizg, wyleciał z toru i uderzył w drzewo. Już nie żył, kiedy do niego dobiegłam. Może minutę Pitt siedział w milczeniu, wpatrując się w jej posmutniałą twarz. - Jak dawno to było? - zapytał po prostu.

- Osiem i pół roku temu - odparła szeptem.

Pitta najpierw ogarnęło zdumienie, a potem gniew. Co za idiotyzm, pomyślał, co za beznadziejny idiotyzm, żeby tak piękna kobieta opłakiwała zmarłego faceta przez niemal dziewięć lat. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej był wściekły. Widok pogrążonej w rozpamiętywaniu Teri o wypełnionych łzami oczach przyprawiał go o mdłości. Uniósł rękę i mocno ją spoliczkował.

Silne uderzenie sprawiło, że zeszywniała i szeroko otworzyła oczy. Mogło się zdawać, że poraziła ją kula. - Dlaczego mnie bijesz? - zapytała bez tchu.

- Bo tego potrzebujesz, i to bardzo - warknął. - Ta miłość, którą w sobie nosisz, jest zeszmatałwiona jak stary ciuch. Dziwię się, że nikt dotąd nie wziął cię na kolano i nie zbił po pupie. No więc twój mąż był niezwykły. I co z tego? Zmarł, został pochowany i nawet sto lat opłakiwania nie wskrzesi go z grobu. Zarygluj gdzieś wspomnienia na siedem spustów i wyrzuć je z pamięci. Jesteś piękną kobietą. Nie należysz do krypty, w której tkwisz, przykuta łańcuchem do trumny pełnej kości. Powinnaś należeć do każdego mężczyzny, który ogląda się za tobą, podziwia cię i pragnie posiąść. - Pitt dobrze wiedział, że jego słowa skutecznie forsują niezbyt silne linie obronne Teri. Więc się nad wszystkim zastanów. To twoje życie. Nie odrzucaj go, aby tak długo odgrywać damę kameliową, aż będziesz pomarszczona i siwa.

Teri miała wystraszoną twarz i wstrząsały nią łkania; Pitt pozwolił jej płakać bardzo długo. Kiedy wreszcie uniosła głowę i odwróciła ją w stronę Pitta, ten dostrzegł na policzkach smugi po

łzach, do których przywarły drobiny piasku. Potem w jej oczach - łagodnych, przestraszonych i prawie dziewczęcych - zobaczył jakiś błysk. Objął Teri i pocałował. Miała miękkie wilgotne wargi.

- Kiedy po raz ostatni byłaś z mężczyzną? - zapytał szeptem.

- Nie byłam, odkąd...

Wziął ją, a długie cienie skał podpełzły do nich plażą, by dać im osłonę przed słońcem. Stado brodzieńców najpierw zatoczyło nad nimi krąg, a potem siadło na graniczącym z falami pasie wilgotnego piasku. Ptaki przebiegały drobnymi kroczkami wzdłuż brzegu, bawiąc się w berka z przybojem, od czasu do czasu któryś z nich rzucał koralikowym okiem na parę kochanków, skrytych w cieniu, przyglądał się przez krótki moment, by wnet znów wrazić w piasek swój długi zakrzywiony dziób w poszukiwaniu skorupiaków. W miarę jak słońce wędrowało w górę, cienie skracały się coraz bardziej. Pyrkoczący kuter sunął kilkaset metrów od skraju skał, ale rybacy byli zbyt zajęci stawianiem sieci, aby dostrzec na brzegu coś niezwykłego. Pitt odsunął się wreszcie od Teri i ogarnął spojrzeniem jej rozpogodzoną, uśmiechniętą twarz.

- Nie wiem, czy powinienem teraz poprosić o wyrazy wdzięczności czy też przebaczenie - powiedział cicho.

- Masz jedno i drugie - wyszeptała prawie bezgłośnie. Musnął wargami jej oczy. - Widzisz, co traciłaś przez wszystkie te lata - powiedział z uśmiechem.

- To prawda. Przyznaję, że zaordynowałeś cudowne antidotum na moją depresję.

- Zawsze przepisuję uwiedzenie. Stuprocentowo skuteczne przy wszelkich chorobach rzadkich, jak też dolegliwościach pospolitych.

- A ile wynosi pańskie honorarium, doktorze? - zapytała z typowo kobiecym chichotem.

- Możesz uznać, że zostało już zapłacone do ostatniego grosza.

- Tak łatwo się nie wykręcisz. Nalegam, żebyś wpadł wieczorem na kolację do domu mojego wuja.

- To dla mnie zaszczyt. O której więc, i jak się tam dostanę?

- Załatwię, żeby o szóstej po południu szofer wuja zabrał cię spod bramy głównej bazy.

Pitt uniósł brew. - Z czego wnosisz, że stacjonuję w Brady?

- Jesteś bez wątplenia Amerykaninem; tam właśnie mieszkają wszyscy Amerykanie, przebywający na wyspie. - Ujęła dłoń Pitta i przytuliła ją do swego policzka. - Powiedz mi coś o sobie. Czym się zajmujesz w tym waszym lotnictwie? Latasz? Czy jesteś oficerem?

Pitt ze wszystkich sił starał się zachować powagę. - Jestem w bazie śmieciarzem.

Zaskoczona szeroko otwarła oczy. - Naprawdę? Jak na śmieciarza jesteś zdecydowanie zbyt inteligentny. - Wbiła spojrzenie w twarde rysy Pitta i jego ciemnozielone oczy. - Cóż, nie będę ci miała za złe twojego zawodu. Zostałeś już awansowany na sierżanta?

- Nie. Nigdy nie byłem sierżantem.

Nagle uwagę Pitta przyciągnął jasny błysk pośród skał, oddalony o jakieś dwieście metrów: coś - przypuszczalnie przedmiot ze szkła - na krótki moment odbiło promienie słońca. Pitt wpatrywał się dłuższą chwilę w miejsce, gdzie pojawiło się lśnienie, ale nie dostrzegł nic więcej.

Teri poczuła, że zeszytniał. - O co chodzi? - zapytała.

- O nic - skłamał Pitt. - Miałem przez chwilę wrażenie, że coś pływa na wodzie, ale już zniknęło.

- Spojrzał na uniesioną twarz Teri i w jego oczach zamigotały demoniczne iskierki. - Chyba

powiniennem wracać już do bazy. Od wczoraj zbierało się mnóstwo śmieci.

- Ja też powinnam wracać. Wuj pewnie zachodzi w głowę, co mi się mogło przydarzyć.

- Zamierzasz mu powiedzieć?

- Chyba zgłupiałeś - odparła ze śmiechem. Wstała, otrzepała się z piasku i poprawiła kostium.

- Dlaczego kobiety, przed seksem nieśmiałe, a nawet pruderyjne, stają się po nim tak rozpromienione i bez troskie? - zapytał żartobliwie.

Lekko wzruszyła ramionami. - Chyba dlatego, że seks pozwala nam pozbyć się wszelkich frustracji i sprawia, iż czujemy się bardziej... docześnie. - W ciemnobrązowych oczach rozjarzyła się zmysłowość. - My, kobiety, miewamy również zwierzęce instynkty.

Pitt klepnął ją w pośladek. - Chodźmy, odprowadzę cię do domu.

- W takim razie czeka cię długa przechadzka. Willa wujka jest w górach, aż za Liminas.

- Co to za góry i czym jest Liminas?

- Liminas to mała wioska, mniej więcej dziesięć kilometrów od nas, gdyby iść tą drogą - wskazała na północ. - Ale nie bardzo rozumiem, co masz na myśli pytając o góry. - Skierowała rękę w stronę wzniesień, które - położone mniej więcej półtora kilometra za drogą - wypiętrzały się w środkowej części wyspy.

- W Kalifornii, z której pochodzę, wszystko, co nie sięga tysiąca metrów ponad poziom morza, nazywamy pagórkami.

- Ach, wy, jankesi, i ta wasza nieustanna chępliwość.

- To firmowy amerykański numer.

Niespiesznie ruszyli ścieżką. Na grzbiecie urwiska stał, zaparkowany na poboczu drogi, usportowiony kabriolet mini-cooper; typowy dla angielskich wozów wyścigowych zielony kolor jego karoserii był ledwie widoczny spod grubej warstwy greckiego kurzu.

- No i jak ci się podoba mój oszałamiający bolid? - zapytała z dumą Teri.

Pitt parsknął śmiechem. - Na Jowisza, nieziemski - odrzekł, usiłując utrzymać się w angielskiej poetyce. - Naprawdę twój?

— Nowiutki. Kupiłam go w zeszłym miesiącu w Londynie i sama przyprowadziłam aż do Havru.

- Jak długo będziesz jeszcze u wuja?

- Wzięłam trzymiesięczny urlop, zostało mi sześć tygodni. Wrócę do kraju statkiem. Jazda przez cały kontynent była nawet zabawna, ale zbyt męcząca.

Pitt otworzył jej drzwi i Teri wślizgnęła się za kierownicę; kiedy pod siedzeniem odszukała kluczyki i włączyła zapłon, z rury wydechowej rozległo się kaszlnięcie, a potem nieprzyjemny pomruk.

Pitt wsparł się o zakurzone drzwiczki i lekko pocałował Teri. - Mam nadzieję, że wujaszek nie będzie czekać na mnie z dubeltówką.

- Bez obaw. Może najwyżej zagadać cię na śmierć. Przepada za facetami z lotnictwa, sam podczas pierwszej wojny światowej był pilotem.

- Nie gadaj - powiedział sarkastycznie Pitt. - Pójdę o zakład, iż utrzymuje, że latał z Richthofenem.

- Ach, nie. Nawet nie był we Francji. Walczył tutaj, w Grecji.

Sarkazm Pitta ustąpił miejsca fantastycznemu dreszczykowi, który przejął chłodem całe jego ciało. Pitt tak mocno zacisnął dłonie na krawędzi okna, że aż pobieleły mu kłykcie. - Czy twój wuj wymienił kiedykolwiek nazwisko... Kurta Heiberta?

I to nie raz. Odbywali wspólnie loty patrolowe. - Wrzuciła jedynekę, a potem z uśmiechem pomachała Pittowi dłonią. - Do zobaczenia wieczorem. Tylko się nie spóźnij. Pa!

Zanim Pitt zdołał cokolwiek odpowiedzieć, karłowate autko wystrzeliło jak z procy, groźnie warcząc pomknęło drogą na północ i niczym burozielony cień zniknęło za grzbietem wzgórza. Ostatnią rzeczą, jaką widział Pitt, były powiewające na wietrze czarne włosy Teri.

Upał zaczynał już potężnie doskwierać, Pitt zatem odwrócił się i ruszył w stronę lotniska. Nagle zaklął, gdy w jego bosą stopę wbił się ostry kawałek skały; podskakując na jednej nodze wyszarpnął go z pięty i ze złością cisnął w krzaki porastające pobocze. Kiedy szedł z opuszczoną głową, obserwując teren, aby uniknąć kolejnych nieprzyjemnych przygód, dostrzegł ślady. Ktokolwiek je zostawił, nosił podbite ćwiekami buty.

Pitt uklęknął i uważnie zbadał wgłębienia; gniewnie skrzywił usta, kiedy stwierdził, że ślady butów w kilku miejscach nakładają się na ślady bosych stóp jego i Teri. Ktoś więc śledził Teri. Osłoniwszy dłonią oczy, spojrział w słońce: było jeszcze dość wcześnie, postanowił zatem zbadać trop.

Kończył się w połowie ścieżki, a potem skręcał w stronę skał, by się wśród nich urwać; Pitt pokonał chropawy grzbiet i podjął poszukiwania po jego przeciwległej stronie - trop wracał w stronę drogi, ale biegł teraz równoległe do ścieżki. Pitt był tak zaabsorbowany, że nie zwrócił nawet uwagi, gdy ciernista gałąź smagnęła go po ramieniu, wytaczając nitkę krwi. Ociekał potem, kiedy wdrapał się znowu na drogę. Po chwili ślady podbitych butów kończyły się bezpowrotnie, ustępując miejsca koleinom; na miękkim poboczu Pitt znalazł wyraźne wgłębienie, pozostawione przez oponę o dziwnym bieżniku, przypominającym mozaikę z brylantów.

Nic nikąd nie nadjeżdżało, Pitt spokojnie więc rozłożył ręcznik na środku drogi, usiadł na nim i przystąpił do myślowej rekonstrukcji przebiegu wydarzeń.

Człowiek, który śledził Teri, zaparkował właśnie w tym miejscu, podszedł do jej samochodu, a wreszcie podążył za nią ścieżyną; w połowie drogi usłyszał głosy, w ciemnościach skrył się pomiędzy skałami i stamtąd obserwował Teri i Pitta. Gdy się już rozjaśniło, niepostrzeżenie wrócił na drogę.

Wszystko się zgadzało w tej trywialnej układance wyjąwszy fakt, iż wciąż brakło kilku elementów. Kto i dlaczego śledził Teri? Pitt uśmiechnął się, gdy przyszła mu do głowy najprostsza z możliwych odpowiedzi: prawdopodobnie miejscowy podglądacz. Jeśli tak, facetowi trafiło się widowisko, o jakim zapewne nie marzył.

Ale najbardziej niepokoił Pitta trzeci z brakujących elementów układanki. Przyprawiał o skurcz w żołądku i powodował, że znacząca całość wciąż nie mogła przybrać ostatecznego kształtu w jego logicznym umyśle. Pitt znów popatrzył na ślady opon: były zbyt duże, aby mógł je pozostawić zwykły samochód osobowy. Należały do znacznie masywniejszego pojazdu, powiedzmy ciężarówki. Pitt zmrużył oczy i zaczął kombinować ze zdwojoną intensywnością. Nie mógł usłyszeć nadjeżdżającej Teri, bo wtedy spał. A ciężarówka przypuszczalnie dotoczyła się na miejsce z wyłączonym silnikiem.

Skupione spojrzenie Pitta powędrowało od śladów opon ku plaży, gdzie podpełzający coraz wyżej przybój zmywał wszelkie ślady pozostawione na piasku. Ocenivszy odległość pomiędzy drogą a brzegiem morza, Pitt uczynił próbę ujęcia problemu w taki sposób, w jaki swoim uczniom byłby go na pewno przedstawił nauczyciel piątej klasy.

Ciężarówka znajduje się w punkcie A, dwoje ludzi zaś w odległym o dwieście metrów punkcie

B. Dlaczego ludzie ci w ciszy poranka nie usłyszeli, jak włącza się silnik ciężarówki?

Odpowiedź wciąż wymykała mu się z rąk, Pitt więc wrzucił tylko ramionami i dał za wygraną. Otrząsnął ręcznik z kurzu, zarzucił go na ramiona i pogwizdując "It's a Long Road to Tipperary" ruszył w stronę bazy opustoszałą drogą.

Rozdział 3

Młody jasnowłosy marynarz rzucił cumy i niewielki sześciometrowy welbot oderwał się ospale od prowizorycznej przystani w pobliżu Lotniska Brady, by po błękitnym dywanie wody wziąć kurs na Pierwsze Podejście. Warkoczący czterocylindrowy silnik typu Buda popychał masywną łódkę z szybkością ośmiu węzłów i zasnuwał pokład dieslowskim smrodkiem. Dochodziła dziewiąta, słońce było coraz gorętsze, nawet najslabsza bryza nie przynosiła ulgi...

Pitt stał i spoglądał na uciekający do tyłu brzeg tak długo, aż przystań zmieniła się we wtopiony pomiędzy fale przyboju brudny punkcik; wtedy wydzwignął swoich osiemdziesiąt pięć kilogramów na otaczający część rufową reling z metalowych rurek i usiadł na nim w taki sposób, że jego pośladki zawisły niepewnie nad białym spienionym kilwaterem. Siedząc w tej osobliwej pozycji czuł wibracje wału napędowego i widział, jak śruba przegryza się przez wodę. Welbot dzieliło od Pierwszego Podejścia zaledwie ćwierć mili, kiedy Pitt zorientował się, że młody marynarz zerka nań od steru z szacunkiem.

- Zechce pan wybaczyć, sir, ale sprawia pan wrażenie człowieka obytego z takimi łódkami - powiedział wreszcie. - Roztaczał intelektualną aurę i wydawało się, że ma wykształcenie akademickie. Był mocno opalony egejskim słońcem, a oprócz szortów nosił jedynie długą, żółtą i rzadką brodę.

Pitt, aby nie stracić równowagi, otoczył ramieniem słupek lampy sterowej, drugą ręką zaś wyjął z kieszonki na piersi pudełko papierosów. - Pływałem podobną łajbą, kiedy byłem w ogólniaku - odparł lekko.

- To pewnie mieszkał pan gdzieś nad morzem.

- W Newport Beach, w Kalifornii.

- Bombowe miejsce. Nieustannie tam jeździłem, kiedy u Scrip-psa w LaJolla robiłem kurs podyplomowy. - Skrzywił usta w lubieżnym uśmiechu. - Rany! Cóż to była za meta na dziewczyny! Musiał pan mieć niezły ubaw, skoro pan tam dorastał.

- Na pewno ze swoim pokwitaniem mogłem trafić gorzej - odrzekł Pitt i korzystając z okazji, że młody człowiek rozkrochmalił się, szybko zmienił temat. - Niech pan powie, co to za problemy macie z programem?

- Przez dwa pierwsze tygodnie wszystko szło jak po maśle, ledwie jednak znaleźliśmy obiecujący teren, zaczęły się potknięcia i odtąd idzie nam jak kurwie w deszcz.

- Na przykład?

- Przeważnie awarie sprzętu - zerwane przewody, popsute albo zaginione części zamienne, kłopoty z generatorem, rozumie pan, takie tam historie.

Zbliżali się już do Pierwszego Podejścia, młody człowiek zatem na powrót zajął się sterem i ustawił welbota równolegle do trapu.

Pitt wstał i szacującym spojrzeniem obrzucił statek. Wedle standardów żeglugowych, był małą jednostką: osiemset dwadzieścia ton wyporności, trzydzieści sześć metrów długości. Zbudowany w rotterdamskiej stoczni jeszcze przed wojną, pełnił pierwotnie funkcję holownika oceanicznego.

Kiedy Niemcy zaatakowali kraje Beneluksu, załoga wyprowadziła go do Anglii i stateczek zapisał piękną kartę bojową, aż do końca wojny ściągnając przed nosami niemieckich U-bootów do liverpoolskiego portu uszkodzone i storpedowane jednostki. Po zakończeniu działań militarnych w Europie rząd holenderski sprzedał amerykańskiej marynarce wojennej znękany i pokiereszowany kadłub holownika, który dwadzieścia pięć następnych lat spędził pod szarym plastikowym kokonem jako członek widmowej floty, kotwiczącej w Olympii, w stanie Waszyngton. Wreszcie zakupiony przez nowo utworzoną Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych został przemianowany na Pierwsze Podejście i przerobiony na nowoczesny statek do badań oceanograficznych.

Mrużąc oczy w oślepiającym blasku, jaki bił z wymalowanej na biało burty Pierwszego Podejścia, Pitt wdrapał się po trapie; na pokładzie powitał go stary przyjaciel, komandor Rudi Gunn, łączący funkcje kapitana i dyrektora programu.

- Wyglądałbyś zdrowo - stwierdził bez uśmiechu Gunn - gdyby nie te przekrwione oczka. - Wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Pitta, ten jednak pokazał, że już pali.

- Słyszałem, że macie problemy - zagadnął Pitt.

Twarz Gunna sposepniała. - Masz cholerną słuszość - burknął. - Nie prosiłbym Sandeckera, żeby cię tu przysyłał z Waszyngtonu, gdyby chodziło o balangę na pokładzie Pitt z zaskoczeniem uniósł brwi. Do Gunna, faceta w zwykłych okolicznościach o życzliwym i wesołym usposobieniu, to nagle grubiaństwo nie pasowało w najmniejszym stopniu. - Tylko bez nerwów, Rudi - powiedział cicho. - Zejdźmy ze słońca i wtedy mi wyjaśnisz, o co chodzi w tym całym zamieszaniu.

Gunn zdjął okulary w rogowych oprawkach i przetarł czoło zmiętą chusteczką. - Wybacz, Dirk, po prostu w życiu nie widziałem, żeby tyle rzeczy nawalało jednocześnie. To diablo wkurzające po tej całej pracy, jaką włożyliśmy w przygotowanie operacji. Chyba stałem się cholernie drażliwy, bo od trzech dni unika mnie nawet załoga.

Pitt położył dłoń na ramieniu Gunna i szeroko się uśmiechnął: - Masz moje słowo, że cię nie będę unikać nawet wtedy, kiedy zachowasz się jak wredny mały skurwiel.

Gunn przez chwilę spoglądał tępo, potem na jego twarzy pojawiło się uczucie ulgi, a wreszcie odrzucił głowę do tyłu i wybuchł śmiechem. - Dzięki Bogu, że tu jesteś - powiedział zaciskając dłoń na ramieniu Pitta. - Może nie rozwikłasz żadnych zagadek, ale będę się czuć o niebo lepiej mając cię przy sobie. - Odwrócił się i pokazał dziób statku. - Chodź, tam jest moja kabina.

Podążając za Gunnem po wąskiej drabince, wiodącej na górny pokład, Pitt dotarł do kajutki zaprojektowanej chyba przez meblarza. Jedyną, ale za to doprawdy ogromną, zaletą tego miniaturowego wnętrza był strumień zimnego powietrza, wypływający spod śmigła wentylatora zawieszzonego pod sufitem.

Pitt stał przez chwilę w drzwiach, delektując się chłodnym powiewem, a potem siadł okrakiem na krześle, położył ramiona na oparciu i czekał, aż Gunn zacznie swój raport.

Gunn zamknął iluminator, ale nie siadał. - Powiedz najpierw, co wiesz o naszej egejskiej ekspedycji - poprosił.

- Słyszałem tylko, że Pierwsze Podejście myszkuje po Morzu Śródziemnym w związku z jakimiś sprawami natury zoologicznej.

Gunn popatrzył na Pitta niemal zaszokowany. - Czy przed wyjazdem z Waszyngtonu admirał nie zapoznał cię ze szczegółami?

Pitt zapalił następnego papierosa. - Aż czego wnosisz, że przyleciałem tu wprost ze stolicy?

- Nie wiem - odrzekł z wahaniem Gunn. - Przypuszczałem tylko, że...

- Od czterech miesięcy nawet nie otarłem się o Stany - przerwał mu z szerokim uśmiechem Pitt. Wydmuchnął w stronę wentylatora długą smugę dymu i patrzył, jak najpierw zamienia się w spiralę, a potem w nicość. - Wiadomość od Sandeckera mówiła tylko, że masz mnie oczekiwać na Thasos. Admirał nie wspomniał natomiast, skąd przylecę i kiedy, miałeś zatem wszelkie podstawy sądzić, że sfrunę z błękitnego nieba już cztery dni temu.

- Wybacz - powiedział Gunn, wzruszając ramionami. - Masz, oczywiście, rację. Zakładałem, że na przyłot z Waszyngtonu ta twoja blaszana kaczka będzie w najgorszym razie potrzebować dwóch dni. Kiedy wreszcie wczoraj władowałaś się w tę rozróbę nad Lotniskiem Brady, byłeś, wedle mojego rozkładu, spóźniony już o cztery dni.

- Nic nie mogłem poradzić. Mieliśmy z Alem Giordino rozkaz, żeby dostarczyć zapasy dla glaciologicznej stacji badawczej gdzieś na północ od Spitzbergenu. Kiedyśmy tylko wylądowali, zamieć uziemiła nas na siedemdziesiąt dwie godziny.

Gunn się roześmiał. - No to zaliczasz po kolei temperaturowe ekstrema.

Pitt nic nie odrzekł, tylko lekko się uśmiechnął.

Z górnej szuflady małego biurka Gunn wyjął i podał Pittowi dużą kopertę zawierającą kilka rysunków; przedstawiały - jak stwierdził Pitt - rybę o dziwnym wyglądzie. Na każdym z nich ryba była ta sama, lecz stylistyka poszczególnych obrazków znacznie się różniła. Pierwszy pochodził ze starożytnej greckiej wazy, drugi bez wątplenia stanowił fragment rzymskiego fresku, trzeci i czwarty zaś, we współczesnym uproszczonym ujęciu, ukazywał fazy ruchu osobliwego stworzenia. Poza tym w kopercie było zdjęcie zastygłej w piaskowcu skamieliny. Pitt spojrzał pytająco na Gunna.

- Popatrz przez to - powiedział Gunn, podając mu lupę.

Pitt, znalazłszy dla szkła odpowiednią wysokość, ponownie, tym razem znacznie uważniej, zbadał obrazki. Na pierwszy rzut oka ryba rozmiarem, jak i kształtem przypominała tuńczyka niebiesko-płetwego, tyle że zamiast płetw piersiowych i odbytowych z jej części brzusznej sterczało coś na kształt błoniastych stóp.

Pitt cicho gwizdnął przez zęby. - Szczególny okaz, Rudi. Jak to się nazywa?

- Nie potrafię wymówić łacińskiej nazwy, ale naukowcy z Pierwszego Podejścia pieścotliwie nazwali toto Filutem.

- Dlaczego?

- Bo w zgodzie z wszelkimi prawami natury ten gatunek powinien wyginać przeszło dwieście milionów lat temu, a jednak, co widzisz na rysunkach, ludzie wciąż widują jego przedstawicieli. Co pięćdziesiąt - sześćdziesiąt lat pojawia się fala takich obserwacji, chociaż, na nieszczęście dla nauki, dotąd Filuta nie schwytano. - Gunn przelotnie popatrzył na Pitta, a potem znowu odwrócił wzrok. - Biedak wie o czarującym życiu, jeśli w ogóle istnieje. Mamy dosłownie setki relacji od naukowców i rybaków, którzy w oczy, z podniesionym czołem twierdzą, iż mieli Filuta na haku albo w sieci, tyle że im zwiął, zanim zdążyli wyciągnąć go na pokład. Każdy zoolog na świecie dałby sobie za żywego lub martwego Filuta obciąć lewe jajco.

Pitt rozgniół niedopałek w popielniczce. - Skąd wyjątkowe znaczenie tej akurat ryby?

Gunn uniósł obrazki. - Zwróć uwagę, że artyści nie zgadzają się co do rodzaju skóry. Mamy tu drobną łuskę, gładką skórę w rodzaju delfiniej, a nawet włochatą, taką jak u fok. Otóż: jeśli nie wykluczymy, iż Filut jest pokryty sierścią, a przy tym, co widać, ma prymitywne kończyny, to może się

okazać, że przylapaliśmy ewolucję na tworzeniu prassaka.

- Zgoda, ale jeśli okaże się, że skóra jest gładka, będziesz miał najwyżej wczesnego gada. W tamtych czasach na ziemi roiło się od tego świństwa.

Z oczu Gunna wзираła pewność siebie. - Następny punkt pod rozważę: Filuty żyją w ciepłych płytkich wodach - wszystkie obserwacje miały miejsce w odległości góra trzech mil od brzegu i bez wyjątku, w południowej części Morza Śródziemnego, gdzie temperatura powierzchniowej warstwy wód rzadko spada poniżej 16° C.

- I czegoż to dowodzi? - zapytał Pitt.

- Niczego konkretnego, skoro jednak ssaki prymitywne lepiej dają sobie radę w ciepłym klimacie, teoria, iż niektóre z najwcześniejszych gatunków mogły przetrwać w tym regionie aż do dziś, zyskuje niejaki poparcie.

Pitt w zadumie popatrzył na Gunna. - Wybacz, Rudi. Wciąż niczego nie rozumiem.

- Wiedziałem, że masz twardy łeb - powiedział Gunn - i najciekawsze zostawiłem na koniec. - Urwał, zdjął okulary, przetaił je chusteczką jednorazową, a kiedy ponownie umieścił szkła na swym haczykowanym nosie, podjął tonem człowieka pogrążonego w marzeniach. - W triasie, zanim wypiętrzyły się Alpy i Himalaje, ogromne morze pokrywało obszar dzisiejszych Indii, Tybetu, a nawet Europy środkowej aż do Morza Północnego. Geologowie nazywają ów olbrzymi zbiornik Morzem Tetydy. Pozostałość po nim to dzisiejsze morza: Czarne, Kaspjskie i Śródziemne.

- Przepraszam za ignorancję - wtrącił Pitt - ale trochę się gubię w tych epokach geologicznych. Kiedy dokładnie był ten trias?

- Dwieście trzydzieści do stu dziewięćdziesięciu pięciu milionów lat temu - odparł Gunn. - W tym czasie dokonał się ogromny postęp ewolucyjny wśród zwierząt kręgowych i gady odskoczyły na znaczny dystans od swych prymitywniejszych antenatów. Niektóre z gadów morskich dorastały do siedmiu metrów długości i były naprawdę groźnymi bestiami, za najbardziej jednak godny uwagi fakt należy uznać pojawienie się w tym okresie pierwszych prawdziwych dinozaurów, które były nawet zdolne kroczyć na zadnich łapach, posługując się ogonem jak laską.

Pitt odchylił ciało i wyprostował nogi. - Sądziłem, że era dinozaurów nastąpiła znacznie później.

Gunn wybuchł śmiechem. - Oglądałeś zbyt wiele starych filmów. Bez wątpienia chodzą ci po głowie owe monstra, które w pierwszych filmach science-fiction prześladowały plemiona nieszczęsnych jaskiniowców. Zawsze w tych historyjkach jakiś czterdziestotonowy brontosaurus, straszliwy tyranosaurus albo skrzydlaty pteranodon ścigał po dziewiczej dżungli półnagą piersiastą heroinę. W istocie jednak te najpowszechniej znane dinozaury zamieszkiwały ziemię i znikły z jej powierzchni sześćdziesiąt milionów lat przed pojawieniem się człowieka.

- Jak w ogólny obraz wpisuje się ta twoja popyrzana rybka?

- Zechciej sobie wyobrazić metrowego Filuta, który żył, romansował, kopulował, a w końcu zdechł gdzieś w Morzu Tetydy; nikt nie zwrócił uwagi, jak ścierwo niepokąźnego stworzenia spływa na dno i osuwa się w czerwony muł. Bezimienny grób wraz z jego zawartością, spowitą w węglowy całun, pokryły później osady denne, które wreszcie stwardniały w piaskowiec. To właśnie ów ślad węgla obrysował wyrazistą kreską szczątki Filuta i oddzielił je od warstwy geologicznej, w której spoczęły. Ery szły w eony i wreszcie, pewnego ciepłego wiosennego dnia dwieście milionów lat później, lemiesz pługa austriackiego rolnika z miasteczka Neukirchen uderzył o coś twardego. I, uwaga: nasz Filut, jakkolwiek obecnie w wersji doskonale skamieniałej, znów ujrzał światło dzienne. - Gunn zawahał się i przeczesał palcami rzednącą czuprynę. W ściągniętej i znużonej twarzy

płonęły jednak podniecone oczy.

Pitt ponownie przestudiował fotografię skamieliny. - Wydaje się niemożliwe, aby jakiegokolwiek żywe stworzenie przetrwało tak długo, nie podlegając drastycznym zmianom ewolucyjnym.

- Niemożliwe? Tak, ale podobne rzeczy zdarzały się już wcześniej. Rekin pałęta się po świecie od trzystu milionów lat, krab zbrojeń istnieje bez dosłownie najmniejszych zmian od przeszło dwustu. No i, oczywiście, mamy klasyczny przykład: Latimeria.

- Tak, słyszałem - powiedział Pitt. - Rybę, o której sądzono, że wyginęła siedemdziesiąt milionów lat temu, zaczęto od czasu do czasu poławiać u wschodnich wybrzeży Afryki.

Gunn skinął głową. - Latimeria, odkrycie w owym czasie sensacyjne i ważne, to jednak betka w porównaniu z tym, co zyska świat naukowy, jeśli dostanie w ręce Filuta. - Gunn urwał na chwilę, aby zapalić następnego papierosa; był bez reszty pochłonięty tematem. - Cała historia sprowadza się do tego, iż Filut może być jednym z najwcześniejszych ogniw łańcucha ewolucyjnego ssaków, a zatem również człowieka. Bo nie wspominałem ci dotąd, iż austriackie znalezisko wykazuje bez wątpienia cechy anatomiczne właściwe ssakom. Tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne. To wszystko idealnie lokuje Filuta w owej linii rozwojowej, której zwieńczeniem są ssaki.

Pitt mimochodem raz jeszcze zerknął na obrazki. - Jakim cudem pływając sobie w niezmiętej postaci ta tak zwana żywa skamielina mogła ewoluować ku bardziej zaawansowanym formom? - Każdy gatunek roślinny czy zwierzęcy można porównać do rozbudowanej rodziny - odparł Gunn. - Jedna gałąź wytwarza progeniture jak spod strychni, podczas gdy w drugiej, wyrastającej z przeciwnej strony pnia drzewa genealogicznego, pojawiają się dwugłowi i czteroręcy olbrzymi.

Pitta zaczynało już nosić. Otworzył drzwi, wyszedł na pokład i skrzywił się, gdy rozgrzane powietrze smagnęło go jak strumień pary. Cholera, pomyślał, takie koszty i tylu facetów zapacających się na śmierć, żeby złapać jedną parszywą rybkę. Kogo, do diabła, obchodzi, czy nasi przodkowie byli małpami czy też rybami... co to ma za znaczenie? Biorąc pod uwagę tempo, w jakim ludzkość zmierza ku samozagładzie, za tysiąc lat albo nawet mniej człowiek będzie gatunkiem wymarłym. Odwrócił się ku ciemnej plamie drzwi i popatrzył na Gunna. - Dobra - wycedził - wiem już czego szukasz razem z całym swoim ładunkiem akademickich mózgow. Dręczy mnie tylko jedno pytanie: gdzie jest w tym bardaku moje miejsce? Bo jeśli masz problemy z przerwanymi kablami, zawodnymi prądnicami czy zaginionym sprzętem, potrzebujesz nie mnie, lecz dobrego mechanika, który wie, jak troszczyć się o swój kram.

Gunn najpierw się nachmurzył, a potem roześmiał. - Widzę, że podpytywałeś doktora Knighta.

- Doktora Knighta?

- Tak, tego młodego faceta, który przywiózł cię tu welbotem. Ken Knight jest nader błyskotliwym geofizykiem oceanicznym.

- Imponująca wizytówka - stwierdził Pitt. - Sprawiał na łodzi wrażenie sympatycznego gościa, ale błyskotliwością jakoś nie zwałił mnie z nóg.

Upał panujący na dworze stawał się nieznośny i metal relingu błyszczał złowroźnie. Pitt nieopatrznie dotknął balustrady i natychmiast zaklął szpetnie, gdy parzący ból na wskroś przewiercił mu dłoń, wyzwalając jednocześnie tkwiące w duszy pokłady irytacji; Pitt wrócił do kabiny, zatrząskując za sobą drzwi. - Opuśćmy sobie te wszystkie pierduły - powiedział ostro. - Mów po prostu, jakich cudów mam dokonać, żeby wsadzić ci Filuta na rożen, a ja wezmę się do roboty. - Rozciągnął się na koi Gunna, głęboko zaczerpnął powietrza i wreszcie, ochłonawszy dzięki świetnej

wentylacji działającej w kajucie, znów odzyskał spokój. Spojrzał na Gunna, który miał twarz pozbawioną wszelkiego wyrazu, ale Pitt znał go dostatecznie dobrze, aby wyczuwać jego zakłopotanie. Wyciągnął rękę i ścisnął ramię Gunna.

- Nie chcę sprawiać wrażeń pospolitego najemnika - powiedział - ale jeśli żądasz, żebym zamustrował do twojej załogi naukowych piratów, będziesz się musiał szarpnąć na drinka. To wszystko przyprawia człowieka o cholerne pragnienie.

Gunn roześmiał się z ulgą i przez telefon wewnętrzny poprosił o przysłanie z kambuza jakiegoś lodu, a potem, z dolnej szuflady biurka, wydobyl butelkę Chivas Regal i dwie szklaneczki. - W oczekiwaniu na lód mógłbyś rzucić okiem na raport, który przygotowałem w związku z naszymi awariami. - Podał Pittowi żółtą teczkę na akta. - Każdy incydent opisałem szczegółowo i w porządku chronologicznym. Z początku kładłem wszystko na karb wypadków czy też niefartu, ale ta cała historia już dawno przekroczyła ramy zwykłego zbiegu okoliczności.

- Masz jakiegokolwiek dowody na ingerencję albo sabotaż? - zapytał Pitt.

- Najmniejszych.

- Ta zerwana lina, o której wspominał Knight... Czy została przecięta?

Gunn wzruszył ramionami. - Nie. Końcówki były wystrzępione, ale to następna zagadka. Zaraz ci wyjaśnię. - Gunn zrobił pauzę, aby strząsnąć popiół z papierosa. - Pracujemy stosując margines bezpieczeństwa pięć do jednego. Na przykład: jeśli wedle charakterystyki technicznej liny istnieje niebezpieczeństwo zerwania jej przy udźwigu jedenastu ton czy większym, nigdy nie dajemy większego obciążenia niż dwie tony. Właśnie z powodu tak znacznego marginesu bezpieczeństwa NUMA nie miała dotąd podczas swych operacji ani jednego wypadku śmiertelnego. Życie ludzkie jest dla nas ważniejsze aniżeli sukces naukowy. Badania podwodne to ryzykowny interes i lista naszych poprzedników, którzy zginęli usiłując wydrzeć morzu jego tajemnice, jest bardzo długa.

- Jaki był margines bezpieczeństwa, kiedy zerwała się ta lina?

- Właśnie do tego zmierzałem. Niemal sześć do jednego.

Obciążenie wynosiło niecałe dwie tony. Mieliśmy ogromne szczęście, że nikt nie ucierpiał od smagnięcia, gdy nastąpiło zerwanie.

- Mógłbym ją zobaczyć?

- Jasne, kazałem odciąć przerwane końcówki i zachować do twojego przyjazdu.

Rozległo się pukanie i do kabiny wszedł młody, najwyżej osiemnasto- albo dziewiętnastoletni rudzielec z kubelkiem lodu. Postawił go na stoliku i zwrócił się do Gunna: - Czy mam przynieść coś jeszcze, panie kapitanie?

- Trafiłeś w sedno - odparł Gunn. - Biegnij na pokład techniczny, odszukaj kawałki tej liny, która ostatnio pękła, i przynieś je tutaj.

- Tak jest, panie kapitanie. - Chłopak wykonał w tył zwrot i wybiegł z kabiny.

- Członek załogi? - zapytał Pitt.

Gunn wrzucił lód i nalał szkockiej do obu szklaneczek, a następnie jedną z nich podał Pittowi. - Tak, mamy na pokładzie ośmiu marynarzy i czternastu naukowców.

Pitt zakręcił szklaneczką z żółtym napitkiem i z kostkami lodu.

- Czy za twoje problemy może być odpowiedzialny którykolwiek z tych dwudziestu dwóch ludzi?

Gunn pokręcił głową. - Rozmyślałem o tym, śniłem po nocach, chyba z pięćdziesiąt razy przestudiowałem wszystkie akta osobowe i nie znalazłem najmniejszego powodu, dla którego ktoś z nich miałby sabotować operację. - Gunn urwał i pociągnął whisky. - Nie, jestem zupełnie pewien, że

przeciwnik wywodzi się skądinąd. Ktoś, z zupełnie niepojętych powodów, usiłuje nie dopuścić, byśmy złapali rybę, o której nie wiadomo nawet, czy istnieje.

Po chwili pojawił się chłopak z dwoma kawałkami plecionej stalowej liny, podał je Gunnowi i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Pitt napił się szkockiej i wylazł z koi; odstawiwszy szklaneczkę na biurko Gunna, wziął do rąk oba kawałki liny i uważnie zbadał ich końce.

Była to stalowa lina jak wszystkie inne zapaćkane smarem stalowe liny: dwa tysiące czterysta stalowych drutów tworzyło splot o średnicy trzynastu centymetrów. Lina nie pękła w jednym miejscu, lecz na odcinku czterdziestu centymetrów. Oba wystrzępione kawałki wyglądały jak równo przycięte, rozplecione końskie ogony.

Nagle coś przykuło uwagę Pitta, który wziął lupę i spojrzał uważnie przez grubą soczewkę. Był skupiony, lecz jednocześnie na jego ustach wykwiłał uśmiezek zadowolenia, bowiem poczuł podniecenie, jakie zawsze wywołuje obcowanie z tajemnicą. Pitt doszedł w końcu do wniosku, że ta misja może koniec końców okazać się całkiem interesująca.

- Widzisz coś? - zapytał Gunn.

- Jak na dłoni - odparł Pitt. - Gdzieś po drodze zrobiliście sobie wroga, który nie chce żadnych połowów na swoim terytorium.

Gunn oblał się rumieńcem i szeroko otworzył oczy. - Co znalazłeś?

- Ta lina została przerwana celowo - odpowiedział beznamiętnie Pitt.

- Co to znaczy: "celowo"? - wykrzyknął Gunn. - Gdzie masz dowody na ludzką ingerencję?

Pitt podsunął Gunnowi lupę pod nos. - Widzisz, jak w miejscu zerwania lina po spirali zwęża się ku środkowi? Zwróć też uwagę, że włókna są pozaginane do wewnątrz i mają spłaszczone końcówki. Jeśli lina tej średnicy zrywa się w związku z przyłożeniem zbyt wielkiej siły, końcówki włókien są równe i mają tendencję do wyginania się na zewnątrz. Tu sytuacja wygląda inaczej.

- Nic nie rozumiem - powiedział tępo Gunn, wpatrując się w kawałki liny. - Co ją mogło przerwać?

Pitt zamyślił się na moment. - Stawiałbym na primacord - stwierdził wreszcie.

Oszłomienie sprawiło, że oczy Gunna za szklami okularów zaokrągliły się jeszcze bardziej. - Mówisz poważnie? Czy to nie jest przypadkiem materiał wybuchowy?

- Tak - odparł ze spokojem Pitt. - Primacord wygląda jak sznurek albo linka, bywa zresztą produkowany w najrozmaitszych grubościach. W zasadzie wykorzystuje się go do zwalania drzew i jednoczesnego eksplodowania rozmieszczonych w sporej odległości od siebie ładunków wybuchowych. Zachowuje się jak zwykły lont, tyle że reakcja następuje gwałtownie, niemal z szybkością światła.

- Jakim cudem jednak ktokolwiek mógł niepostrzeżenie założyć ładunek wybuchowy pod samym statkiem? Woda jest tu krystalicznie czysta, a widoczność sięga stu z górą stóp. Ktoś z załogi albo ekipy naukowej z pewnością zauważyłby intruza i... Że nie wspomnę o huku eksplozji.

- Zanim podejmę próbę udzielenia ci odpowiedzi, pozwól, że zadam dwa pytania. Jaki sprzęt wisiał na linie w chwili zerwania i kiedyście je zauważyli?

- Na linie była zamocowana podwodna kabina dekompresyjna. Nurkowie pracowali na głębokości stu osiemdziesięciu stóp, należało zatem przeprowadzać dekompresję pod wodą, żeby uniknąć choroby kesonowej. A zerwanie odkryliśmy o siódmej rano, tuż po śniadaniu.

- Rozumiem więc, że komorę zostawiliście na noc w morzu?

- Nie. Opuściliśmy ją, jak to mamy w zwyczaju, przed świtem, aby była gotowa na wypadek, gdyby rano zaistniała jakaś alarmowa sytuacja.

- No i masz swoją odpowiedź! - wykrzyknął Pitt. - Ktoś podpłynął pod osłonę mroku i założył primacord. Widoczność po wschodzie słońca może sobie sięgać stu stóp, ale przed świtem jest bliska zeru.

- A odgłos wybuchu?

- Nic prostszego, mój drogi Gunnie. Skłonny byłbym sądzić, że huk, wywołany zdetonowaniem na głębokości, w przybliżeniu, osiemdziesięciu stóp niewielkiego ładunku primacordu bardzo przypomina grom dźwiękowy jednego ze stacjonujących w Brady odrzutowców F-105 starfire.

Gunn popatrzył na Pitta z nie skrywanym szacunkiem. Teoria była w zasadzie spójna i nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby w niej zakwestionować. Zmarszczył czoło. - W jakiej nas to stawia sytuacji?

Pitt dopił szkocką i z donośnym stuknięciem odstawił szklaneczkę na biurko Gunna. - Ty po staremu mocz zadek w morzu i ścigaj swojego Filuta. Ja wrócę na wyspę i przymierzę się do małego polowania. Związek pomiędzy twoimi kłopotami a nalotem na Lotnisko Brady wcale nie jest wykluczony, następny zatem logiczny krok polega na tym, aby ustalić, kto stoi za całą rozróbą i jakie kierują nim motywy.

Nagle drzwi kabiny rozwarły się na oścież i do środka wpadł mężczyzna, przyodziany tylko w skurczone kąpielówki i szeroki pas z przytroczonym nożem oraz nylonową siatką. Obsypany piegami na nosie i piersi, miał mokre, spłowiałe na słońcu włosy, w których skrzyły się białe drobiny soli. Woda, spływająca z jego stóp, wyrysowała na wykładzinie ciemną plamę. - Panie komandorze! - wykrzyknął z podnieceniem. - Widziałem go! Naprawdę go widziałem i to najwyżej z odległości dziesięciu stóp!

Gunn poderwał się na nogi. - Jesteś pewien? Dobrze się mu przyjrzałeś?

- Lepiej, panie komandorze. Zrobiłem mu zdjęcie - oświadczył piegowaty, szczerząc wszystkie zęby, jakimi dysponował. - Byłbym go dostał, gdybym miał kuszę, ale akurat fotografowałem formacje koralowe.

- Natychmiast daj film do laboratorium i każ go wywołać - rzucił Gunn.

- Tak jest, panie komandorze. - Golas odwrócił się na pięcie i wyleciał z kabiny, zraszając po drodze Pitta kilkoma kroplami słonej wody.

Twarz Gunna była uszczęśliwiona i stanowcza zarazem. - Dobry Boże! Tylko pomyśleć, że miałem zamiar dać za wygraną i z podkurczonym ogonem wracać do domu! A teraz? Do cholery, będę tu kotwiczyć tak długo, aż złapię Filuta albo umrę ze starości. - Z błyskiem w oku popatrzył na Pitta. - Cóż, majorze, ! co o tym myślisz?

Pitt wzruszył tylko ramionami. - Osobiście wolę uganiać się za panienkami. - Jego wyobraźnia bez większego wysiłku wykreowała w miejsce spraw ważkich i bieżących kuszący wizerunek Teri, która stoi na plaży w swoim czerwonym kostiumie bikini...

Rozdział 4

Minęła już piąta, kiedy Pitt wrócił na swoją kwaterę w bazie Brady. Potrzebował zaledwie sekund, aby zrzuciwszy z siebie przeпоconą odzież zająć akrobatyczną pozycję w wąskiej kabine prysznicu: pochylona głowa Pitta tkwiła w jednym kącie, plecy na mokrej podłodze wyłożonej

terakotą, ugięte zaś i sterczące prostopadłe do góry owłosione nogi - w kącie przeciwnym. Pozycję tę, dla obserwatora z zewnątrz karkołomną i niewygodną, Pitt uznawał jednak za sprzyjającą relaksowi i przyjmował pod prysznicem zawsze, ilekroć pozwalał mu na to czas. Niekiedy zapadał w drzemkę, częściej wszakże wykorzystywał samotność, aby porozmyślać nad różnymi kwestiami. A teraz jego duszę dręczyła cała mnogość nie tylko rozmaitych, lecz również zawiłych problemów.

Rozpatrując jednocześnie fakty i niewiadome, usiłował odnaleźć ogólniejszy wzór i skupić uwagę na sprawach najważniejszych, które jednak wciąż mu się wymykały. Uparcie powracał do tematów zastępczych i mało istotnych, na przykład do zagadkowej bezgłośnej ciężarówki.

Z niepojętych powodów kwestia ta mocno Pitta irytowała; usiłował ją od siebie odepchnąć, były to jednak próby daremne. Uległ więc i odtworzywszy w pamięci całą scenę zaczął z nadzieją poszukiwać tropów wiodących do rozwiązania.

Nagle w drzwiach kabiny pojawiła się niewyraźna sylwetka.

- Hej, ty, pod prysznicem - zagrział zagłuszając szum płynącej wody głos Ala Giordino. - Siedzisz tam już prawie pół godziny i pewnie nasiąkłeś jak gąbka. Pitt z rezygnacją zakręcił kran.

- Lepiej się pośpiesz! - wrzasnął Giordino zanim dotarło doń, że woda już nie szumi. - Idzie tu pułkownik Lewis... będzie lada sekunda.

Pitt ciężko westchnął. Wydzwignął ciało do pozycji siedzącej, a potem, ślizgając się na mokrej posadzce, stanął. Na jego głowie niczym zawój wylądował przerzucony ponad drzwiami ręcznik. Pitt zjeżył się na samą myśl, że mógłby zostać zmuszony do wejścia w dupę oficerowi wyższemu stopniem. Wbił w mleczną szybę drzwi wściekłe spojrzenie. - Wyjdę, kiedy będę miał na to ochotę, a teraz spieprzaj, sukinsynu, zanim wepchnę ci mydło w kicę stolcową.

- Nagle Pitt poczuł, że pieką go policzki; nie miał zamiaru zachować się po chamsku wobec starego kumpla. - Wybacz, Al - powiedział ze skruchą. - Nie wiem, co mi odbiło.

- Nie ma sprawy. - Giordino, nie mówiąc nic więcej, wyszedł z łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Pitt wytarł się pospiesznie, ogolił, wydmuchnął z elektrycznej maszynki drobiny czarnych włosów, a wreszcie wyklepał twarz płynem po goleniu Funt angielski. Kiedy wyszedł z łazienki, zastał w sypialni Ala Giordino i pułkownika Lewisa.

Lewis siedział na krawędzi łóżka, podkrecając imponującego rudego węża. Ze swymi puciołowatymi rumianymi policzkami, rozbieganymi niebieskimi oczyma i obfitym zarostem na górnej wardze, sprawiał wrażenie rubasznego dziewiętnastowiecznego drwala. Poruszał się i przemawiał z gwałtownością bez mała neurotyczną, tak iż Pitt nie mógł oprzeć się wrażeniu, że pułkownikowi drażni krocze przynajmniej pół kilograma tłuczonego szkła.

- Przepraszam za wtargnięcie - zahuczał Lewis - ale jestem ciekaw, czy natknął się pan na jakiś konkretny trop, który mógłby mieć związek z wczorajszym atakiem.

Pitt olewał fakt, że jest kompletnie nagi. - Nie, nie natknąłem się. Coś mi wprawdzie chodzi po głowie i mam parę pomysłów, ale bardzo niewiele faktów, na których dałoby się zbudować spójną teorię.

- Miałem nadzieję, że coś pan wyniucha. W przeciwieństwie do mojej eskadry zwiadu lotniczego.

- A zatem nie znalazł pan żadnych szczątków albatrosa? - zapytał Pitt.

Lewis otarł dłonią zapocone czoło. - Jeśli ten grat runął do morza, nie pozostawił po sobie śladu, nawet małej plamy oleju. Wygląda na to, że wraz z pilotem rozwiął się jak dym.

- Może dotarł na kontynent - zasugerował Giordino.

- Nic z tych rzeczy. Nie znaleźliśmy żywej duszy, która widziałaby, jak wylatuje albo wraca.

Giordino zgodliwie skinął głową. - Racja, przedpotopowy żółty samolot, poruszający się z prędkością stu mil na godzinę musiałby zostać zauważony, gdyby przelatywał nad cieśniną.

Lewis wyjął paczkę papierosów. - Tak naprawdę peszy mnie tylko fakt, iż atak został starannie zaplanowany i przeprowadzony. Facet, który dokonał nalotu na bazę, dobrze wiedział, iż w tym czasie nie będzie startować ani lądować żaden samolot.

Pitt zapiął guziki koszuli i poprawił naszywki ze złotymi dębowymi liśćmi. - Uzyskanie informacji nie było trudne, skoro każdy człowiek z Thasos przypuszczalnie wie, iż w niedzielę Lotnisko Brady staje się wymarłym miastem. W istocie ta cała historia przypomina ze strategicznego punktu widzenia atak Japończyków na Pearl Harbor - aż do takich szczegółów, jak wykorzystanie górskiej przełęczy do skrytego podejścia.

Lewis, uważając aby nie osmalić sobie wąsów, przypalił papierosa. - Ma pan oczywiście słuszność i nie podlega kwestii, że niespodziewane pojawienie się pańskiego wodnosamolotu w jednakowym stopniu zaskoczyło napastnika i nas. Nasz radar nie złapał cataliny, ponieważ ostatnie 300 kilometrów przeleciał pan tuż nad morzem. - Wydmuchnął potężną chmurę dymu. - Nie potrafię wyrazić nawet w skromnym stopniu, jak radosną niespodziankę nam pan sprawił, spadając nagle z nieba w tym swoim poczciwym ptaszku.

- Zaskoczenie naszego przyjaciela z albatrosa było jeszcze większe - stwierdził z szerokim uśmiechem Giordino. - Niech pan żałuje, pułkowniku, że pan nie widział, jak opadła mu szczeka, kiedy zobaczył nas po raz pierwszy.

Pitt kończył zawiązywać krawat. - Nikt się nas nie spodziewał, bo mój plan lotu w ogóle nie uwzględniał bazy Brady. Pierwotnie zamierzałem sięść na morzu obok Pierwszego Podejścia i oto dlaczego zarówno latający duch z albatrosa, jak i kontroler z Brady nie mieli pojęcia o naszym PCP. - Urwał i w zadumie popatrzył na Lewisa. - Sugeruję z całym naciskiem, pułkowniku, aby podjął pan jak najdalej idące środki ostrożności. Mam przeczucie, że z żółtym albatrosem jeszcześmy się ostatecznie nie pożegnali.

Lewis podniósł na Pitta zaciekawione spojrzenie. - Skąd bierze pan pewność, że jeszcze wróci?

Pittowi zaiskrzyły się oczy. - Realizował ściśle określony zamiar, dokonując ataku na lotnisko, a zamiarem owym nie było zabijanie ludzi czy niszczenie amerykańskich samolotów, lecz po prostu wywołanie paniki.

- Co by mógł przez to zyskać? - zapytał Giordino.

- Pomyśl przez chwilę. - Pitt zerknął na zegarek, a potem przeniósł wzrok na Lewisa. - Gdyby sytuacja sprawiała wrażenie prawdziwie alarmowej i niebezpiecznej, pułkownik musiałby wszystkich amerykańskich cywilów ewakuować na kontynent.

- To prawda - przyznał Lewis - jakkolwiek w chwili obecnej nie widzę dostatecznych powodów uzasadniających taki krok. Rząd grecki zapewnił mnie o pełnej gotowości do współpracy w poszukiwaniu samolotu i pilota.

- Gdyby jednak uznał pan, że ma takie powody - naciskał Pitt - to być może wydałby pan komandorowi Gunnowi rozkaz opuszczenia Pierwszym Podejściem rejonu Thasos...

Lewis zmarszczył czoło. - W ramach środków ostrożności - oczywiście. Taki biały statek to dla naszego podniebnego snajpera cholernie zachęcający cel.

Pitt wyjął z paczki papierosa i pstryknął zapalniczką. - Proszę wierzyć lub nie, pułkowniku, ale to

jest właśnie odpowiedź.

Giordino i Lewis, w jednakowym stopniu stropieni, najpierw popatrzyli po sobie, a potem zgodnie obrócili wzrok na Pitta.

Jak pan wie, pułkownik - podjął Pitt - admirał Sandecker wysłał Giordino i mnie na Thasos w celu zbadania zastanawiającej serii niefortunnych wypadków, jakie dotknęły prowadzoną na morzu operację NUMY. Dziś rano, podczas rozmowy z komandorem Gunnem, odkryłem ślady sabotażu, co skłania mnie do wyrażenia opinii, iż pomiędzy wydarzeniami na pokładzie Pierwszego Podejścia a nalotem istnieje niewątpliwy związek. Otóż: jeśli pójdziemy z naszą teorią o krok dalej, stanie się oczywiste, że Lotnisko Brady bynajmniej nie było głównym celem widmowego napastnika. Nalot służył jedynie do tego, aby w sposób niebezpośredni usunąć z wód przybrzeżnych Thasos Pierwsze Podejście.

Zadumany Lewis popatrzył na Pitta. - Chyba zatem następne pytanie powinno brzmieć "dlaczego?"

- Nie znam jeszcze odpowiedzi - rzekł Pitt. - Ale jestem pewien, że naszym tajemniczym przyjacielem, który ma skłonność do dramatycznych widowisk, powodują istotne, nie byle jakie motywy. Nie uciekałby się do tak wyrafinowanych metod, gdyby stawki w jego rozgrywce były groszowe. Prawdopodobnie ukrywa coś, na co przypadkiem mogliby się napatoczyć badacze z Pierwszego Podejścia.

- Przyjmijmy, że to "coś", o czym pan mówi, jest zatopionym skarbem - zasugerował Lewis z łakomym błyskiem w oku.

Pitt wyjął z walizki kepi i zawadiacko założył je na głowę. - To najoczywistszy wniosek.

- Ciekawe, jaki to skarb oraz ile jest wart - cicho, z rozmarzeniem powiedział Lewis.

Pitt zwrócił się do Giordino: - Al, skontaktuj się z admirałem Sandeckerem, poproś o kwerendę wszystkich miejsc w pobliżu Thasos, gdzie mogłyby znajdować się zaginione albo zatopione skarby, i jak najszybsze przysłanie danych. Powiedz, że to bardzo pilne.

- Zrobione - odparł Giordino. - W Waszyngtonie jest teraz jedenasta, więc odpowiedź powinniśmy mieć na jutro rano.

- No, wreszcie ruszamy z miejsca - zagrzmiał Lewis. - Im szybciej będę wiedzieć coś konkretnego, tym szybciej przestanę mieć Pentagon na karku. Czy mógłbym wam jakoś pomóc?

Pitt ponownie zerknął na zegarek. - Jak powiadają skauci: "Bądź gotów". To chwilowo wszystko, na co możemy się zdobyć. Pójdę o zakład, że zarówno Baza, jak i Pierwsze Podejście są uważnie obserwowane. Kiedy stanie się jasne, że nie rozpoczęła się ewakuacja, a statek stoi na kotwicy, jak stał, będziemy mogli się spodziewać następnej wizyty żółtego albatrosa. Pan, pułkownik, już miał swój ubaw. Przypuszczam, że następny w kolejce jest komandor Gunn.

- Proszę poinformować komandora - powiedział Lewis - że udzielę mu wszelkiej pomocy, na jaką mnie stać.

- Dziękuję, panie pułkownik - odparł Pitt - ale nie sądzę aby ostrzeżenie komandora Gunna już w tej chwili było rozsądne.

- Na rany boskie, dlaczego? - parsknął Giordino.

Pitt posłał mu zimny uśmiech. - Na razie wszystko opiera się na przypuszczeniach, a poza tym jakiegokolwiek przygotowania na pokładzie Pierwszego Podejścia zdradzą nasze zamiary. Nie, musimy wywabić na otwartą przestrzeń naszego ducha z I wojny.

- Nie możesz narażać na szwank naukowców i marynarzy, nie dając im szansy zorganizowania obrony - zaproponował Giordino.

- Gunnowi nie grozi żadne natychmiastowe niebezpieczeństwo. Nasz widmowy pilot odczeka przynajmniej jeszcze jeden dzień i zaatakuje ponownie dopiero wtedy, gdy stwierdzi, że Pierwsze Podejście nie odpłynęło - Pitt rozpromienił oblicze w anielskim uśmiechu. - A tymczasem ja poświęcę swoje talenty twórcze na wykoncypowanie małej pułapki.

Lewis wstał i przeciągle popatrzył na Pitta. - Dla dobra tych ludzi na statku mam nadzieję, że będzie nie tylko mała, lecz również skuteczna - powiedział.

- Panie pułkowniku, żadnego planu nie można uznać za doskonały - zareplikował Pitt - dopóki nie wcieli się go w życie. Giordino ruszył ku drzwiom. - Idę do Centrali pchnąć depeszę i o admirała.

- Jak się pan z tym upora, zapraszam do siebie na kolację - powiedział Lewis, a potem, kręcąc wąsa, odwrócił się do Pitta. Pana, oczywiście, też. Chłopcy, to będzie paluszki lizać, bo upichcę wam swoją specjalność: eskalopki z pieczarkami w sosie z białego wina.

- Brzmi niezwykle kusząco - powiedział Pitt - ale obawiam się, że będę musiał odmówić. Już wcześniej zobowiązałem się zjeść kolację... z pewną bardzo urodziwą damą.

Giordino i Lewis potrafili się zdobyć tylko na rozdziawienie ust.

Pitt usiłował zachowywać się nonszalancko. - Wysyła samochód, który o szóstej zabierze mnie spod bramy głównej, a skoro pozostało mi zaledwie dwie i pół minuty, żeby tam dotrzeć, muszę natychmiast biec. Miłego wieczoru, panie pułkowniku, i dziękuję za zaproszenie. Mam nadzieję, że zechce je pan ponowić. - Potem zwrócił się do Giordino: - Al, kiedy przyjdzie odpowiedź od admirała, powiadom mnie bez zwłoki.

Kiedy wyszedł z pokoju, Lewis powoli pokręcił głową. - Zgrywa się, czy naprawdę ma randkę z dziewczyną?

- Dirk, jak go znam, nigdy nie zgrywa się na temat kobiet, panie pułkowniku - odrzekł Giordino, którego oszołomienie Lewisa zaczynało bawić.

- Ale gdzie ją podłapał? Wydaje mi się, że był tylko w bazie i na statku.

Giordino wzruszył ramionami. - Głupi jestem. Ale wiedząc o Picie tyle, ile o nim wiem, nie byłbym zaskoczony, gdyby poderwał panienkę na tym kilkudziesięciometrowym odcinku pomiędzy bramą a przystanią.

Gromki rechot Lewisa wypełnił cały pokój. - Cóż, więc chodźmy, kapitanie. Wprawdzie nie jestem seksowną panienką, ale mam kulinarny talent. Co pan powie na moje eskalopki?

- Czemu nie? - odrzekł Giordino. - To najciekawsza propozycja, jaką otrzymałem w ciągu całego dzisiejszego popołudnia.

Rozdział 5

W miarę jak poza górami Thasos słońce chyliło się ku zachodowi, zaczął z wolna ustępować nieznośny skwar. Kiedy Pitt przekroczył bramę główną Lotniska Brady, długie zębate cienie zarosłych drzewami szczytów spłynęły już ze stoków i dotykały bliższej morzu granicy bazy. Pitt przystanął na drodze i delektując się lekkim mrowieniem w płucach, głęboko zaczerpnął czystego śródziemnomorskiego powietrza; potem, zwalczywszy natrętny odruch, by sięgnąć po papierosa, dotlenił się jeszcze raz i spojrzał na morze. Pierwsze Podejście, oddzielone od brzegu rozfalowaną materią wody, słońce ubarwiło na malowniczy złotopomarańczowy kolor. Nawet z odległości trzech kilometrów Pitt dostrzegł wyraźnie zdumiewającą liczbę szczegółów na pokładzie. Stał, pochłonięty

bez reszty pięknem tej sceny, przez niemal dwie minuty, zanim zaczął się rozglądać za samochodem, który obiecała przysłać po niego Teri.

Parkował nieco z boku, przywodząc na myśl stojący na kotwicy superluksusowy jacht.

- Niech mnie cholera! - mruknął Pitt i z nie skrywanym podziwem w oczach zbliżył się do auta.

Była to limuzyna maybach-zeppelin, w której nie brakowało nawet opuszczanej szyby, oddzielającej zamkniętą kabinę pasażerską od szofera, wystawionego na działanie słońca czy deszczu. Za chłodnicą, zdobną wielkim ornamentem w kształcie dwóch liter M, ciągnęły się dwa metry maski, zakończonych niską, dwudzielną szybą przednią; stwarzało to wrażenie nieokiełznanej brutalnej siły. Długie opływowe błotniki i stopnie lśniły czernią, resztę karoserii jednak pokrywał kładziony wielowarstwowo ciemnosrebrny lakier. Oto klasyk pośród klasyków: znakomite niemieckie wykonawstwo widoczne było w każdym okuciu, w każdej śrubce i nakrętce. Jeśli pochodzący z 1936 roku rolls-royce phantom III ucieleśniał brytyjski ideał bezgłośności i mechanicznej perfekcji, to jego niemieckim odpowiednikiem i rówieśnikiem był właśnie maybach-zeppelin.

Pitt zbliżył się do maski, powiódł dłonią po monstrualnym kole zapasowym, umocowanym ponad błotnikiem, a wreszcie uśmiechnął się z mieszaniną satysfakcji i ulgi, kiedy stwierdził, że głęboki bieżnik opony przypomina mozaikę z brylantów. Poklepał wielki precel koła i przeniósł wzrok na kierowcę.

Szofer, rozwalony na swoim siedzeniu, bezmyślnie bębnił palcami w krawędź drzwi. Nie tylko sprawiał wrażenie znudzonego, lecz również ziewnął, aby udowodnić, że istotnie się nudzi. Nosił szarozieloną kurtkę, która, gdyby nie to, iż była pozbawiona jakichkolwiek insygniów, stanowiłaby niemal replikę munduru niemieckiego oficera z czasów II wojny. Czapka o szerokim daszku zakrywała włosy i tylko na podstawie baczków można było zawyrokować, że jest blondynem. Miał na nosie połyskujące w promieniach słońca staroświeckie okulary w srebrnych oprawkach, w kąciku skrzywionych ust - długiego cienkiego papierosa, na całej twarzy zaś - wyraz samozadowolenia i nie skrywanej arogancji.

Pitt go z miejsca znieubił. Postawił nogę na stopniu i przeciągle popatrzył na umundurowanego faceta. Chyba czeka pan na mnie. Nazywam się Pitt.

Szofer nie zadał sobie trudu, aby choć zerknąć na pasażera: pstryknięciem wystrzelił papierosa ponad ramieniem Pitta, wyprostował się i przekręcił kluczyk w stacyjce. Jeśli to pan jest ten amerykański śmieciarz - powiedział z silnym niemieckim akcentem - może pan wsiadać.

Pitt uśmiechnął się, ale jego oczy stwardniały. - Do przodu z cuchnącym chamstwem, czy do tyłu z państwem?

- Gdzie pan sobie chce - odrzekł szofer. Twarz mu spurpurowiała, ale nadal nie podnosił głowy.

- Dziękuję - powiedział grzecznie Pitt. - Wobec tego do tyłu. - Przycisnął wielką chromowaną klamkę, otworzył drzwi godne skarbcza bankowego i wsiadł do limuzyny. Do szklanego przepierzenia była umocowana zwijana roleta, opuścił ją więc, aby nie widzieć szofera, rozsiadł się na wygodnej skórzanej kanapie i zapalił papierosa, gotów smakować rozkosze przedwieczornej przejażdżki drogami Thasos.

Silnik maybacha cichutko obudził się do życia i odpowiadał szeptem na wszystkie zmiany biegów, jakie, rozpędzając wóz na drodze wiodącej w stronę Liminas, wykonywał szofer.

Pitt otworzył okno i odprowadzał spojrzeniem rosnące na zboczach wzniesień jodły i orzechy, obrzeżające wąziutkie plaże prastare oliwki, a także z rzadka rozrzucone na pobliskich pagórkach

poletka tytoniu czy pszenicy, które przywodziły mu na myśl owe małe farmy, jakie widywał tak często, przelatując nad południowymi stanami swojego kraju.

Auto tocząc się po wiekowym bruku i rozpryskując kałuże przejechało przez malowniczą wieś Panaghia; większość domów, dla obrony przed słonecznym żarem, była tu pomalowana na biało, a okapy dachów, obrysowanych czerwienią zachodzącego słońca, niemal stykały się nad wąziutkimi uliczkami. Uplętnęło zaledwie kilka minut, odkąd zostawili za sobą Panaghię, a już w polu widzenia pojawiło się Liminas: omijając centrum miasteczka samochód gwałtownie skręcił i wraził swój krokodyli pysk w zapyloną górską drogę. Zrazu pięła się łagodnie, wnet jednak jej narastającą stromiznę poskręcała seria ostrych wiraży.

Pitt czuł, jak szofer boryka się z kierownicą maybacha: limuzynę zaprojektowano raczej dla rekreacyjnych przejażdżek aleją Unter den Linden, aniżeli karkołomnych rajdów po katujących resory górskich szlakach, gdzie dobrze mogą się czuć tylko muły. Spoglądając na morze, rozciągające się w dole przepastnych urwisk, zadawał sobie pytanie, co by się stało, gdyby z przeciwnej strony nadjeżdżał inny samochód. Potem zobaczył cel podróży: wielką białą bryłę na tle ciemniejących szarych skał. Zakręty wreszcie się skończyły i wielkie koła o brylantowym bieżniku wjechały na twardą nawierzchnię podjazdu.

Pitt był pod wrażeniem; jeśli chodzi o rozmiary, willa mogła iść w zawody z budowlami Forum Romanum, cała posesja doskonale utrzymana, wszędzie zaś panowała atmosfera bogactwa i dobrego smaku. Z posiadłości, wtulonej w dolinę pomiędzy dwoma sporymi szczytami, roztaczał się wspaniały widok na Morze Egejskie. Brama, zapewne pociągnięta przez niewidocznego odźwiernego, rozwarła się tajemniczo i szofer bezceremonialnie dodając gazu pomknął schludną jodłową aleją, a następnie zahamował przed marmurowymi schodami. Pitta wysiadającego z maybacha powitało nieme spojrzenie stojącego na środku schodów antycznego posągu, który przedstawiał kobietę z dzieckiem na rękach.

Pitt zdążył pokonać już kilka stopni, gdy zatrzymał się nagle, odwrócił i podszedł do samochodu.

- Wybacz, sałata - powiedział - ale nie dosłyszałem twojego nazwiska.

Stropiony szofer podniósł głowę. - Nazywam się Willi. Czemu pan pyta?

- Willi, drogi przyjacielu - oświadczył z powagą Pitt - muszę ci coś powiedzieć. Nie wy siadłbyś na momencik z auta?

Willi zmarszczył czoło, ale wzruszywszy ramionami wysiadł z samochodu i stanął przed Pittem. - Co takiego, Her Pitt, ma mi pan do powiedzenia?

- Widzę, że nosisz oficerki, Willi.

- Ja, noszę oficerki.

Pitt błysnął najpromienniejszym ze swoich komiwojażerskich uśmiechów. - A one bywają podbite ćwiekami, nieprawdaż?

- A mają ćwieki - odparł poirytowany Willi. - Czemu marnuje pan mój czas? Czekaają na mnie obowiązki. No więc co chce mi pan powiedzieć?

Spojrzenie Pitta stwardniało. - Otóż, przyjacielu, żywię przekonanie, iż jeśli chcesz zdobyć sprawność podglądacza, mam święty obowiązek ostrzec cię, że okulary w srebrnych oprawkach mają skłonność do błyszczenia w słońcu i mogą łatwo zdradzić twoją kryjówkę.

Willi pobladł i zaczął coś mówić, ale pięść Pitta na powrót wtłoczyła mu słowa do gardła. Głowa szofera z szarpnięciem skoczyła do góry i w tył - przy czym czapka poleciała w powietrze - jego oczy zaś nagle stały się tępe i puste; Willi zakołysał się jak opadający liść i spłynął na kolana,

by zastygnąć w pozycji ucieleśniającej oszołomienie i bezradność. Z jego złamanego nosa pociekł strumień krwawej flegmy, tworząc z szarzieloną materią kurtki w tle interesującą, zdaniem Pitta, kompozycję kolorystyczną.

Wreszcie Willi padł twarzą na marmurowe stopnie i legł jak łachman.

Pitt, uśmiechając się z zimną satysfakcją, pomasował nadwerżone kostki palców, odwrócił się i biorąc po trzy stopnie na raz, ruszył po schodach. Minawszy kamienny hak, znalazł się na kolistym dziedzińcu z basenem o krystalicznie czystej wodzie pośrodku. Cały dziedziniec otaczało dwadzieścia kilka posągów naturalnej wielkości: rzymscy żołnierze w hełmach posępnie spoglądali kamiennymi niewidzącymi oczyma na swe białe odbicia w wodzie, jak gdyby szukali dawno utraconych wspomnień o zwycięskich bitwach i chwalebnych wojnach. Gęstniejący mrok spowijał każdą z postaci niematerialną opończą, budząc w Picie niesamowite wrażenie, iż lada chwila kamienni wojownicy ożyją i wezmą wилę w kleszcze oblężenia.

Spiesznie obszedł basen i dotarł do masywnych dwuskrzydłowych drzwi w przeciwległym końcu dziedzińca. Zwieszała się z nich odlana na kształt lwiego łba duża kołatka z brązu - Pitt ujął pierścień i mocno uderzył, a później odwrócił głowę i raz jeszcze spojrzął na dziedziniec, który przypominał mu mauzoleum. Uznał, że do pełnego efektu brakuje kilku wieńców i dyskretnej organowej muzyki.

Drzwi rozwarły się bezgłośnie i Pitt zajrzał do środka, a gdy nikogo nie zobaczył - zawahał się na moment. Moment urósł w minutę, minuta w dwie i wreszcie, znudzony tą grą w chowanego Pitt naprężył bary, dłonie zacisnął w pięści i przestąpiwszy próg wkroczył do bogato zdobionego przedsionka.

Ściany były tu poobwieszane gobelinami, przedstawiającymi sceny z dawnych bitew: gdziekolwiek spojrzeć, zwarte szeregi haftowanych armii dziarsko szły do boju. Pomieszczenie wieńczyło kopulaste sklepienie, z którego sączyło się łagodne żółtawe światło. Pitt rozejrzał się dokoła, a zyskawszy pewność, że jest sam, usiadł na jednej z dwóch ustawionych pośrodku przedpokoju rzeźbionych marmurowych ław i zapalił papierosa. Czas mijał i niebawem Pitt zaczął, daremnie zresztą, szukać popielniczki.

Wtedy nagle bezszelestnie odsunął się jeden z gobelinów i w towarzystwie ogromnego białego psa do salki wszedł stary, masywnie zbudowany mężczyzna.

Rozdział 6

Lekko oszołomiony Pitt przeniósł niepewny wzrok z gigantycznego owczarka na twarz jego sędziwego pana. Znał takie fizjonomie choćby z powtórek starych filmów w telewizyjnym nocnym kinie: bezszyja wygolona głowa, złowieszcze oblicze o rozbieganych oczkach i ustach zaciśniętych tak mocno, jakby ich właściciel cierpiał na zatwardzenie. Cielsko zresztą też było utrzymane w poetyce właściwej czarnym charakterom: jego kulista masywność wypełniało ubite mięcho bez odrobiny tłuszczu. Brakowało tylko szpicruty i oficerek. Pittowi przebiegło przez myśl, że oto zmartwychwstał Erich von Stroheim, "facet, którego uwielbiacie nienawidzić" - i zaraz przystąpi do filmowania kolejnej sceny ze "Skapstwa".

- Dobry wieczór - powiedział starzec głosem o podejrzenie gardłowym brzmieniu. - Jest pan zapewne tym dżentelmenem, którego moja siostrzenica zaprosiła na kolację?

Pitt wstał, obserwując kątem oka posapujące psisko. Tak, szanowny panie. Major Dirk Pitt, do usług.

Wyraz zaskoczenia przeciął krechę czoło pod napiętą jak bęben skórą czerepu. - Ze słów siostrzenicy wysnułem wniosek, że nie ma pan nawet stopnia sierżanta, pańska zaś funkcja wojskowa polega na zbieraniu śmieci.

- Musi mi pan wybaczyć moje amerykańskie poczucie humoru - odparł Pitt, delektując się zmieszaniem gospodarza. - Mam nadzieję, że ta drobna mistyfikacja nie sprawiła panu kłopotu.

- Stała się najwyżej powodem przelotnej troski. - Wiekowy Niemiec wyciągnął rękę, badawczo przypatrując się Pittowi. - To prawdziwy zaszczyt poznać pana, majorze. Jestem Bruno von Till.

Pitt uściśnął podaną dłoń i zrewanżował się równie przenikliwym spojrzeniem. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Von Till odchylił jeden z gobelinów, ukazując ukryte za nim drzwi. - Proszę tędy, majorze. Wypijemy po kieliszku, oczekując aż Teri skończy toaletę. Zapewne pan nie odmówi?

Idąc za barczystym mężczyzną i białym psem Pitt przemierzył mroczny korytarz i wszedł do otchłannego gabinetu. Łukowo sklepiony sufit, wsparty na kilku żłobkowanych jońskich kolumnach, dzieliło od posadzki przynajmniej dziewięć metrów, oszczędnie zaś rozstawione, klasyczne w swej prostocie meble przydawały imponującemu wnętrzu atmosfery dyskretnej elegancji. Stolik na kółkach dźwigał zestaw osobliwych greckich przekąsek, a w ściennym wykuszu krył się doskonale zaopatrzone barek. Tuż nad nim, na półce, widniał jedyny element wystroju, stanowiący - zdaniem Pitta - dysonans w tej starannie zakomponowanej całości: model niemieckiego okrętu podwodnego.

Von Till gestem zachęcił Pitta do zajęcia miejsca. - Na co miałby pan ochotę, majorze?

- Proszę o szkocką z lodem - odrzekł Pitt, rozsiadając się na kanapie. - Pańska willa jest doprawdy imponująca i ma zapewne ciekawą historię.

- Tak, zbudowana przez Rzymian w 138 roku przed Chrystusem, pełniła pierwotnie funkcję świątyni Minerwy, bogini mądrości. Kupiłem ruiny tuż po pierwszej wojnie światowej i nadałem im taki kształt, jaki pan obecnie widzi. Podał Pittowi szklaneczkę. - Czy wzniesiemy jakiś toast?

- Za kogo lub za co?

- Wybór należy do pana, majorze - odparł z uśmiechem von Till. - Za piękne kobiety... bogactwo... długowieczność. Może za prezydenta pańskiego kraju.

Pitt głęboko zaczerpnął powietrza. - W takim razie - oświadczył - proponuję toast za męstwo i kunszt lotniczy Kurta Heiberta, Jastrzębia Macedonii.

Twarz von Tilla, który powoli opadł na krzesło i zaczął obracać w palcach swoją szklaneczkę, straciła wszelki wyraz. - Jest pan doprawdy niezwykłym człowiekiem, majorze. Podaje się pan za śmieciarza. Składając mi wizytę, napada mego szofera, a wreszcie zdumiewa mnie jeszcze bardziej proponując toast ku czci Kurta Heiberta, mojego starego towarzysza broni z lotnictwa. - Nad krawędzią szklanki posłał Pittowi chytre spojrzenie. - Aliści największym z pańskich dokonań jest uwiedzenie dzisiaj rano na plaży mojej siostrzenicy. Gratuluję panu tego osiągnięcia i wyrażam za nie wdzięczność, po raz pierwszy bowiem od dziewięciu lat widziałem dziś Teri, która napawając się życiem podśpiewywała radośnie i była roześmiana. Obawiam się zatem, że jestem zmuszony wybaczyć panu jego wyuzdane zachowanie.

W tym momencie zaskoczony powinien poczuć się Pitt, ten jednak odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem. - Proszę o wybaczenie każdej z wymienionych przewin, wyjąwszy może obróbkę, jaką zafundowałem pańskiemu zboczonemu szoferowi. W pełni na nią zasłużył.

- Biedny Willi nie był niczemu winien. Działał tylko w myśl moich rozkazów, miał śledzić i chronić Teri.

- A cóż złego mogłoby się jej przydarzyć?

Von Till wstał, podszedł do balkonowych drzwi, prowadzących na otwarty taras, i wbił wzrok w horyzont ponad ciemniejącym morzem. - Przez pół stulecia z górą, płacąc wysoką cenę, wypruwałem z siebie żyły, aby stworzyć naprawdę znaczące przedsiębiorstwo. Po drodze zrobiłem sobie również kilku wrogów. Skąd mam wiedzieć, w jaki sposób któryś z nich mógłby zechcieć wyrzucić na mnie zemstę?

Pitt popatrzył badawczo na von Tilla. - Czy dlatego właśnie nosi pan pod pachą lugera?

Von Till odwrócił się od okna i mimowolnie wygładził wybrzuszenie białej smokingowej marynarki w okolicach lewej pachy. - Czy mógłbym zapytać, skąd pan wie, że to luger?

- To tylko przypuszczenie - odparł Pitt. - Wygląda mi pan na zwolennika lugerów.

Von Till wzruszył ramionami. - Zwykle unikam tak... przyziemnych metod, z przedstawionego jednak przez Teri opisu pańskiej osoby miałem wszelkie prawo wnioskować, iż jest pan, najogólniej mówiąc, podejrzanym typkiem.

- Przyznaję ze skruchą, iż w swoim czasie dopuściłem się kilku grzesznych uczynków - odparł z szerokim uśmiechem Pitt - jakkolwiek nie mam na koncie ani morderstw, ani wymuszeń.

Twarz von Tilla począł wykrzywiać dwuznaczny grymas. - Nie sądzę, by... jak to mawiacie, wy, Amerykanie?... siedząc w moim siodle okazywał pan podobną dezynwolturę.

- Pańskie siodło zaczyna mi wyglądać bardzo tajemniczo, Hen von Till - stwierdził Pitt. - A właściwie w jakiej branży pan działa?

W oczach von Tilla zabłysła podejrzliwość, a jego usta wykrzywił fałszywy uśmieszek. - Ta informacja, drogi majorze, mogłaby zepsuć panu apetyt, co zapewne bardzo rozgniewałoby Teri, która spędziła w kuchni pół popołudnia, doglądając przyrządzania dzisiejszej kolacji. - W typowo europejski sposób wzruszył ramionami. - Może powiem to panu innym razem, kiedy poznamy się nieco lepiej.

Pitt zawirował szklaneczką z ostatnim łykiem szkockiej, zadając sobie pytanie, w co się właściwie władował. Von Till, uznał wreszcie, był albo szajbuszem, albo też niezwykle szczwanym kombinatorem.

- Czy mogę służyć następnym drinkiem? - zapytał von Till.

- Szkoda fatygi, sam sobie naleję. - Dopił whisky, podszedł do baru i napełnił szklaneczkę. Potem uważnie spojrzął na von Tilla. - Z moich lektur na temat awiacji podczas pierwszej wojny światowej wnioskuję, że okoliczności śmierci Kurta Heiberta są dosyć mgliste. Wedle oficjalnych raportów niemieckich, zestrzelony przez Brytyjczyków runął do Morza Egejskiego, raporty te jednak dyskretnie przemilczają nazwisko zwycięskiego przeciwnika Heiberta. Jak też fakt, czy kiedykolwiek odnaleziono jego zwłoki.

Von Till z roztargnieniem głąskał psa, a jego oczy przez kilka chwil zdawały się patrzeć w przeszłość. Na koniec powiedział: - Wtedy, w 1918 roku, Kurt toczył z Anglikami swoją własną, prywatną wojnę. Z rzadka bywał podczas lotów bojowych pilotem opanowanym i kompetentnym - prowadził maszynę w sposób zaiste szaleńczy, atakując zaś formacje brytyjskie zachowywał się jak człowiek opętany tańcem świętego Wita. W powietrzu pieklił się, kłął i aż do krwi ranił dłonie, waląc nimi w deskę rozdzielczą, przy starcie jego albatros podrywał się z ziemi jak przestraszony ptak. Kiedy jednak nie był na patrolu i chociaż na chwilę potrafił zapomnieć o wojnie, okazywał wielkie poczucie humoru, stając się całkowitym zaprzeczeniem takiego wizerunku żołnierza niemieckiego, jaki wy, Amerykanie, sobie wyobrażacie z uporem godnym lepszej sprawy.

Pitt, uśmiechając się kątem ust, powoli pokręcił głową. - Zachce pan wybaczyć, Herr von Till, ale spotkanie z niemieckim wojakiem, zasługującym na miano becзки śmiechu, jest dla większości moich towarzyszy broni wydarzeniem wciąż skrytym w mrokach jutra.

Łysy Niemiec zignorował uwagę Pitta, a jego twarz zachowała wyraz powagi. - Przyczyną śmierci Kurta, kiedy wreszcie nadeszła, był sprytny angielski podstęp. Otóż Brytyjczycy, dokonawszy wnikliwej analizy taktyki Kurta, rychło odkryli jego słabość do atakowania i niszczenia balonów obserwacyjnych. Ściągnęli zatem wysłużony balon, w jego zaś koszu umieścili potężny ładunek

wybuchowy oraz wypchaną zielskiem kukłę w mundurze; balon był połączony z ziemią przewodem, umożliwiającym zdalną detonację. Teraz Anglicy musieli tylko poczekać, aż pojawi się Kurt. - Von Till opadł na oparcie miękkiej kanapy; patrzył w sufit, ale oczyma duszy widział takie niebo, jakie wisiało nad Grecją w 1918 roku. - Nie czekali długo. Już na drugi dzień Kurt przeleciał nad liniami sprzymierzonych i dostrzegł balon, kołyszący się łagodnie w podmuchach bryzy, wiejącej ku morzu. Bez wątpienia zadał sobie pytanie, dlaczego nie wita go ogień przeciwlotniczy... Zapewne dlatego, że obserwator, wsparty o barierkę kosza, spał jak zabity, nie usiłując nawet ratować życia skokiem ze spadochronem, kiedy karabiny maszynowe Kurta obróciły wypełniony wodorem wór w ognistą chmurę.

- Nie miał pojęcia, że to pułapka? - zapytał Pitt.

- Nie - odrzekł von Till. - Balon tam po prostu był, symbolizował nieprzyjaciela. Kurt zaatakował lotem nurkowym niemal automatycznie. Zbliżył się do balonu, a kule jego karabinów maszynowych spandau rozpruły powłokę. I wtedy, nagle, balon eksplodował, wzniecając fontanny dymu i ognia. Brytyjczycy zdetonowali ładunek wybuchowy.

- Heibert roztrzaskał się za liniami alianckimi? - spytał z zadumą Pitt.

- Kurt wcale nie rozbił się po eksplozji - odrzekł von Till, powracając myślami do terażniejszości. - Albatros przedarł się przez ogniste piekło, jednak dzielny samolocik, który niósł Kurta w tyłu powietrznych bitwach, był straszliwie okaleczony, sam zaś Kurt - ciężko ranny. Z podartą na strzępy materiałą płatów, z rozbitą deską rozdzielczą i zakrwawionym pilotem w kabinie, maszyna chwiejnym lotem minęła linię macedońskiego wybrzeża i zniknęła gdzieś nad morzem. Odtąd nie widziano ani Jastrzębia Macedonii, ani jego żółtego albatrosa.

- A przynajmniej nie widziano do wczoraj. - Pitt znów wziął głęboki oddech i czekał na jakąś wymowną reakcję.

Oczy von Tilla w twarzy poza tym całkowicie pozbawionej wyrazu lekko się zaokrągliły, ale Niemiec nic nie odrzekł. Wydawało się, że waży słowa Pitta.

Pitt niezwłocznie wrócił do pierwotnego tematu.

- Czy często latał pan z Heibertem?

- Tak, wiele razy pełniliśmy wspólnie służbę patrolową. Zdarzało się nawet, że braliśmy dwumiejscowy bombowiec "Rumpler" i zrzucaliśmy bomby zapalające na lotnisko brytyjskie, które mieściło się właśnie tu, na Thasos. Kurt pilotował, ja zaś pełniłem funkcję obserwatora i bombardiera.

- Gdzie stacjonowała wasza eskadra?

- Byliśmy z Kurtem członkami eskadry Jasta 73 i naszą bazą wypadową było lotnisko Xanthi w Macedonii.

Pitt zapalił papierosa, a potem popatrzył na sędziwą, lecz wyprostowaną sylwetkę von Tilla. - Dziękuję za lapidarną, a zarazem szczegółową relację o śmierci Heiberta. Niczego pan nie pominął.

- Kurt był moim serdecznym przyjacielem powiedział melancholijnie von Till - a ja takich rzeczy łatwo nie zapominam. Dokładnie pamiętam nawet datę i czas. Było to piętnastego lipca 1918 o godzinie dwudziestej pierwszej.

- Wydaje się co najmniej dziwne, że nikt poza panem nie zna pełnego przebiegu zdarzenia - mruknął Pitt, którego chłodne i nieruchome oczy zdradzały determinację. - Ani archiwa berlińskie, ani też akta londyńskiego Muzeum Lotnictwa nie dysponują żadnymi informacjami na temat śmierci Heiberta. Wszystkie materiały źródłowe, które zdołałem przestudiować, podają, że Heibert, podobnie jak inne wielkie asy lotnictwa - na przykład Albert Bali czy Georges Guynemer - zaginął

bez wieści w nie wyjaśnionych okolicznościach.

- Dobry Boże - warknął z rozdrażnieniem von Till - w niemieckich archiwach brakuje faktów, bo Cesarskie Najwyższe Dowództwo zawsze miało gdzieś wojnę w Macedonii, Anglicy zaś nigdy nie ośmielią się opublikować słowa na temat tak niesportowego postępku. Poza tym samolot Kurta wciąż leciał, kiedy widzieli go po raz ostatni, mogli zatem jedynie domniemywać, że ich zdradziecki plan został uwieńczony sukcesem.

- Nigdy więc nie trafiono na ślad człowieka i jego samolotu?

- Nigdy. Po wojnie brat Heiberta wszczął wprawdzie poszukiwania, ale miejsce wiecznego spoczynku Kurta wciąż pozostaje tajemnicą.

- Czy ów brat był również lotnikiem?

- Nie. Spotkałem się z nim kilkakrotnie przed drugą wojną światową. Był oficerem niemieckiej marynarki wojennej.

Pitt umilkł. Doszedł do wniosku, że opowieść von Tilla sprawia wrażenie gadki, trzymanej na podorędziu. A poza tym nie mógł się oprzeć uczuciu, że jest wykorzystywany w charakterze drewnianego wabika podczas wiosennych polowań na kaczory, co gdzieś w głębi duszy budziło złe przeczucie. Wtedy usłyszał stukot szpilek na posadzce i chociaż nie mógł tego widzieć, zorientował się, że do sali weszła Teri.

- Witam panów - rzuciła beztrzesko i radośnie.

Pitt pospiesznie się odwrócił. Miała na sobie sukienkę mini, zainspirowaną krojem greckiego peplum, która miękkimi fałdami opływała smukłe uda. Żółtopomarańczowy kolor też przypadł Pittowi do gustu i doskonale harmonizował z kruczą czernią jej włosów. Spojrzenie Teri, zrazu nieuważne, wnet skoncentrowało się na mundurze Pitta i wtedy dziewczyna z lekka poblądła, a potem uniosła dłoń ku wargom w tym samym geście, jaki Pitt dostrzegł wcześniej, na plaży. Dopiero później uśmiechnęła się słabo i emanując cudownie seksownym ciepłem podeszła do gościa.

- Dobry wieczór, oszałamiająca istoto - powiedział Pitt, całując wyciągniętą dłoń.

Teri, oblewając się rumieńcem, podniosła wzrok na uśmiechnięte od ucha do ucha oblicze Pitta. - Miałam zamiar podziękować ci za wizytę - oświadczyła - ale teraz, skoro wiem, jak paskudny numer mi wykreśliłeś, jestem raczej skłonna wyrzucić cię na zbity...

- Nie kończ - przerwał jej Pitt, krzywiąc wargi w demonicznym uśmiechu. - Wiem, że mi nie uwierzysz, ale właśnie dzisiejszego popołudnia szef bazy odebrał mi funkcję śmieciarza, mianował pilotem i awansował do stopnia majora.

- Wstydź się - powiedziała ze śmiechem. - Mówiłeś, że nie jesteś nawet sierżantem.

- O nie. Powiedziałem tylko, że nigdy nie byłem sierżantem, a to prawda.

Wsunęła dłoń pod ramię Pitta. - Czy wujek Bruno zanudzał cię lotniczymi opowieściami z czasów Wielkiej Wojny?

- Fascynującymi - zgoda, ale w żadnym wypadku nudnymi - odparł Pitt. W oczach Teri za uśmiechem czaił się lęk i Pitt zastanawiał się, o czym naprawdę myśli ta dziewczyna.

Teri z dezaprobatą pokręciła głową. - Ach, wy, mężczyźni, i te wasze wojenne historyjki... - Wciąż nie spuszczała wzroku z munduru Pitta, a zwłaszcza z oficerskich insygniów. To nie ten sam mężczyzna, którego na plaży obdarzyła miłością. Ten był znacznie bardziej czarujący, miał więcej ogłady. - Po kolacji, wujku Bruno, możesz sobie bez reszty zagarnąć Dirka, który jednak teraz należy tylko do mnie.

Von Till fachowo strzelił obcasami i skłonił głowę. - Jak sobie życzysz, moja droga. Przez najbliższe półtorej godziny ty wydajesz rozkazy.

Żartobliwie zmarszczyła nos. - To ładnie z twojej strony, wujaszku. W takim razie mój rozkaz

brzmi: "Do stołu - marsz!"

Wyholowała Pitta na taras, a potem łagodnie obniżającymi się schodami sprowadziła na półkolisty balkon.

Rozpościerał się stąd widok zapierający dech w piersiach: v dole, znacznie poniżej poziomu willi, kolejno zapalały się światła A domach Liminas, na horyzoncie zaś, za morzem, pierwsze gwiazdy poczynały przebijać swym blaskiem sięgającą coraz dalej i dalej oponę mroku. Pośrodku balkonu rozstawiono stół dla trzech osób; sześć świec, skrytych w wielkim żółtym kloszu, rzucało na wszystko intrygującą poświatę, przemieniając w złoto srebrną zastawę.

Odsuwając krzesło dla Teri Pitt wyszeptał jej do ucha: - Lepiej uważaj na siebie. Wiesz, jak mnie podkręca romantyczna atmosfera.

Miała uśmiechnięte oczy, gdy podniosła na niego wzrok. - Skąd pomysł, że wpisałam ją w scenariusz?

Zanim Pitt zdołał odpowiedzieć, pojawił się von Till ze swoim depczącym mu po piętach olbrzymim psem, po czym pstryknął palcami; w okamgnieniu młoda Greczynka w stroju ludowym zaserwowała przystawki - półmisek serów, oliwki i ogórki. Potem była zupa - przyprawiony cytryną i żółtkami rosół z kury - a wreszcie danie główne: pieczone ostrygi z cebulą i mielonymi orzeszkami. Von Till odkorkował butelkę tradycyjnej greckiej retsiny, której żywiczny posmak przywiódł Pittowi na myśl terpentynę. Po uprzątnięciu talerzy służąca przyniosła tacę owoców i podała kawę zaparzoną na turecką modłę - zmielone ziarna osiadły na dnie filiżanek grubą warstwą fusów, przypominających muł.

Pitt zmusił się do przełknięcia mocnego, gorzkiego napitku i potarł kolanem o kolano Teri, która jednak, zamiast kokieteryjnego uśmiechu, jakiego oczekiwał, obdarzyła go zalęknionym spojrzeniem. Mogło się zdawać, że usiłuje mu coś powiedzieć.

- Cóż, majorze - odezwał się von Till - mam nadzieję, że przypadł panu do gustu nasz skromny posiłek.

- Tak, dziękuję - odparł Pitt. - Był doskonały.

Von Till nad stołem przeciągle popatrzył na Teri. Jego twarz była nieprzenikniona jak kamień, a głos - lodowato zimny. Chciałbym przez chwilę pozostać z majorem sam na sam, moja droga. Zechciej poczekać w gabinecie, dołączymy do ciebie niebawem.

Teri wydawała się zaskoczona. Wzdrygnęła się lekko i zacisnęła dłonie na krawędzi blatu.

- Wujku, proszę, jeszcze nie teraz. Czy nie mógłbyś swojej pogawędki z Dirkiem odłożyć na później?

Von Till posłał jej ostre spojrzenie. - Nie dyskutuj ze mną. Mam do omówienia z majorem Pittem kilka ważnych kwestii. Jestem zresztą pewien, że przed wyjściem zechce się jeszcze z tobą zobaczyć.

Pitt stwierdził, że narasta w nim gniew i zastanawiał się, skąd to nagłe rodzinne spięcie. Poczul, że po kręgosłupie przebiega mu szczególnie dreszczyk, będący dobrze znanym zwiastunem niebezpieczeństwa, sygnałem, że dojrzeła jakaś parszywa sytuacyjka. Niepostrzeżenie Pitt zwinął z tacy nóż do obierania owoców i podciągawszy nogawkę wsunął go w skarpetę.

Teri, której twarz bladła coraz bardziej, popatrzyła na Pitta:

- Zechciej mi wybaczyć, Dirk. Nie zamierzałam robić z siebie słodkiej idiotki.

- Nic się nie przejmuj - odparł z uśmiechem. - Mam słabość do słodkich idiotek pod warunkiem, że są ładne.

- Chyba potrafisz znaleźć właściwe słowa na każdą okoliczność - wyszeptała.

Ścisnął jej dłoń. - Przyjdę do ciebie najszybciej, jak będę mógł.

- Będę czekać. - Nagle do jej oczu napłynęły łzy i odwróciwszy się na pięcie ruszyła biegiem po schodach.

- Przepraszam za grubiański sposób, w jaki zwróciłem się do Teri - powiedział von Till. - Musiałem porozmawiać z panem w cztery oczy, a siostrzenica moja niezmiernie rzadko rozumie potrzebę czysto męskiej pogawędki bez niewieścich wtrętów. Stanowczość wobec kobiet jest często jedynym wyjściem, zgodzi się pan ze mną, nieprawdaż?

Pitt przytaknął. Nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna odpowiedź.

Von Till wcisnął papierosa do długiej cygarniczki z kości słoniowej i zapalił. - Niezmiernie chętnie wysłuchałbym relacji z wczorajszego ataku lotniczego na Lotnisko Brady powiedział. - Wedle informacji, jakie otrzymałem z tamtej części wyspy, na waszą bazę uderzył bardzo stary samolot nieznanego typu.

- Był może stary - odparł Pitt - ale z pewnością znany.

- Chce mi pan powiedzieć, żeście ustalili jego model?

Pitt badawczo wpatrywał się w twarz von Tilla. Przez chwilę w milczeniu bawił się widelcem, a potem odłożył go na obrus.

- Samolot został bez najmniejszych wątpliwości zidentyfikowany jako myśliwiec typu Albatros D-3.

- A pilot? - wycedził von Till przez zaciśnięte zęby. - Czy ustaliliście tożsamość pilota?

- Jeszcze nie, ale ustalimy ją niebawem.

- Wydaje się pan być pewien rychłego sukcesu.

Pitt nie spieszył się z odpowiedzią. Powoli, metodycznie zapalił papierosa. - A niby dlaczego nie? Antyczna, licząca sześćdziesiąt lat maszyna powinna bez większego trudu doprowadzić nas do swego właściciela.

Na twarzy von Tilla zagościł bezczelny uśmiezek. - Grecka Macedonia to obszar górski, dziki i niegościnnie. Są tu całe tysiące kilometrów kwadratowych wzniesień, dolin i stoczonych erozją równin, gdzie nawet jeden z waszych monstrualnych odrzutowych bombowców mógłby zniknąć bez śladu.

Pitt odwzajemnił uśmiech. - Kto mówi o przeszukiwaniu gór czy dolin?

- A gdzie indziej moglibyście szukać?

- W morzu - odparł Pitt, wskazując rozciągającą się w dole czarną gładź. - Przypuszczalnie w tym samym miejscu, gdzie w 1918 roku runął Kurt Heibert.

Von Till uniósł brew. - Czy chce pan, abym uwierzył w duchy?

- W szczenięcych latach - odrzekł z szerokim uśmiechem Pitt - wierzyliśmy w świętego Mikołaja.

Nieco później w istnienie dziewic. Dlaczego zatem nie dorzucić duchów do naszej listy?

- Wielkie dzięki, majorze, ale w moim przekonaniu przesady są niczym wobec suchych faktów i liczb.

- Co pozostawia nam jeszcze jeden trop, godzin zbadania - powiedział Pitt głosem wyraźnym i beznamiętnym.

Siedząc tak prosto, jakby kij połknął, von Till koso spoglądał na Pitta.

- Załóżmy, na przykład, że Kurt Heibert wciąż żyje.

Von Tillowi opadła szczeka, ale natychmiast Niemiec wziął się w garść i wypuścił chmurę papierosowego dymu. - To absurdalne. Kurt miałby dziś dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Niechże pan na mnie spojrzy, majorze. Urodziłem się w 1899 roku, Czy sądzi pan, że człowiek w moim wieku mógłby pilotować samolot z otwartym kokpitem, nie mówiąc o przeprowadzeniu ataku na lotnisko? Ja przynajmniej tak nie uważam.

- Fakty, rzecz jasna - odparł Pitt - przemawiają za pańską tezą. - Urwał na chwilę, przeczesując włosy długimi palcami. - A jednak wciąż się zastanawiam, czy Kurt Heibert nie ma z tym wszystkim jakiegoś związku. - Pitt przeniósł wzrok z gospodarza na jego wielkiego białego psa i poczuł, że zaczyna ogarniać go napięcie. Zaproszony przez Teri do willi, oczekiwał przyjemnej kolacji, zamiast tego jednak zwarł się w intelektualnym pojedynku z wujem dziewczyny, szcwanym pruskim staruchem, który - co do tego Pitt nie miał najmniejszych wątpliwości - o nalocie na Lotnisko Brady wie znacznie więcej, niż gotów jest przyznać. Najwyższy czas cisnąć harpunem... i do diabła z konsekwencjami! Skupił spojrzenie na twarzy von Tilla. - Jeśli Jastrząb Macedonii naprawdę zniknął sześćdziesiąt lat temu, by ponownie pojawić się wczoraj, pytanie brzmi: gdzie spędził czas dzielący te daty? W piekle, w niebie... czy na Thasos?

Z twarzy von Tilla znikła arogancja, zastąpił ją wyraz zakłopotania. - Chyba niezupełnie rozumiem, o czym pan mówi.

- Mówię o piekle - warknął Pitt. - Albo bierze mnie pan za kompletnego idiotę, albo sam go pan udaje. Sądzę, że nie ja panu, lecz pan mnie powinien relacjonować atak na Lotnisko Brady. - Przeciągał słowa, smakując sytuację.

Von Till, którego owalną twarz wykrzywił grymas gniewu, w okamgnieniu porwał się na nogi. - Zbyt daleko i głęboko, majorze Pitt, wniknął pan w obszary, które nie powinny pana obchodzić. Nie zniosę dłużej pańskich absurdalnych insynuacji. Muszę prosić, by zechciał pan opuścić mój dom.

Przez twarz Pitta przemknął wyraz pogardy. - Jak pan sobie życzy. - Odwrócił się w stronę schodów.

- Nie ma potrzeby, aby przechodził pan przez gabinet, majorze - oświadczył von Till, wskazując niewielkie drzwi, wklejone w przeciwległą ścianę balkonu. - Tamten korytarz doprowadzi pana do wyjścia.

- Chciałbym najpierw zobaczyć się z Teri.

- Nie widzę powodów, dla których miałby pan przedłużać swoją wizytę. - Chcąc podkreślić wagę gniewnych słów, von Uli posłał w twarz Pitta chmurę dymu. - Żądam również, aby nigdy więcej nie spotykał się pan i nie rozmawiał z moją bratanicą.

Pitt zacisnął pięści. - A jeśli nie usłucham?

Von Till uśmiechnął się złowieszczo. - Nie zamierzam panu grozić, majorze. - Jeśli z uporem będzie pan trwać przy swej agresywnej głupocie, po prostu ukarzę Teri.

- Ty parszywy pieprzony szkopie - warknął Pitt, tłumiąc w sobie chęć, by wymierzyć von Tillowi kopniaka w krocze. - Nie wiem, jaką aferę szykujesz, ale nie będę ukrywał, że z najwyższą przyjemnością stanę na uszach, żeby pokrzyżować ci plany. Zacznę od stwierdzenia, że atak na Lotnisko Brady nie przyniósł zaplanowanych rezultatów. Statek Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych pozostanie tam, gdzie w tej chwili kotwiczy, dopóki naukowcy nie zrealizują całego programu.

Dłonie von Tilla drżały, chociaż jego twarz zachowywała beznamiętny wyraz. - Serdeczne dzięki, majorze. Nie sądziłem, że tę istotną informację otrzymam tak wcześnie.

Wreszcie, pomyślał Pitt, stare szkopisko zaczyna się odsłaniać. Nie ma już najmniejszych wątpliwości, że za spiskiem, zmierzającym do pozbycia się Pierwszego Podejścia, stoi właśnie von Till. Ale dlaczego? Na to pytanie wciąż nie było odpowiedzi i Pitt zaryzykował strzał na oślep. - Traci pan czas, von Till. Płetwonurkowie z Pierwszego Podejścia znaleźli już zatopiony skarb i teraz zaczynają wydobywać go na powierzchnię.

Na twarzy von Tilla wykwitł szeroki uśmiech i Pitt z miejsca pojął, że jego kłamstwo było błędem.

- Kiepski strzał, majorze. Nie mógł się pan omylić bardziej.

Wyszarpnął z kabury lugera i wymierzył ciemnogrnatową lufę w szyję Pitta. Potem otworzył drzwi. - Czy będzie pan łaskaw? - powiedział, ukazując pistoletem próg.

Pitt rzucił pospieszne spojrzenie: korytarz, rozświetlony anemicznym blaskiem świec, wydawał się pusty. - Zechce pan - powiedział po chwili wahania - przekazać Teri moje wyrazy wdzięczności za wyśmienitą kolację.

- Nie omieszkać tego uczynić.

- I panu również, Hen von Till - dodał sarkastycznie Pitt - bardzo dziękuję za gościnność.

Von Till uśmiechnął się głupawo, strzelił obcasami i skłonił głowę. - Cała przyjemność po mojej stronie. - Położył dłoń na łbie psa, który odchylił wargę, obnażając imponujący biały kieł.

Łukowy wykusz drzwi był niski i Pitt musiał zgiąć się w scyzoryk, żeby wejść do korytarza, który zasługiwał raczej na miano tunelu. Zrobił kilka ostrożnych kroków.

- Majorze Pitt!

- Tak? - odrzekł Pitt, odwracając się w stronę blokującego drzwi spaśnego cienia.

W głosie von Tilla pobrzmiwała sadystyczna radość. - Wielka szkoda, że nie będzie pan mógł być świadkiem następnego lotu żółtego albatrosa.

Zanim Pitt zdołał cokolwiek odpowiedzieć, drzwi zostały zatrzaśnięte, a masywny rygiel z hukiem wsunął się w gniazdo, budząc w mrocznym korytarzu ponure echa.

Rozdział 7

Wściekłość wstrząsnęła Pittem jak spazm. Miał ochotę grzmotnąć kulakiem w drzwi, wystarczyło wszakże jedno spojrzenie na grube belki, z których zostały zbite, by zmienić zdanie. Popatrzył w głąb wciąż pustego korytarza i podświadomie zadrzał - nie miał złudzeń, co go czeka, w tej chwili bowiem było zupełnie oczywiste, że von Till już wcześniej planował, iż Pitt nie wyjdzie z willi żywy. Przypomniał sobie o nożu i doznając lekkiego przyływu pewności siebie wyłowił go ze skarpetki. Chwiejne żółtawe światło świec, osadzonych w przerdzewiałych ściennych uchwytych, matowo odbiło się od ostrza, sprawiając, że maleńki, ostro zakończony nożyk wydał się Pittowi żałośnie nieodpowiednim narzędziem obrony. Po głowie kołatała mu się tylko jedna uspokajająca myśl: mały nie mały, nóż jest zdecydowanie lepszy niż nic.

Nagle korytarzem dmuchnął mocny powiew powietrza i wygasivszy wszystkie świece pozostawił Pitta w morzu dławiącej ciemności.

Pitt wyteżał wszystkie zmysły, aby przeniknąć mrok, nie złowił jednak żadnego dźwięku, najmniejszego błysku światła.

- Zaczyna się zabawa - mruknął, usiłując znaleźć w sobie gotowość do spotkania z niewiadomym.

Pitt czuł, jak ogarnia go panika. Przypomniał sobie przeczytane gdzieś słowa, że nic nie jest dla ludzkiego umysłu bardziej przerażające i niepojęte, aniżeli całkowite ciemności. Niemożność rozpoznania tego, co leży poza zasięgiem wzroku czy dotyku, wywołuje w ludzkim mózgu taki sam efekt, jak krótkie spięcie w komputerze: dezintegrację. Pustkę, spowodowaną nieobecnością rzeczy poznawalnych zmysłowo, pracowicie zaczyna wypełniać wyobraźnia, a jej wytwory bywają na ogół koszmarnie - człowiek zamknięty w szafie imaginuje sobie, że pożera go rekin albo przejeżdża pociąg. Cała ta teoria sprawiła, że Pitt uśmiechnął się w mroku i poczuł, jak zwiastuny paniki ustępują powoli miejsca chłodnej logice.

Jego następna myśl polegała na tym, żeby zapalniczką ponownie rozpalić świece, doszedł jednak do wniosku, iż jeśli ktoś lub coś dalej w korytarzu gotuje mu zasadzkę, jego szansę nieco się

zwiększą, gdy zarówno on, jak i nieznanymi napastnik będą jednakowo pogrążeni w mroku. Pochylił się zatem, szybko rozsznurował buty, zdjął je i pozostawiając na podłodze ruszył po omacku wzdłuż chłodnej ściany. Po drodze minął kilkoro drzwi, zabitych na ślepo grubym żelaznym płaskownikiem. Właśnie sprawdzał kolejne drzwi, gdy zastygł nagle, czujnie nasłuchując.

Gdzieś z przodu doleciał dźwięk - trudny do określenia, niewyjaśniony, ale wyraźnie słyszalny. Może jęk, a może warknięcie; Pitt nie potrafił powiedzieć. Po chwili dźwięk osłabł i znów zapadła cisza.

Ustaliwszy ponad wszelką wątpliwość, że w mroku czycha nań realne niebezpieczeństwo - jakaś bestia, która jest cielesna, potrafi wydawać odgłosy i przypuszczalnie rozumować - Pitt zdwoił ostrożność. Opadł na czworaki, a potem zamieniony w słuch i dotyk podjął wędrówkę. Podłoga była gładka i miejscami wilgotna - Pitt przepelzał przez oleiste kałuże, których zawartość wsiąkała w ubranie sprawiając, że obrzydliwie kleiło się do ciała, Pitt w duszy klął swój parszywy los w żywy kamień.

Po kilku chwilach, które wydawały się całymi godzinami, Pitt wyobraził sobie, że ciągnąc brzuch po betonie przebył już ze trzy kilometry, choć dobrze wiedział, iż pokonany dystans jest raczej bliższy dwudziestu pięciu metrom. Wiszący nad podłogą zapach stęchlizny przywodził Pittowi na myśl należący ongiś do dziadka stary kufer podróżny: jako dzieciak Pitt siadywał w jego mrocznym wnętrzu, wyobrażając sobie, iż oto na gapę płynie statkiem gdzieś ku portom tajemniczego Wschodu. Osobliwe, pomyślał mimochodem, jak zapachy potrafią wywołać z niebytu uśpione wspomnienia.

Nagle faktura ścian i podłogi zasadniczo się zmieniła: gładki beton ustąpił miejsca pospajany wapnem chropawym kamiennym płytom, nowa część korytarza - znacznie starszej.

Pitt wyczuł dłonią, że ściana urywa się i ucieka w lewo, lekkie muśnięcie powietrza na policzku powiedziało mu natomiast, iż dotarł do skrzyżowania. Zastygł nieruchomo i nastawił ucha.

Znów dźwięk... przerywany i ostrożny. Tym razem coś jakby postukiwanie... odgłos, jaki wydają zwierzęta o długich pazurach stąpające po twardej powierzchni.

Pitt zadygotał jak osika i oblał się potem. Przywarł ciałem do kamiennych płyt podłogi, godząc nożem w kierunku, skąd nadciągał dźwięk.

Stukanie stało się głośniejsze. Potem umilkło i zapadła dręcząca cisza.

Pitt wstrzymywał oddech, lecz słyszał jedynie bicie własnego serca. Coś tam było, najwyżej trzy metry od niego. W myśli przyrównywał się do ślepego, którego w jakiejś zakazanej uliczce podchodzi zbior. Niesamowita, mrożąca krew w żyłach atmosfera tego miejsca paraliżowała umysł Pitta.

Usiłował skoncentrować się na metodach walki z niewidocznym zagrożeniem.

Odór stęchlizny stał się nagle wręcz nieznośny i omal nie przyprawił Pitta o wymioty. Mimo to wychwycił jeszcze ledwie wyczuwalny zwierzęcy zapach...

W jego umyśle błyskawicznie skryztałizował się plan, zakładający rozgrywkę z uwzględnieniem jednej niewiadomej. Pitt wyszarpnął z kieszeni zapalniczkę, mocno potarł kółkiem o kamień i poczekał, aż knot rozgorzeje z całą jasnością; wtedy cisnął zapalniczkę przed siebie. Małeńki płomyk pozegłował przez mrok, oświetlił parę fosforyzujących ślepiów z diabelsko roztańczonym na ścianie ogromnym cieniem w tle, i wreszcie zgasł, gdy ze stuknięciem zapalniczka uderzyła w podłogę. Od strony ślepiów rozległo się złowróżbne warknięcie, które korytarze powtórzyły słabnącym echem.

Pitt zareagował natychmiast: sprężył ciało, przewalił się na grzbiet i nożem, trzymany oburącz w zapoconych dłoniach, pchnął ciemną nicość. Nie widział upiornego napastnika, lecz wiedział już, czym jest.

Bestia zawahała się przez chwilę i skoczyła.

I właśnie ta chwila wahania uratowała Pitta. Zyskał bezcenną chwilę na unik i pies chybił celu.

To wszystko wydarzyło się z tak oszałamiającą szybkością, iż później Pitt pamiętał tylko, jak nóż wbija się w coś miękkiego i kudłatego, i jak opryskuje mu twarz fontanna gęstej ciepłej cieczy. Kiedy nóż Pitta tuż za żebrami otworzył bok wielkiego owczarka, warknięcie zabójcy przemieniło się w skowyt śmiertelnie ranionego zwierzęcia, a korytarze chórem rozwrzeszczanych ech powtórzyły ów pełen bólu ryk, jaki wydarł się z kudłatej gardzieli. Ułamek sekundy później osiemdziesiąt kilogramów rozpędzonej morderczej furii zderzyło się z pionową ścianą za Pittem. Zwierzę ciężko runęło na podłogę i zdechło po kilku chwilach konwulsyjnej agonii.

Zrazu Pitt sądził, że pies chybił całkowicie, ale potem, kiedy poczuł pieczenie skóry na piersi, pojął, że się pomylił. Leżał bez ruchu, wsłuchany w konwulsje psa, a potem, jeszcze przez długie minuty, w upiorną ciszę korytarzy. Wreszcie napięcie poczęło ustępować, mięśnie z wolna się rozluźniały, a ból zawładnął Pittem, dając jego umysłowi nowy rodzaj jasności.

Pitt pomału dźwignął się na nogi i ciężko oparł o niewidoczną zakrwawioną ścianę. Całym jego ciałem wstrząsnął kolejny dreszcz, zatem odczekał, aż uspokoją mu się nerwy i dopiero wtedy zapuścił się w mrok, by szurając stopami tu i tam natrafić wreszcie na metalowy sześcianik zapalniczki, przy której światło obejrzał swoje rany.

Krew ciekła mu z czterech równoległych draśnień, które rozpoczynały się tuż ponad prawym sutkiem i biegnęły ukośnie do prawego barku. Rozcięcia były na tyle głębokie, że Pitt miał rozoraną skórę, ale ledwo draśniętą tkankę mięśniową. Ponieważ koszula zwieszała się z Pitta w strzępach koloru khaki i czerwieni, zerwał ją do końca i użył w charakterze tamponu, aby zatamować krew. Najprościej byłoby osunąć się teraz na posadzkę i oddać w opiekę kojącej nieświadomości. Pitt wszakże zwalczył w sobie tę, co tu gadać, silną pokusę i stojąc na mocnych nogach z chłodną przenikliwością planował następne posunięcie.

Po minucie podszedł do martwego psa i obejrzał go w świetle uniesionej zapalniczki: owczarek leżał na boku, a wypuszczone z jamy brzusznej trzewia uformowały obok jego ścierwa odrażający stosik. Strużki krwi spływały odrębnymi szlakami ku jakiemuś niżej położonemu miejscu, skąd podkradł się pies. Okropny widok sprawił, że ból i znużenie opadły z Pitta jak płaszcz, ustępując miejsca przemożnemu gniewowi, który ostrożność i lęk o życie przemienił w kompletną pogardę wobec niebezpieczeństwa i śmierci. Duszę Pitta bez reszty wzięła we władanie jedna myśl: zamordować von Tilla.

Następny krok wydawał się prosty i to absurdalnie prosty - należy znaleźć wyjście z labiryntu. I chociaż szansę wydawały się marne, a sytuacja prawie beznadziejna, Pitt ani na moment nie wziął pod uwagę ewentualności fiaska, bo słowa von Tilla o następnym locie żółtego albatrosa skutecznie rozstrzygały za niego wszelkie wątpliwości. Analityczny umysł Pitta pracował zatem na pełnych obrotach, rozpatrując kolejne fakty i możliwości.

Teraz, skoro kombinujący Bóg wie co stary szkop wie już, że Pierwsze Podejście będzie po staremu kotwiczyć u brzegów Thasos, nakaże samolotowi zaatakować statek. Ponieważ - rozumował Pitt - napaść w środku dnia byłaby dla starej maszyny zbyt ryzykowna, Von Till wyśle ją jak najwcześniej, prawdopodobnie o świcie. Należy więc na czas ostrzec Gunna i jego załogę. Zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka: była 21:55, a skoro świt nastąpi o plus minus 4:40, ma sześć godzin i trzy kwadransy, aby znaleźć wyjście z tej krypty i uprzedzić statek!

Wepchnął nóż za pas, zgasił zapalniczkę, aby zaoszczędzić paliwa i ruszył lewym odgałęzieniem korytarza, skąd napływał słabiutki strumyk powietrza. Pitt poruszał się teraz szybciej, szedł bowiem wyciągniętym krokiem. Pasaż zwęził się wprawdzie do metra, ale sklepienie wciąż miał wysoko nad głową.

Nagle Pitt wyciągniętym przed siebie ramieniem dotknął litej ściany: korytarz kończył się ślepym

zaułkiem, a powietrze przesączało się przez szczelinę pomiędzy skałami, z której zresztą oprócz niego dobiegał jeszcze dobrze słyszalny pomruk. Gdzieś za ścianą, w trzewiach góry, pracowała prądnica. Pitt nasłuchiwał przez chwilę, ale wnet odgłos umilkł.

- Jeśli nie udało ci się raz - powiedział na głos Pitt - spróbuj innej drogi. - Cofając się po swoich śladach dotarł do skrzyżowania i tym razem podążył korytarzem położonym dokładnie naprzeciwko tego, w którym stoczył walkę z psem.

Jeszcze bardziej przyspieszył kroku i taranował nieprzenikniony mrok. Wędrując w samych skarpetkach po zimnych wilgotnych płytach posadzki czuł, że jego stopy przejmują odretwiający chłód. Zastanawiał się mimochodem, ilu facetów - a może również kobiet - von Till cisnął psu na pożarcie. Mimo zimna pot spływał zeń strumieniami. Ból w piersi wydawał się odległy. Pitt czuł, jak pot miesza się z krwią i ścieka za spodnie. Szedł i był zdecydowany iść, dopóki nie padnie - pozbył się natarczywej myśli, aby zwolnić na chwilę i odpocząć. Raz za razem jego wyciągnięte ramiona, a niekiedy również miły rozbłysk zapalniczki, odkrywały nowe rozgałęzienia uciekające w mroczną nicość; w kilku miejscach trafił na skalne zwaliska zamykające kolejne odnogi labiryntu.

Zapalniczka powoli dogorywała, Pitt więc używał jej jak najrzadziej, w coraz większym i większym stopniu polegając na swoich podrapanych i posiniaczonych dłoniach. Minęła godzina, potem jeszcze jedna, a Pitt wyczerpany i pokancerowany wciąż włókł się bezkresnymi starożytnymi tunelami.

Wreszcie jego stopa zderzyła się z czymś twardym: Pitt runął w przód na kamienne schody, a krawędź czwartego stopnia rąbnęła go w nos, rozcinając nasadę aż do kości i zalewając krwią całą twarz. Wyczerpanie, wysiłek emocjonalny i rozpacz sprzymierzyły się przeciwko udręczonemu ciału Pitta, który osunął się u podstawy schodów, czując jak czas spowalnia swój bieg. Legł wsłuchany w odgłos skapującej na stopień krwi. Po chwili utonął w miękkim białym obłoku, który wypłynął gdzieś z ciemności i okrył go jak koc.

Gwałtownie potrząsając obolałą głową, Pitt usiłował odzyskać jasność myślenia. Powoli, bardzo powoli, jak człowiek podnoszący olbrzymi ciężar, dźwignął górną połowę ciała i rozpoczął stopień po stopniu pełną udręki wspinaczkę po schodach, by wreszcie dotrzeć do miejsca, gdzie przegrodziła mu drogę masywna krata. Potężnie skorodowana i bardzo stara, była jednak wciąż jeszcze dostatecznie gruba, aby powstrzymać słonia.

Pitt z trudem wdrapał się na podest, gdzie po zatęchłej atmosferze labiryntu powitało go świeże powietrze. Spojrzał w niebo przez prostokąty krat i na widok rozmigotanych gwiazd przybyło mu sił. Tam, w krętych korytarzach, czuł się jak umarłak w trumnie. Jakby minęła wieczność odkąd pożegnał świat doczesny... Dźwignął się na nogi i szarpnął kratę - ani drgnęła, masywny zaś zamek, służący niegdyś do jej otwierania, został ostatnio zaspawany.

Zmierzył odległość pomiędzy poszczególnymi sztabami, szukając największego odstępu; zainteresował go trzeci od lewej, wynoszący może dwadzieścia centymetrów. Pitt rozebrał się z wysiłkiem, przełożył ubranie na drugą stronę, a następnie rozsmarował po torsie krew zmieszaną z potem i aż do bólu opróżnił płuca. Wtedy wsunął pomiędzy sztaby głowę i zaczął z ogromnym wysiłkiem przepychać na Boży świat całą resztę swej osiemdziesięciopięciokilogramowej osoby, przy czym płatki rdzy, zdarte z prastarego metalu, przywierały jeden po drugim do kleistej krwi. Pitt jęknął przejmująco, gdy zębata krawędź kraty przejechała po jego genitaliach, a potem, machając na oślep ramionami, aby znaleźć jakiś stały punkt zaczepienia, podjął ostatni wysiłek - i oto był wolny.

Kiedy usiadł, hołubiąc w garści pokiereszowane klejnoty i usiłując ignorować ból, nie mógł uwierzyć w swój sukces. Ale "wyjść" to jeszcze nie znaczyło "uciec". Oczy Pitta, przywykłe już do

ciemności, pospiesznie badały najbliższe otoczenie.

Zakratowany, łukowo sklepiony wylot labiryntu otwierał się na scenę wielkiego amfiteatru. Dostojną budowlę rozświetlał anemicznie nieziemski blask białych gwiazd i księżyca, który niczym zdeformowany krążek wyzierał spoza okrytego mrokiem wierzchołka góry. Amfiteatr był utrzymany w stylu greckim, lecz solidność konstrukcji wskazywała na rzymskie wykonawstwo. Skraj kolistej sceny oddzielało od korony teatru niemal trzydzieści rzędów stromo pnących się ław. Oprócz niewidocznych w mroku nocnych owadów w pobliżu nie było żywej duszy.

Pitt przywdział strzępy munduru, a lepką nawilgłą koszulą niczym prymitywnym bandażem przewiązał poranioną pierś.

Nowych sił dodawała mu świadomość, że może iść przed siebie, wdychając ciepłe nocne powietrze. Tam, w labiryncie, stoczył walkę i zwyciężył, chociaż wszystko przemawiało przeciwko niemu i nie miał żadnej nici Ariadny. Zarechotał donośnie, a jego śmiech dobiegł do ostatniego rzędu amfiteatru i wrócił echem. Wystarczyło, by Pitt wyobraził sobie minę von Tilla podczas następnego spotkania, a ból i znużenie rozwiały się jak dym.

- Może chcielibyście bilety na ten spektakl? - wykrzyknął Pitt do swojej pustej widowni, ale jedyną odpowiedzią była cisza egejskiej nocy, chociaż Pitt, ulegając fantastycznemu nastrojowi chwili i miejsca, wyobraził sobie przelotnie publikę w togach, która wiwatuje na jego cześć.

Podniósł głowę i spoglądając na gwiazdny kalejdoskop usiłował ustalić swe położenie: wskazująca przybliżoną północ Gwiazda Polarna przyjaźnie puściła doń oko, ale poza tym coś najwyraźniej nie grało. Zbadawszy cały nieboskłon Pitt doszedł do wniosku, że Byk i Plejady, które powinien mieć wprost nad głową, migocą daleko ku wschodowi.

- Niech to cholera! - zaklął Pitt, gdy zerknął na zegarek i stwierdził, że jest 3:22. Do świtu pozostawała jedynie godzina i osiemnaście minut. Jakimś cudem zabałaganił gdzieś niemal pięć godzin. Co się stało? - zadawał sobie pytanie. - Gdzie straciłem ten czas. Potem pojął, że zapewne po zderzeniu ze schodami stracił przytomność.

Teraz każda minuta była droga. Pospiesznie przebiegł przez kamienną scenę i w słabym blasku księżyca znalazł ścieżkę wiodącą w dół zbocza.

Wszedł na nią i rozpoczął swój wyścig ze słońcem.

Rozdział 8

Czterysta metrów niżej ścieżka przemieniała się w drogę, a właściwie dwie spelzające po zboczu karkołomnym meandrem koleiny wyżłobione przez koła. Pitt, z łomoczącym sercem, biegł krótkim ciężkim truchtem; nie był poważnie ranny, ale utracił wiele krwi. Z pewnością, każdy przypadkowo napotkany lekarz bez chwili wahania położyłby go w szpitalnym łóżku.

Od momentu opuszczenia labiryntu wyobraźnię Pitta raz za razem nawiedzał obraz naukowców i marynarzy z Pierwszego Podejścia, atakowanych przez stary myśliwiec; Pitt widział w najdrobniejszych szczegółach, jak pociski rozrywają ciała i kości pstrząc biel statku lepкими czerwonymi kleksami. Dojdzie do rzezi, zanim z Lotniska Brady zdołają wystartować myśliwce przechwytyjące, jeśli oczywiście w ramach uzupełnienia przybyły już z Afryki Północnej. Takie i podobne wizje zmuszały Pitta do wysiłku, jaki w normalnych okolicznościach leżałby poza zasięgiem jego możliwości.

Nagle stanął jak wryty, dostrzegając przed sobą poruszenie, a potem zszedł z drogi i szerokim kręgiem, wokół gęstego gaju orzechów, jął przybliżać się do niespodziewanej przeszkody. Wreszcie wychylił głowę zza powalonego zmurszałego pnia.

Mimo ciemności o pomyłce nie mogło być mowy: przy sporym głazie, uwiązany do niego

postronkiem, stał doskonale odżywniony osioł. Na widok Pitta nastawił ucha i zaryczał cicho, niemal żałośnie.

- Trudno cię nazwać odpowiedzią na modły dżokeja - powiedział z szerokim uśmiechem Pitt - ale żebracy nie mogą być wybredni. - Odwiązał linkę od głazu, szybko zrobił z niej coś na kształt prymitywnego ogłowia i włożywszy w tę czynność sporo cierpliwości naciągnął je na osli łeb. Potem dosiadł wierzchowca.

- Okay, osle, wio!

Zwierzak ani drgnął.

Pitt naparł łydkami na jego jędrne boki. Wciąż bez efektu. Bił piętami, pracował krzyżem, wymierzał szturchańce. Ciągle nic, nawet ryknięcia. Długie uszy spoczywały na karku, a ich uparty właściciel nie postąpił nawet o krok.

Znajomość greckiego ograniczała się w przypadku Pitta do kilku imion, ale niespieszony tym Pitt doszedł do wniosku, że tępe bydlę ma przypuszczalnie za patrona jakiegoś greckiego herosa albo boga.

- Naprzód, Zeusie... Apollinie... Posejdonie... Heraklesie. A może Atlasie? - Można było odnieść wrażenie, iż osioł przemienił się w kamień. Nagle Pitta tknęła pewna myśl; przechylił się na bok i obejrzał podbrzusze osła. Tak, brakowało na nim zewnętrznych instalacji hydraulicznych.

Błagam o wybaczenie, czarująca, oszałamiająca istoto - wyszeptał pieściwie Pitt do zaostrzonych uszu. - Ruszaj, moja piękna Afrodyto, i miejmy to z głowy.

Osioł drgnął i Pitt pojął, że jest na dobrym tropie.

- Atalanto? Żadnej reakcji.

- Ateno?

Uszy strzeliły w górę i oslica obróciła na Pitta swe wielkie smutne oczy.

- No to zasuwamy, Ateno. Poooszła!

I Atena, ku bezgranicznej radości i uldze Pitta, grzebnąwszy najpierw kilkakrotnie kopytem ziemię, posłusznie ruszyła drogą.

Poranek wionął już chłodem, a rosa zaczynała się kłaść wilgotnym całunem na obrzeżonych lasem łąkach, gdy wreszcie Pitt dotarł na przedmieście Liminas. Liminas, typowa grecka miejscowość nadmorska, zostało wzniesione na ruinach starożytnego miasta i teraz, w osobliwej mieszance stylów, szczątki prastarych budowli sterczały tu i tam spomiędzy krytych dachówką nowych domów. Na wybrzeżu, wbity w miasteczko strzępiastym półksiężycem, port pełen płaskodennych kutrów mógłby stanowić ilustrację z folderu turystycznego, gdyby nie dodawał mu konkretności zapach słonego powietrza, ryb i dieslowskich spalin. Drewniane łodzie o starannie złożonych masztach stały uśpione wzdłuż plaży jak stado wielorybów, wyrzuconych na brzeg; luźne liny kotwiczne pajęczyną łączyły je z morzem. Za białą wstęgą piasku rozwieszona na powbijanych w rzędach pionowych palikach suszyły się cuchnące, brązowe sieci rybackie, dalej zaś przebiegała główna ulica miasteczka, której pozamykane na głucho drzwi i okiennice nie powitały wymagłowanego Pitta i jego czworonogiego środka transportu żadnym znakiem życia. Białe tynkowane domy z miniaturowymi balkonikami przedstawiały sobą w księżycowej poświacie malowniczy i bardzo kojący widok, nie miały jednak nic wspólnego z wydarzeniami, które sprowadziły Pitta do Liminas.

Na wąskim skrzyżowaniu Pitt zsiadł z oslicy, przywiązał ją do skrzynki pocztowej, a następnie wcisnął pod prowizoryczne ogłowię dziesięciodolarowy banknot. - Dzięki za podrzucenie, Ateno - powiedział. - Reszty nie trzeba.

Czule poklepał zwierzę po miękkich chrapach i podciągnąwszy swe mało eleganckie spodnie ruszył ulicą w stronę plaży, daremnie rozglądając się za przewodami telefonicznymi. Z pojazdów

dostrzegł na ulicy tylko rower. Pitt był jednak zbyt wyczerpany fizycznie, aby myśleć o przepedałowaniu jedenastu kilometrów do bazy Brady.

Fosforyzujące wskazówki omegi mówiły, że jest 3:59 i że następny upalny poranek spadnie na wyspę za czterdzieści minut. Czterdzieści minut na ostrzeżenie Gunna i załogi Pierwszego Podejścia. Pitt pobiegł wzrokiem wzdłuż wklęsłej linii wybrzeża; jeśli łodem było do Lotniska Brady siedem mil, to morzem, po cięciwie, od statku dzieliły go najwyżej cztery. Nie ma co zwlekać, trzeba po prostu ukraść łódź. Bo niby dlaczego nie? Pitt uznał, że skoro porwał oślicę, może również uprowadzić kuter.

Potrzebował kilku minut, aby znaleźć solidnie wysłużoną łajbę o wysokich rozłożystych burtach i skorodowanym jednocylinnowym silniku benzynowym. Macając na oślep Pitt odszukał sprzęgło przepustnicy i uchwyt rozrusznika, ale koło zamachowe było tak masywne, że ledwie zdołał je obrócić. Potem, wyężdżając wszystkie obolałe mięśnie, drugi raz, trzeci... Pot spływał z czoła i kapał na oporny silnik, skronie Pitta wściekle pulsowały, a oczy zaczęła mu zasnuwać mgła, gdy zdzierając sobie dłonie do krwi daremnie ponawiał wysiłki.

Jeśli już wcześniej gonił go czas, teraz sytuacja stawała się rozpaczliwa, bo cenne minuty upływały jedna za drugą, a cholerny silnik jak milczał, tak milczał. Pitt zacisnął zęby, sięgnął do ostatnich rezerw organizmu i potężnie szarpnął jeszcze raz: rozległo się kilka pyknięć i znowu zapadła cisza. Pitt ponownie szarpnął kołem i wyczerpany osunął się w chlupoczącą w zębie oleistą wodę. Silnik kichnął raz, potem drugi, zacharczał, znowu kichnął, a wreszcie zaczął pracować, kwitując miarowym łup-łup-łup ruchy tłoka w zniszczonym przez pierścienie cylindrze. Zbyt wycieńczony, aby wstać, Pitt wychylił się, przeciął cumę wiernym nożykiem do owoców i wrzucił wsteczny bieg: zdezelowana łajba, z której burt farba odpadała wielkimi łuskami, wypłynęła tyłem na środek zatoki, obeszła półkolem stary rzymski falochron i skierowała się na otwarte morze. Idąc pełnym gazem, cięła niewysokie fale z prędkością może siedmiu węzłów.

Pitt wtarał się na krzesło sterowe i mocno ujął rumpel pomiędzy dłonie okrwawione w walce z zardzewiałą rączką koła zamachowego.

Minęło pół godziny - bezmiar czasu w obliczu bezchmurnego nieba i zaróżowionego już na wschodzie horyzontu - a krypta wciąż, w tempie dla Pitta męcząco żółtym, płynęła wzdłuż wyspy, każda jednak przebyta stopa o taką samą stopę przybliżała go do Pierwszego Podejścia. Pitt łapał się na tym, że co parę chwil zapada w drzemkę, a potem gwałtownie się budzi, podrywając głowę, która zdążyła już opaść na piersi. Zmuszał do trzeźwości swój otępiały umysł z pasją, o jaką się nawet nie podejrzewał.

Potem jego przymglone oczy dostrzegły statek: niską szarą sylwetę, zastygłą za niewielkim przylądkiem i odległą od Pitta o nieco ponad milę. Rozpoznał dwa białe trzydziestodwupunktowe światła na dziobie i rufie, które oznaczają, że statek stoi na kotwicy. Pierwsze promienie słońca gwałtownie rozjaśniały niebo, wyraźnie obrysowując kontury Pierwszego Podejścia na tle horyzontu: najpierw nadbudówkę, potem żurawik i maszt radarowy, a wreszcie poniewierające się na pokładzie stopy naukowego sprzętu.

Pitt przemawiał do starego hałaśliwego silnika, błagając o zwiększenie obrotów, samotny zaś cylinder trzeszczał, stukał i popierdywał w odpowiedzi, obracając zwichrowany i pogięty wałek śruby z takim zaangażowaniem, że ten pomrukiwał złowieszczo w swoich zatartych łożyskach. Wyścig ze świtem nie miał przynieść zdecydowanego rozstrzygnięcia.

Gorąca pomarańczowa kula słońca ledwie zdołała wystawić zza morskiego horyzontu swój obły garb, kiedy Pitt nagle zmniejszył obroty silnika, ciężko wrzucił wsteczny bieg i nieporadnie dobił do burty Pierwszego Podejścia. - Statek, ahój! - krzyknął anemicznie, zbyt zmęczony, aby ruszyć się z

miejsca.

- Ty głupi dupku! - odrzekł w odpowiedzi poirytowany głos. - Patrz, gdzie się pchasz! - Niewyraźne oblicze spojrzęło sponad relingu na łódź, obtłukującą burtę statku. - Następnym razem uprzedź, że wybierasz się z wizytą, to wymalujemy ci tarczę, żebyś mógł trafić.

Mimo napięcia i dojmującego bólu Pitt nie potrafił powstrzymać uśmiechu. - O tej porze jakoś nieskoro mi do żartów. Przystań pieprzyć i złaź tutaj, żeby mi pomóc.

- A to niby dlaczego? - zapytał wachtowy, wyężając wzrok. - Kim, do cholery, jesteś?

- Major Pitt, jestem ranny. A teraz naprawdę przestań pieprzyć i złaź.

- Czy to naprawdę pan, majorze? - zapytał niepewnie wachtowy.

- Czego ty, do stu diabłów, chcesz? - warknął Pitt. - Aktu urodzenia?

- Nie, panie majorze. - Wachtowy zniknął za relingiem, by parę chwil później z bosakiem w garści pojawić się na trapie. Zaczepił łódź, podciągnął ją do siebie i przycumował za ster; kiedy przeskakiwał na pokład, zaczepił nogą o koziołek i jak długi runął na Pitta.

Przygnieciony Pitt mruknął i zacisnął powieki, a kiedy je na powrót otworzył, stwierdził, iż spogląda na żółtą brodę Kena Knighta.

Knight zaczął coś mówić i wtedy wyraźniej dostrzegł, jak pokiereszowany i obdarty jest Pitt. Po spopielalej nagle twarzy młodego naukowca przeszedł skurcz i zaszokowany Knight zastygł jak kamień.

Pitt skrzywił usta z rozbawieniem. - Nie siedź jak baba pod kościołem, tylko zaprowadź mnie do kabiny komandora Gunna.

- Mój Boże, mój dobry Boże - zaszemrał Knight, w oszołomieniu kręcąc powoli głową. - Na rany boskie, co się stało?

- Później - warknął Pitt. - Teraz nie ma czasu. - Chwiejnie postąpił w stronę Knighta. - Pomóż mi, ty tępy sukinsynu, zanim będzie za późno.

Przebijające z głosu Pitta desperacja i wściekłość sprawiły, że Knight otrząsnął się z szoku i przystąpił do działania. Na poły niosąc, na poły ciągnąc Pitta po trapie, wholował go na pokład, a gdy dotarli do kabiny Gunna, kopnął drzwi. - Proszę otworzyć, panie komandorze. To sytuacja wyjątkowa.

Kiedy strojny tylko w gatki i okulary w rogowych oprawkach Gunn otworzył drzwi, wyglądał jak zakłopotany profesor, którego przyłapano właśnie w motelu z żoną rektora. - Co ma znaczyć to... - Urwał na widok wspieranej przez Knighta zakrwawionej zjawy, a jego oczy za grubymi szklami rozszerzyły się do niewiarygodnych rozmiarów. - Dobry Boże, Dirk, czy to ty? Co się stało?

Pitt myślał o uśmiechu, ale udało mu się jedynie lekko unieść górną wargę. - Nie, demobil z piekła! - Jego cichy zrazu głos wnet nabrał mocy. - Masz na pokładzie jakiś sprzęt meteorologiczny?

Gunn nie odpowiedział na jego pytanie, tylko nakazał Knightowi natychmiast przyprowadzić lekarza pokładowego. Potem wprowadził Pitta do swojej kabiny i delikatnie ułożył go na koi. - Tylko spokojnie, Dirk. Nawet się nie obejrzysz, jak cię połatamy.

- Chodzi o to, Rudi, że nie ma czasu - powiedział Pitt chwytając poranionymi dłońmi nadgarstki Gunna. - Czy masz na pokładzie jakiś sprzęt meteo?

Gunn z oszołomieniem popatrzył na Pitta. - Mamy trochę instrumentów do rozmaitych badań. Dlaczego pytasz?

Pitt zsunął dłonie z nadgarstków Gunna, z trudem wsparł się na łokciu i uśmiechnął z zadowoleniem. - Lada chwila ten statek zostanie zaatakowany przez samolot, który dokonał nalotu na bazę Brady.

- Chyba majaczysz - stwierdził Gunn, zbliżając się do Pitta, aby pomóc mu usiąść.

- Może moje ciało wygląda jak siedem nieszczęść, ale umysł mam w tej chwili trzeźwiejszy niż ty

- stwierdził Pitt. - A teraz słuchaj, i to słuchaj uważnie. Zrobisz, co następuje...

To wachtowy na oku, usadowiony na wielkiej wciągarni w kształcie litery A, pierwszy dostrzegł żółty samolocik na bezkresnym błękitnie nieba. Potem zobaczyli go również Gunn i Pitt: odległy od statku o najwyżej dwie mile, sunął na wysokości ośmiuset stóp. Powinni byli wypatrzeć go wcześniej, ale nadlatywał wprost od strony słońca.

- Jest spóźniony o dziesięć minut - mruknął Pitt. Stał z uniesionym ramieniem, aby ułatwić pracę lekarzowi z siwą kocią bródką, który szybko i sprawnie bandażował jego pokiereszowaną pierś.

Przed chwilą stary medyk, nie bacząc na to, iż Pitt nieustannie przemieszcza się po mostku, oczyścił i wstępnie opatrzył świeże rany, a teraz nawet nie podniósł głowy, aby spojrzeć na coraz bliższy samolot. Mocno zaciągnął ostatni węzeł, przy czym Pitt wykrzywił twarz i zrobił kwaśną minę.

- To wszystko, co mogę dla pana zrobić, majorze, a przynajmniej zrobić dopóty, dopóki nie przestanie pan uganiać się po pokładzie i wyrzaskiwać rozkazy niczym kapitan Bligh.

- Przepraszam, doktorze - powiedział Pitt nie spuszczać oczu z nieba. - Nie miałem czasu na kurtuazyjną wizytę. A teraz proszę lepiej zejść na dół. Jeśli nie wypali moja mała taktyczna sztuczka, już za dziesięć minut będzie pan mógł rozpocząć praktykę na lądzie.

Żyłasty, mocno opalony lekarz bez słowa zamknął swój duży wysłużony neseser ze skóry, odwrócił się i po schodni zbiegł z mostku.

Pitt cofnął się od relingu i spojrzał na Gunna. - Jesteś podłączony? - zapytał.

- Daj tylko sygnał. - Gunn był spięty, ale pełen ochoty i gotowości. Trzymał w dłoni czarne pudełeczko, od którego wzdłuż masztu radarowego biegł ku niebu przewód elektryczny. - Czy sądzisz, że pilot tej starej maszyny chwyci przynętę?

- Historia powtarza się, kiedy tylko może - odparł pewnym głosem Pitt, spoglądając groźnie na zbliżający się samolot.

Nawet w tej chwili napięcia i niepokoju Gunn znalazł czas, aby zdumieć się kompletną przemianą, jakiej od wschodu słońca uległ Pitt: ci dwaj faceci - ten, który kilkanaście minut temu w opłakanym stanie ledwie wdrapał się na pokład, i ten, który teraz z błyszczącymi oczyma stał na mostku, rozdymając nozdrza niczym wietrzący bitwę ogier bojowy - byli zupełnie innymi ludźmi. Rzecz osobliwa, ale Gunn nie mógł nic poradzić na to, że przypominał sobie wydarzenia sprzed kilku miesięcy: mostek zupełnie innego statku, parowego trampa o nazwie Dana Gail. Wyraźnie, jakby to wszystko działo się zaledwie kilka godzin temu, widział wyraz twarzy Pitta na chwilę przed wyjściem w morze starej przerdzewiałej skorupy, której misja polegała na zlokalizowaniu i zniszczeniu tajemniczej podwodnej góry sterczącej z dna Pacyfiku na północ od Hawajów. Nagle do terażniejszości przywołał go silny ucisk dłoni na ramieniu.

- Padnij - powiedział przynaglająco Pitt - albo fala uderzeniowa ciśnie cię za burtę. Bądź gotów na mój sygnał zewrzeć przewody.

Jaskrawożółty samolot okrążył teraz statek, szukając śladów ewentualnej obrony. Zawrodozenie jego silnika niesło się nad wodą i wibrującym echem huczało w bębniach Pitta, który obserwował albatrosa przez pożyczoną lornetę i uśmiechał się z satysfakcją na widok okrągłych łap na kadłubie i skrzydłach. Sporo strzałów Giordino znalazło drogę do celu. Potem, uniósłszy lornetę niemal pionowo do góry, Pitt zogniskował ją na czarnej nitce przewodu i doświadczył przypływu nadziei, która zaczęła się przeradzać w pewność.

- Spokojnie... spokojnie... - powiedział cicho. - Sądzę, że skusi się na ser.

Ser, pomyślał ze zdumieniem Gunn. Nazywa ten cholerny balon serem. Komu by przyszło do głowy, że Pittowi chodziło o balon, kiedy pytał, czy Pierwsze Podejście ma na pokładzie sprzęt meteo. A teraz ten cholerny balon, obciążony stufuntowym ładunkiem wybuchowym z cholernego laboratorium sejsmicznego, buja sobie pod cholernym niebem. Gunn zerknął zza relingu na wielką srebrzystą kulę i podwieszony do niej śmiercionośny pakunek. Linka, która przytrzymywała balon na uwięzi, i przewód elektryczny prowadzący do ładunku, sięgały 250 metrów w pionie i - licząc od rufy - 120. Gunn pokręcił głową na myśl, że materiał wybuchowy, używany zwykle do wytwarzania służących analizie dna morskiego fal sejsmicznych, ma teraz posłużyć do rozpieprzenia samolotu na niebie.

Ryk silnika narastał i przez ulotny moment Pitt pomyślał, że samolot zanurkuje na statek, potem jednak zdał sobie sprawę, iż kąt jego schodzenia jest zbyt szeroki. Pilot albatrosa przymierzał się do ataku na balon. Świadom, że stanowi dobry i kuszący cel, Pitt wstał, aby mieć lepszy widok. Silnik warczał teraz piskliwie, a celowniki kaemów godziły w leniwie rozkołysany nad roziskrzonymi falami wór z gazem: żółte skrzydła tak mocno lśniły w słońcu, że ogniki wystrzałów były prawie niewidoczne i rozpoczęcie ataku obwieścił tylko świst kuł i urywany kaszel krótkich serii.

Wypełniona helem powłoka z podgumowanego nylonu zadrżała pod gradem pocisków, zaczęła wiotczeć, pomarszczyła się niczym suszona śliwka i jak łachman spłynęła ku morzu. Żółty Albatros przemknął nad spadającym balonem, kierując się wprost na Pierwsze Podejście.

- Teraz! - wrzasnął Pitt i padł na pokład.

Gunn przełożył dźwigienkę.

Następna chwila wydawała się wiecznością: gigantyczna eksplozja wstrząsnęła statkiem od stępki po maszt, ciszę poranka zniweczył taki łoskot, jak gdyby huragan rozbił tysiąc okien naraz, na niebie zaś pojawiła się pomarańczowo-czarna kolumna roztańczonego ognia i gęstego dymu. Pitt i Gunn stracili dech w piersiach, gdy fala uderzeniowa z impetem nagle atakującego taranu przycisnęła im do kręgosłupów wszystkie narządy wewnętrzne.

Pomału, obolały i sztywny pod ciasnym kokonem bandaży, Pitt wstał i usiłując odzyskać oddech obserwował potężniejącą chmurę; zrazu podniósł wzrok zbyt wysoko i dostrzegł tylko spiralę dymu, ani śladu natomiast maszyny i jej pilota. Potrzebował chwili, by zrozumieć, co się stało: minimalna zwłoka pomiędzy jego sygnałem a eksplozją ocaliła samolot przed całkowitym natychmiastowym zniszczeniem. Opuściwszy wzrok niżej, ku linii horyzontu, Pitt wypatrzył albatrosa, który z unieruchomionym silnikiem ciężko szybował nad falami.

Pitt chwycił lornetę i szybko skierował ją na samolot: niczym spadający meteor albatros ciągnął za sobą warkocz dymu i ognistych szczątków. Potem jeden z dolnych płatów złożył się do tyłu i odpadł, sprawiając, że samolot, niczym arkusik papieru rzucony z wieżowca, zaczął cholerycznym korkociągiem spadać w dół. Można było odnieść wrażenie, że na jeden krótki moment zawisł nieruchomo, by wreszcie, pozostawiwszy ślad w postaci smugi rzednącego dymu, nurknąć do morza.

- Spadł - oświadczył z podnieceniem Pitt. - Zaliczyliśmy trafienie.

Gunn, który leżał w przeciwległym kącie grodzi, przeczołgał się przez mostek i półprzytomnie podniósł głowę. - Jaka odległość i namiar?

- Jakies dwie mile za prawym trawersem - odparł Pitt. Odjął od oczu lornetę i spojrzał na pobladłą twarz Gunna. - Nic ci się nie stało?

Gunn pokręcił głową. - Trochę mi dech zapało, ot i wszystko.

Pitt uśmiechnął się pod nosem; był z siebie diablo rad, a jeszcze bardziej zadowolony z wyniku, jaki przyniósł jego plan. - Wyślij tam szalupę z kilkoma nurkami. Nie mogę się doczekać, żeby

popatrzeć w oblicze naszego ducha.

- Oczywiście - powiedział Gunn. - Osobiście się tym zajmę. Ale pod jednym, jedynym warunkiem... natychmiast zawlecż dupsko do mojej kabiny. Lekarz jeszcze z tobą nie skończył.

Pitt wzruszył ramionami. - Ty tu dowodzisz. - Odwrócił się w stronę relingu i raz jeszcze spojrzął w miejsce, które stało się grobem żółtego albatrosa.

Wciąż stał wsparty o reling, gdy dziesięć minut później Gunn z czterema ludźmi z Pierwszego Podejścia odbił łodzią załadowaną sprzętem do nurkowania. Szalupa skierowała się wprost ku miejscu, gdzie zniknął samolot. Pitt patrzył aż do chwili, gdy nurkowie jeden po drugim zniknęli w skrzącym się błękitnym morzu.

- Chodźmy, majorze - rozległ się głos gdzieś na wysokości Pittowego łokcia.

Pitt powoli się odwrócił i spojrzął w brodatą twarz lekarza.

- Niepotrzebnie się pan za mną ugania, doktorze. I tak za pana nie wyjdę - powiedział z szerokim uśmiechem.

Stary lekarz okrętowy uśmiechu tego nie odwzajemnił i tylko pokazał Pittowi drabinę prowadzącą do kabiny Gunna.

Pitt nie miał wyboru: skapitulował i powierzył swe udręczone ciało lekarskim zabiegom. W kabine Gunna stoczył jeszcze prowadzony zresztą bez wielkiego przekonania pojedynek z nieświadomością, środki uspokajające wszakże, jakimi go potraktowano, rychło zdobyły przyczółek i wnet Pitt zasnął głębokim snem.

Rozdział 9

Pitt spojrzął na zmizerowane i odpychające oblicze faceta, odbite w małym lustrze zawieszonym na ścianie sraczyka. Czarne pozlepiane włosy spadały na czoło i uszy, wieńcząc niechlujną koroną twarz o podkrążonych i mocno przekrwionych oczach koloru akwamaryny. Nie spał długo; zegarek pokazywał, że minęły zaledwie cztery godziny, odkąd się położył. To skwar go obudził. Stwierdził, że nie pracuje wentylacja, włączył ją więc, ale najgorsze szkody zostały już poczynione: suche gorące powietrze zadomowiło się na dobre i klimatyzacja, przynajmniej do wieczora, była bez szans w walce o wychłodzenie kabiny. Pitt odkręcił kran i ochlapał twarz wodą, pozwalając jej wnikać w umęczoną skórę i ściekać po ramionach i plecach.

Wytarł się pospiesznie i podjął próbę zrekapitulowania w logicznym porządku wydarzeń ubiegłego wieczora i nocy. Szofer i maybach-zeppelin. Willa. Drink z von Tillem. Uroda i pobladła twarz Teri. Potem labirynt, pies i ucieczka. Atena (czy odnalazł ją właściciel?). Łajba, świt, żółty albatros i eksplozja. A teraz czekanie, aż Gunn i jego ludzie wydobędą samolot ze zwłokami tajemniczego pilota. Jaki to wszystko ma związek z von Tillem? I jakie motywy powodują starym szkopem? A wreszcie Teri. Czy wiedziała o pułapce? Czy próbowała go ostrzec? A może wręcz przeciwnie: zwabiła Pitta, aby wujaszek mógł zeń wyciągnąć informacje?

Otrząsnął się z tych myśli i pytań. Wściekle swędziało go pod bandażami i musiał zwalczać pokusę, by się podrapać... Boże, co za upał... gdyby tak mieć coś zimnego do picia. Jedynym elementem przyodziewku, którego lekarz z niego nie zdarł, były szorty, przepłukał je więc w umywalce i ponownie założył. Wyszły na nim w kilka minut.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, które zaraz ostrożnie się uchyliły, ukazując wyzierającą zza grodzi rudowłosą chłopięcą głowę. - Już pan wstał, panie majorze? - zapytał młodzik.

- Raczej się zwlokłem.

- Ja... ja nie chciałem pana niepokoić - wybąkał - ale doktor kazał mi sprawdzać co piętnaście minut, czy dobrze się panu wypoczywa.

Pitt zmiażdżył chłopca srogim spojrzeniem. - Któż u diabła mógłby dobrze wypoczywać w tym piecu, skoro nie włączono wentylatora?

Przez młodą opaloną twarz przebiegł wyraz zagubienia i przerażenia. - O rany, przepraszam, sir. Myślałem, że komandor Gunn go nie wyłączył.

- Co się stało, to się nie odstanie - stwierdził Pitt wzruszając ramionami. - Może byś tak zorganizował coś zimnego do picia?

- Co pan powie o butelce fixa. Pitt zmrużył oczy. - Butelce czego?

- Fixa. To greckie piwo.

- W porządku, jeśli mnie namawiasz. - Pitt nieznacznie się uśmiechnął. - Słyszałem o fiksowaniu, ale nie wiedziałem, że Grecy załatwiają to piwem.

- Wracam na jednej nodze, sir. - Chłopak wypadł z kabiny, zamknął za sobą drzwi, ale zaraz otworzył je ponownie i wsunął do środka swoją ognistą głowę. - Przepraszam, panie majorze, omal byłbym zapomniał. Pułkownik Lewis i kapitan Giordino chcą się z panem zobaczyć. Pułkownik chciał nawet wleźć bez czekania i pana obudzić, ale doktor nie chciał o tym słyszeć. Zagroził, że wyrzuci pułkownika za burtę, jeśli spróbuje.

- Dobra, wpuść ich - powiedział ze zniecierpliwieniem Pitt. - Tylko pospiesz się z tym piwem zanim wyparuję.

Położył się na koi i pozwolił by pot, spływający z jego ciała, tworzył na zmiętym prześcieradle wilgotne plamy. I nieustannie kombinował: przypatrując się ze wszystkich stron szczegółom minionych zdarzeń, odnosił je do teraźniejszości i usiłował przewidzieć z nich przyszłość.

Lewis i Giordino przyszli bez chwili zwłoki. Odpowiedź z centrali NUMY, jeśli, rzecz jasna, Giordino ją otrzymał, stanie się być może jednym z wielu, brakujących dotąd, elementów układanki. Cztery linie boczne zaczynały się już wprawdzie wyłaniać, cały środek jednak był nadal chaotycznym zbiorowiskiem jakości niepewnych i niewiadomych. Z całej tej plątaniny wyzierało zdobne złowrogim uśmiezkiem, pełne wzgardliwego samozadowolenia oblicze von Tilla. Umysł Pitta gnał dalej: wielki biały pies - to następny element układanki, lecz element ten nigdzie nie pasował. To dziwne, pomyślał Pitt, że nie da się go wstawić na właściwe z pozoru miejsce. Z jakichś niewiadomych powodów zwierzak nie chce wejść pomiędzy von Tilla a Kurta Heiberta.

Nagle z subtelnością pioruna kulistego do kabiny wpadł Lewis. Miał zaczerwienioną i mokrą twarz, a kropelki potu spływały mu po nosie i były wchłaniane przez gęstwą wąsów jak deszcz przez dżunglę. - No i co, majorze, nie żałuje pan teraz, że olał moje zaproszenie na kolację?

Pitt skrzywił kącik warg. - Przyznam, że były w ciągu ubiegłej nocy chwile, kiedy myślałem tęsknie o pańskich eskalopkach. - Pokazał palcem spowijającą pierś pajęczynę bandaży i plastrów. - Ale przynajmniej ta kolacja, w której wziąłem udział, dała mi garść niezapomnianych wrażeń.

Za masywnego cielska Lewisa ukazał się Giordino i przywitał Pitta. - Widzisz, co dzieje się za każdym razem, kiedy spuszcza cię z oczu i pozwalam zabalować samodzielnie?

W twarzy Giordino, wykrzywionej szerokim uśmiechem, Pitt dostrzegał jednak ojcowską troskę.

- Następnym razem, Al, pójdiesz zamiast mnie.

- Dzięki za taką łaskę - powiedział Giordino ze śmiechem - Stanowisz żywy dowód, czym się kończą podobne imprezki, Lewis ciężko usadowił się na krześle, stojącym tuż przy koi.

- Boże, ależ tu gorąco. Czy te cholerne pływające muzea nie mają klimatyzacji?

Pitt doświadczył lekkiego przyływu sadystycznej uciechy na widok obgotowywanego na parze Lewisa. - Zechce pan wybaczyć, pułkowniku, ale wentylator jest chyba przeciążony. Zamówiłem piwo, które pomoże nam lepiej znosić upał.

- W tej chwili - parsknął Lewis - nie odmówiłbym nawet szklanki wody z Gangesu.

Giordino pochylił się nad koją. - Na rany boskie, Dirk, w co ty się władował wczoraj wieczorem? Gunn mówił przez radio coś o wściekłym psie.

- Powiem wam - odrzekł Pitt - ale najpierw sam chciałbym uzyskać od was parę odpowiedzi. - Spojrzał na Lewisa. - Pułkowniku, czy zna pan Brunona von Tilla?

- Czy znam von Tilla? - powtórzył Lewis. - Bardzo powierzchownie. Zostaliśmy sobie przedstawieni, potem widywałem go od czasu do czasu na przyjęciach u miejscowych notabli, ale na tym koniec. Z tego, co wiem, facet jest dość tajemniczy.

- Może wie pan przypadkiem, czym się zajmuje?

- Jest właścicielem niewielkiej flotylii statków. - Lewis urwał na chwilę, w zadumie przymknął oczy, a potem, jak gdyby spłynęła nań iluminacja, szeroko je otworzył. - Minerwa, tak, Linie Żeglugowe Minerwa. Tak się nazywa ta jego flota.

- Nigdy o nich nie słyszałem - mruknął Pitt.

- Nic dziwnego - prychnął Lewis. - Sądząc po tych rozpadających się zardzewiałych baliach, które widywałem w okolicach Thasos, pańska ignorancja nie jest żadnym wyjątkiem.

Pitt zmrużył oczy. - Statki von Tilla żeglują u wybrzeży Thasos?

Lewis skinął głową. - Tak, mniej więcej jeden w tygodniu. Łatwo je zauważyć: wszystkie mają na kominach wielką żółtą literę M.

- Kotwiczą na morzu czy zawijają do Liminas?

Lewis zaprzeczył ruchem głowy. - Ani jedno, ani drugie. Każdy statek, który przypadkiem wpadł mi w oko, nadpływał z południa, okrążał wyspę i znów przyjmował kurs na południe.

- Bez żadnego postoju?

- Stawał w dryfie na wysokości cypla obok starych ruin, i to góra na pół godziny.

Pitt dźwignął się na koi, spojrzał pytająco na Giordino, a potem na Lewisa. - To dziwne.

- Dlaczego? - spytał Lewis zapalając cygaro.

- Thasos jest położona o co najmniej pięćset mil na północ od wszystkich przebiegających Kanałem Sueskim szlaków żeglugowych - wycedził Pitt. - Dlaczego von Till każe swoim statkom nakładać drogi o tysiąc mil?

- Nie wiem - odparł ze zniecierpliwieniem Giordino - i szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Może byś tak przestał pieprzyć w bambus i opowiedział nam o swoim nocnym wypadzie? Co ma z nim wspólnego ten typek, von Till?

Pitt wstał i z grymasem na twarzy przeciągnął się prostując swe obolałe i sztywne ciało. Miał piasek w ustach i nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy odczuwał podobną suchość. Gdzie jest ten durny gówniarz z piwem? Dostrzegł paczkę papierosów Giordino, poprosił gestem o jednego, zapalił i zaciągnął się, pogłębiając tylko panujący w ustach smak szamba.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się ironicznie. - Dobrze, powiem wszystko jak na spowiedzi i daję wam prawo gapić się na mnie jak na wariata; zrozumieć to.

Siedząc w kabinie, gdzie stalowe ściany niemal parzyły przy dotyku, Pitt przedstawił swoją relację. Nie przemilczał niczego - nawet wątpliwego podejrzenia, iż Teri mogła go wystawić von Tillowi na odstrzał. Lewis od czasu do czasu ze zrozumieniem kiwał głową, ale nie wygłaszał żadnych komentarzy; sprawiał wrażenie nieobecnego duchem i powracał do rzeczywistości tylko wtedy, gdy Pitt opisywał jakiś szczególnie malowniczy epizod. Giordino, amortyzując z lekka przechyły statku, przemierzał kajutę od ściany do ściany.

Kiedy Pitt skończył, nikt się nie odezwał. Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, potem trzydzieści. Atmosfera, wilgotna od potu trzech męskich ciał, z powodu dymu z cygar i papierosów stawała się również dusząca.

- Wiem - powiedział ze znużeniem Pitt - że to wszystko wygląda jak bajka i nie ma wielkiego sensu. Ale opowiedziałem dokładnie jak było i niczego me pominąłem.

- Daniel w jaskini lwów - stwierdził bezbarwnie Lewis. - Przyznaję, że to, cośmy usłyszeli, brzmi nieprawdopodobnie, ale fakty w osobliwy sposób przyznają panu rację. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł mokre czoło. - Miał pan stuprocentową słuszność, przepowiadając, że samolot-antyk zaatakuje też statek; wiedział pan nawet kiedy.

- Von Till dostarczył mi przesłanek, a reszta była tylko dedukcją.

- Nie mogę się połapać w tej dziwacznej kombinacji - przyznał Giordino. - Użycie starego dwupłatu do ostrzeliwania lądu i morza tylko po to, żeby się pozbyć Pierwszego Podejścia, sprawia wrażenie pomysłu przesadnie skomplikowanego.

- Wcale nie - zaproponował Pitt. - Von Till rychło zdał sobie sprawę, że jego próby sabotażu nie przynoszą zaplanowanych efektów.

- Co mu stanęło na przeszkodzie? - zapytał Giordino.

- Upór Gunna - odrzekł z uśmiechem Pitt. - Gunn kładł wprawdzie wszelkie awarie i niepowodzenia na karb przyczyn naturalnych, ale nie zamierzał podnosić kotwicy i dawać za wygraną.

- Ładnie to o nim świadczy - mruknął Lewis i odchrząknął, gotując się do dłuższej oracji, Pitt jednak nie dał sobie przerwać.

- Von Till musiał ruszyć innym tropem - podjął. - Wykorzystanie starego samolotu było genialnym posunięciem. Gdyby poszczuł na Lotnisko Brady nowoczesny myśliwiec odrzutowy, rozpętałoby się piekło na skalę międzynarodową. Grecy, Rosjanie, Arabowie... wszyscy mieliby w nim swój udział, a na wyspie zaroiliby się od wojska. Ale, nie, von Till był sprytny: stary albatros wprawił nasz rząd w niejakie zakłopotanie i szarpnął Air Force na kilka milionów dolarów strat, lecz oszczędził wszystkim dyplomatycznego zamieszania i ewentualnego konfliktu zbrojnego.

- To bardzo interesujące, majorze - powiedział z nie skrywanym sceptycyzmem Lewis. - Bardzo interesujące... i niezmiernie pouczające, czy nie zechciałby jednak pan odpowiedzieć mi na pytanie, które od pewnego czasu kołacze się po rozmaitych zakątkach mego nieszczęsnego mózgu?

- A zatem, sir? - Po raz pierwszy Pitt zwrócił się do Lewisa w sposób formalny i doświadczył w związku z tym głębokiego uczucia niesmaku.

- Czymże jest owo coś, czego szukają pańscy morscy jajogłowi, że ściągnęło na nas ten cały syf?

- Rybą - odparł Pitt, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Zwana potocznie Filutem, jest wedle doniesień żywą skamieniałością. Gunn zapewnia mnie, że połów jednego takiego egzemplarza będzie największym naukowym osiągnięciem dekady. - Pitt pomyślał kwaśno, że odrobinę przeholował, ale był już poirytowany pompatycznością Lewisa.

Kiedy pułkownik rozdygotany wstawał z krzesła, nie miał przyjemnego wyrazu twarzy. - Chce pan powiedzieć, że bazę, której jestem dowódcą, zawałają szczątki maszyn wartych piętnaście milionów dolarów, że moja kariera wojskowa niemal legła w gruzach... z powodu jednej cholernej ryby!?

Pitt ze wszystkich sił starał się zachować powagę. - Tak, panie pułkowniku, chyba podobne twierdzenie można uznać za prawdziwe.

Lewis, ze smętnym wyrazem twarzy człowieka, którego spotkała całkowita klęska, powoli pokręcił głową. - Dobry Boże, to niesprawiedliwe, to po prostu nie jest...

Przerwało mu pukanie do metalowych drzwi; wszedł chłopak okrętowy niosąc tacę z trzema brązowymi butelkami.

- Dbaj o ciągłość dostaw - rozkazał Pitt. - I właściwą temperaturę.

- Tak jest, sir - wymamrotał chłopak, postawił tacę na biurku i wypadł z kabiny.

Giordino podał butelkę Lewisowi. - Niech pan sobie chlapnie, pułkowniku, i zapomni o szkodach, tak czy siak, podatnicy jakoś to przełkną.

- A tymczasem ja skończę na zawał - odparł Lewis posępnie. Osuwając się na krzesło, wyglądał jak przekłuty balon.

Pitt wziął oszronioną butelkę i przetoczył ją po zapoconym czole. Złoto-srebrna etykieta była przyklejona krzywo; Pitt bezmyślnie przeczytał dumną inskrypcję: DOSTAWCA GRECKIEGO DWORU KRÓLEWSKIEGO.

- No i co dalej? - zapytał Giordino między jednym łykiem a drugim.

Pitt wzruszył ramionami. - Jeszcze nie jestem pewien. Wiele zależy od tego, co Gunn znajdzie we wraku albatrosa.

- Jakież pomysły?

- Chwilowo żadnych.

Giordino rozgniół papierosa w popielniczce. - Można przynajmniej powiedzieć, że w porównaniu z wczorajszą sytuacją nasza pozycja zmieniła się zdecydowanie na korzyść. Dzięki tobie duch z pierwszej wojny jest kaput i mamy solidny zamiar na inspiratora ataków. Wystarczy teraz skłonić władze greckie do zwinięcia von Tilla.

- Nie dość solidny - odrzekł z namysłem Pitt. - Postawilibyśmy się w położeniu prokuratora okręgowego, który żąda skazania za morderstwo faceta nie mającego żadnych motywów. Nie, musi być jakiś powód tego całego niszczycielskiego szaleństwa, przy czym niekoniecznie powód istotny z naszego punktu widzenia.

- Ale na pewno nie jest nim skarb.

Pitt przeciągle popatrzył na Giordino. - Zapomniałem zapytać. Czy admirał Sandecker odpowiedział na depezę?

Giordino upuścił do kosza pustą butelkę po piwie. - Dzisiaj rano, parę chwil przedtem, zanim ruszyliśmy z pułkownikiem na Pierwsze Podejście. - Urwał, zapatrzony w muchę, maszerującą po suficie, a potem beknął.

- No więc? - przynaglił go Pitt.

- Admirał zlecił czterem ludziom przewertowanie archiwów pod kątem katastrof morskich w interesującym nas regionie. Doszli do zgodnego wniosku, że nie istnieją dokumenty wskazujące na obecność w pobliżu Thasos jakichkolwiek zatopionych skarbów.

- A ładunki? Czy którykolwiek ze statków przewoził ładunek o potencjalnie dużej wartości?

- Niczego, o czym warto by wspominać. - Z kieszeni na piersi Giordino wyjął świstek papieru. - Sekretarka admirała przedyktowała przez radio nazwy wszystkich statków, które w ciągu dwustu minionych lat zagięły w pobliżu Thasos. Listę nader imponującą.

Pitt otarł z oczu kłujący solą pot. - Rzućmy kilka przykładów.

Giordino rozłożył kartkę na kolanie i zaczął czytać szybko i monotonicznie: - Mistral, fregata francuska, zatonała w 1753; Clara G, węglowiec brytyjski, zatonał w 1856; Admirał DeFosse, pancernik francuski, zatonał w 1872; Scylla, bryg włoski, zatonał w 1876; Daphne, kanonierka brytyjska, za to...

- Przeskocz do 1915 - przerwał Pitt.

- HMSForshire, krążownik brytyjski, zatopiony przez niemieckie baterie nadbrzeżne w 1915; Von Schroder, niszczyciel niemiecki, zatopiony przez krążownik brytyjski w 1916; U-19, niemiecki okręt

podwodny, zatopiony w 1918 przez angielski samolot.

- Starczy - powiedział z ziewnięciem Pitt. - Większość statków z naszej listy to okręty wojenne. Marne szansę, aby którykolwiek z nich przewoził fortunę w złocie.

Giordino skinął głową. - Jak powiedziały chłopaki z Waszyngtonu: "żadnych udokumentowanych dowodów na istnienie zatopionego skarbu".

Rozważania o skarbach wywołały w oczach Lewisa błysk czujności. - A starożytne statki greckie lub rzymskie? Żadne archiwa nie sięgają tak daleko.

- Fakt - przyznał Giordino - ale jak słusznie podkreślił Dirk, Thasos leży kawał drogi od szlaków żeglugowych, co było w starożytnych czasach taką samą prawdą jak teraz.

- Jeśli jednak von Till odnalazł fortunę, która spoczywała pod naszymi stopami - powiedział z uporem Lewis - to na pewno utrzymał ów fakt w tajemnicy.

- Nie istnieje prawo zabraniające odnajdywania zatopionych skarbów. - Giordino wypuścił przez nos bliźniacze strugi dymu. - Dlaczego miałby zawracać sobie głowę zatajaniem czegośkolwiek?

- Z pazerności - odrzekł Pitt. - Szaleńczej pazerności, chęci zagarnięcia dla siebie stu procent, bez odpalania pod postacią podatków i domiarów choćby ułamka łupu władzom kraju, na którego wodach terytorialnych skarb został znaleziony.

- Biorąc pod uwagę, jak wielkiej działki żąda dla siebie większość krajów - stwierdził gniewnie Lewis - chyba nie mam von Tillowi za złe jego tajemniczości.

Chłopak okrętowy pojawił się i zniknął, pozostawiając w kabinie trzy kolejne butelki piwa. Giordino opróżnił swoją jednym haustem, a następnie dorzucił pustą flaszkę do czekającej już w koszu koleżanki. - Ta cała historia cuchnie - powiedział swarliwie - i wcale mi się nie podoba.

- Mnie też nie - odparł cicho Pitt. - Każdy logiczny trop kończy się w ślepym zaułku. Nawet to gadanie o skarbach nie ma sensu. Próbowałem podpuścić von Tilla, sugerując, że chodzi o skarb, ale szczywany stary sukinsyn nie zdradził się z najmniejszym zainteresowaniem. Usiłuje coś ukryć, lecz na pewno nie jest tym czymś złoto w sztabach albo diamenty. - Urwał i przez iluminator pokazał Thasos, uśpioną za morzem pod narastającą falą upału, - Rozwiązanie jest albo na wyspie, albo w jej pobliżu; możliwe zresztą, że w grę wchodzi i jedno, i drugie. Będziemy wiedzieć więcej, kiedy tylko Gunn wydobędzie albatrosa z jego tajemniczym pilotem.

Giordino założył dłonie na kark i przechylił się z krzesłem. - Wedle wszelkich reguł, powinniśmy zbierać się już w drogę, żeby jutro o tej porze być w Waszyngtonie. Skoro powietrzny napastnik został unicestwiony i wiemy, kto inspirował wypadki na pokładzie Pierwszego Podejścia, wszystko niebawem powinno wrócić do normy. Nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy zwinąć manatków i ruszać do domciu, - Rzucił Lewisowi obojętne spojrzenie. - Jestem pewien, że pan pułkownik z łatwością upora się ze wszystkimi awaryjnymi historiami, jakie mogłyby wykiełkować w bazie.

- Nie możecie teraz wyjechać! - Lewis pocił się obficie, przemawiał z wysiłkiem i ledwie hamował wściekłość. - Skontaktuję się z admirałem Sandeckerem i załatwię, że...

- Proszę się nie martwić, pułkowniku - wtrącił Gunn, który bezgłośnie otworzył drzwi i stał w nich teraz, wychylając się zza grodzi. - Major Pitt i kapitan Giordino chwilowo nigdzie nie wyjadą.

Pitt spojrzał pytająco na małego komandora. Na twarzy Gunna nie było śladów triumfu - tylko wyraz rezygnacji i klęski, właściwy ludziom, którym jest już wszystko jedno. Drobne kości sterczały przez skórę pochylonych zmęczeniem ramion, a na porastających ciało włoskach lśniły miniaturowe kropelki wody. Gunn miał jak zawsze okulary w rogowych oprawkach i nic więcej, prócz czarnych

slipów, kryjących bez wielkiego powodzenia wychudłe ciało. Cztery godziny nieustannego nurkowania wyczerpały do granic możliwości każdą jego kostkę i mięsień.

- Przepraszam, pułkowniku - wymamrotał cicho Gunn - ale obawiam się, że mam niedobre wiadomości.

- Na rany boskie, Rudi - powiedział Pitt. - O co chodzi? Miałeś jakieś kłopoty z wydobyciem samolotu? Gunn wzruszył ramionami. - Żadnych.

- Aż tak źle? - ze śmiertelną powagą w głosie i na twarzy zapytał Pitt.

- Gorzej - odparł ponuro Gunn.

- Miejmy to z głowy.

Gunn milczał niemal trzydzieści sekund. Trzej pozostali mężczyźni słyszeli poskrzypywanie statku, kołysanego łagodnymi falami Morza Egejskiego, i widzieli, jak z wolna zaciskają się wargi dowódcy Pierwszego Podejścia.

- Uwierzcie, staraliśmy się ze wszystkich sił - ze znużeniem powiedział wreszcie Gunn. - Zastosowaliśmy każdą możliwą sztuczkę z katalogu podwodnych poszukiwań, ale nie zdołaliśmy zlokalizować wraku. - Bezradnie rozłożył ręce. - Przestał istnieć, zniknął Bóg raczy wiedzieć gdzie.

Rozdział 10

- Mieszkańcy Thasos uwielbiali teatr, uznając go za niezwykle ważny element wykształcenia, w związku z czym wszyscy, łącznie z żebrakami, byli w nim mile widziani. Kiedy z kontynentu docierała premiera nowego dramatu, zamykano sklepy, przerywano interesy, a z lochów wypuszczano więźniów. Nawet miejskie ladacznice, nie mające zwykle prawa uczestniczenia w wydarzeniach publicznych, mogły, bez obawy, że będą prześladowane przez władze, uprawiać swoje rzemiosło w otaczających amfiteatr zaroślach.

Smagły przewodnik z Greckiej Państwowej Agencji Turystycznej przerwał swą śpiewkę i z zadowoleniem obnażył zęby w uśmiechu na widok zgrozy, jaka odmalowała się na twarzach żeńskiej części grona jego słuchaczy. To zawsze wygląda tak samo, pomyślał. Kobiety poszeptują z udanym zakłopotaniem, obwieszeni zaś aparatami i światłomierzami mężczyźni w luźnych szortach porykują śmiechem i porozumiewawczo szturchają się w żebra.

Przewodnik podkreślił imponującego węża i uważniej przypatrzył się grupie. Zwyczajny koktail ze spasionych biznesmenów na emeryturze oraz ich tłustych połowic... nie zwiedzają ruin dlatego, że są zainteresowani historią, lecz po to, aby wróciwszy do kraju zaimponować przyjaciółom i sąsiadom. Wzrok Greka przeniósł się na cztery młode nauczycielki z miasta Alhambra w stanie Kalifornia. Trzy okularnice wyglądały banalnie i nieustannie chichotały. Uwagę zwracała ta czwarta. Bezmiar możliwości. Duże jędrne piersi, rude włosy, długie - jak u większości Amerykanek - i nader kształtne nogi. Skłonne do flirtu oczy, w których czai się obietnica. Nieco później zaprosi ją na prywatne zwiedzanie ruin w blasku księżyca.

Przewodnik obciągnął poły kusej kamizelki i starannie wcisnął ją pod szeroki pas z czerwonego materiału.

Powoli, z profesjonalną obojętnością, sięgnął spojrzeniem w głąb tłumu i zatrzymał wzrok na dwóch mężczyznach wspartych nonszalancko o powaloną kolumnę. W życiu nie widział takiego duetu zatwardziałych, pokancerowanych zakapiorów. Niższy, z baryłkowatym torsem, najwyraźniej Włoch, przypominał bardziej małpę aniżeli człowieka. Wyższy, o przenikliwych zielonych oczach, miał w sobie wiele pewności i swobody, a zarazem roztaczał aurę, która zdawała się krzyżeć: "Uwaga: wysoki stopień zagrożenia!" Przewodnik ponownie podkreślił węża. Najprawdopodobniej Niemiec. Sądząc po opatrunkach na nosie i dłoniach, uwielbia bójki. Dziwne, bardzo dziwne. Dlaczego ci

dwaj wybrali się na nudne zwiedzanie starych ruin? Prawdopodobnie są marynarzami, którzy zwiiali ze statku. Tak, o to chyba chodzi, pomyślał dumny ze swej przenikliwości grecki przewodnik.

- Teatr odkopano w 1952 roku - podjął obnażając zęby w następnym, tym razem szerokim uśmiechu. - Tak grubą warstwą pokryły go zniszczone z gór osady, że trzeba było dwóch lat, aby mógł ponownie ujrzeć światło dzienne. Zwróćcie, państwo, uwagę na geometryczną mozaikę, zdobiącą podium dla orkiestry. Wykonana z kamyków o naturalnym zabarwieniu, nosi podpis: "Ułożył mnie Coenus". - Urwał na chwilę, pozwalając swej turystycznej trzódce napaść oczy kwiecistym ornamentem na wydeptanych, wyblakłych płytach. A teraz, jeśli zechcecie, państwo, podążyc za mną tymi schodami po lewej stronie, odbędziemy krótką przechadzkę za następne wzniesienie, aby zwiedzić świątynię Posejdona.

Pitt, odgrywający rolę zmarnowanego i znużonego turysty, ciężko przysiadł na stopniu obserwując, jak reszta grupy wspina się po granitowych schodach, a potem znika za ich szczytem. Czwarta trzydziści. Minęło dokładnie trzy godziny, odkąd z Alem Giordino opuścili Pierwsze Podejście, swobodnym krokiem wmaszerowali do Liminas, a wreszcie z grupą i przewodnikiem ruszyli na zwiedzanie. Oczekali jeszcze kilka minut - podczas których niski kapitan nerwowo przemierzał kamienną posadzkę, ściskając pod pachą niewielką torbę lotniczą - a kiedy zyskali pewność, że nikt nie zwraca na nich uwagi, skierowali się, pod przewodnictwem Pitta, ku wejściu na scenę.

Po raz może setny Pitt szarpnął irytujący bandaż na piersi, pomyślał o lekarzu okrętowym i uśmiechnął się z rozbawieniem. Zarówno brodaty doktorek, jak i Gurm, stanowczo zabronili mu opuszczania statku i powrotu do Willi von Tilla, gdy jednak Pitt oświadczył stanowczo, że w razie potrzeby stoczy bój z całą załogą Pierwszego Podejścia i popłynie do Liminas wpływ, lekarz w geście kapitulacji uniósł ręce do góry i jak burza wypadł z kabiny.

Na razie wkład Pitta w potajemny rekonesans ograniczał się do zapłacenia za wino, gdy dla zabicia czasu przed rozpoczęciem zwiedzania przysiedli w małej tawernie. To Giordino pocił się i kłął nad przymocowaną do wałka śruby starej krypy grudą rdzy, usiłując pobudzić ją do życia, i to Giordino doprowadził wreszcie rżęcha do Liminas. Na szczęście nikt nie zauważył, że brakuje łodzi i na wybrzeżu nie czekał gotów skarcić jankeskich piratów ani gniewny właściciel, ani funkcjonariusz policji. Przycumowanie łajby na starym miejscu i przejście plażą do centrum miasta zajęło tylko kilka minut. Pitt, pewien zresztą, że to zwykła strata czasu, skłonił Giordino do zboczenia o przecznicę z drogi, żeby sprawdzić, czy Atena wciąż stoi przywiązana do narożnej skrzynki pocztowej. Osioł wprawdzie zniknął, ale po przeciwległej stronie ulicy dostrzegli schludny, biało tynkowany budynek biurowy, w którym, jak głosił szyld zredagowany w języku angielskim, mieściło się przedstawicielstwo Greckiej Państwowej Agencji Turystycznej. Reszta była prosta: dołączyć do wycieczki, mającej w programie zwiedzanie amfiteatru, z tłumkiem turystów dotrzeć w pobliże labiryntu i niepostrzeżenie wkraść się do matecznika von Tilla.

Giordino przetarł rękawem mokre czoło. - Włamanie w samo popołudnie. Czy jak wszyscy szanujący się rabusie nie możemy poczekać do zmroku?

- Im szybciej przygwoździmy von Tilla, tym lepiej - odparł ostro Pitt. - Zniszczenie albatrosa wytrąciło go z równowagi, a ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewa, będzie ujrzanie w blasku dnia powstałego z martwych Dirka Pitta.

Giordino bez trudu dostrzegł w oczach przyjaciela pragnienie zemsty. Pamiętał, jak Pitt - z trudem, wysiłkiem i bólem, ale bez słowa skargi - wspinał się stromą ścieżką pośród ruin. Pamiętał również gorycz i rozpacz, jaka zagościła na twarzy Pitta, kiedy Gunn powiadomił ich o zniknięciu tajemniczego samolotu. Było coś złowróżbnego w skupieniu Pitta i jego pośępnie zastygłych rysach.

Giordino stawiał sobie niezbyt wyraziście sformułowane pytanie, czy Pitt daje z siebie wszystko powodowany poczuciem obowiązku, czy też szaleńczą chęcią wyrównania rachunków.

- Jesteś pewien, że to właściwy sposób? Może byłoby prościej...

- To jedyny sposób - przerwał mu Pitt. - Albatrosa nie połknął wieloryb, a przecież po samolocie nie ostała się ani jedna śruba czy nakrętka. Ustalenie tożsamości pilota pozwoli rozstrzygnąć garść wątpliwości. Nie mamy wyboru. Przeszukanie willi to jedyne wyjście.

- A ja wciąż uważam, że powinniśmy wziąć pluton żandarmerii - oświadczył posępnie Giordino - i władować się siłą przez drzwi frontowe.

Pitt zerknął na Ala, a potem, przez ramię, raz jeszcze na schody. Dobrze znał uczucia Giordino, bo je podzielał - był równie sfrustrowany i niepewny, tak samo chwycił się wszystkiego, co dawało szansę wyjaśnienia choćby w niewielkim stopniu osobliwych wydarzeń kilku minionych dni. W ciągu najbliższej godziny miało się rozstrzygnąć, czy dostaną się do willi niepostrzeżenie, czy znajdą jakieś dowody przeciwko von Tillowi, czy Teri w niepojętej na razie intrydze wuja uczestniczyła z własnej woli. Pitt wrócił spojrzeniem do Giordino i zobaczył głęboko osadzone piwne oczy, posępnie zaciśnięte usta i żylaste kułaki, innymi słowy, wszystkie zewnętrzne znamiona najwyższej koncentracji - koncentracji niezbędnej wobec czekających ich być może niebezpieczeństw. W gardłowej sytuacji trudno było o lepszego faceta u boku.

- Chyba nie zdołam ci tego wbić do tępego łba - powiedział cicho Pitt. - To terytorium Grecji. Nie mamy żadnego prawa wdzierać się do prywatnej rezydencji. Wolę nie myśleć o problemach, jakie sprawilibyśmy naszym władzom wyważając drzwi w domu von Tilla. A tak - jeśli dupną nas greccy gliniarze, odegramy rolę dwóch marynarzy z Pierwszego Podejścia, którzy podczas zwiedzania dali nura do podziemi, żeby odespać przepustkowe przepicie.

- To dlatego nie wzięliśmy żadnej broni?

- Zgadłeś. Musimy zaryzykować, że w razie czego będziemy do tyłu, aby uniknąć gorszych następstw. - Pitt zatrzymał się pod murszejącym łukiem. Żelazne kraty w świetle dziennym wyglądały inaczej: nocą Pittowi wydawały się masywniejsze i znacznie bardziej nieposkromione. - To tu - powiedział, mimochodem złuszczając palcami z zardzewiałej sztaby plamę zaschłej krwi.

- Tędy się precisnąłeś? - zapytał z niedowierzaniem Giordino.

- To była betka - odparł z szerokim uśmiechem Pitt. - Po prostu jeszcze jeden drobiazdek w długim rejestrze moich osiągnięć. - Uśmiech szybko znikł z jego twarzy. - Spiesz się, nie mamy czasu. Za czterdzieści pięć minut przewali się tędy następna wycieczka.

Giordino przystąpił do kraty i w ułamku sekundy zatonął bez reszty w swej trudnej i ryzykownej robocie. Otworzył torbę, ostrożnie opróżnił i systematycznie ułożył jej zawartość na starym ręczniku. Szybko, w odległości pięćdziesięciu centymetrów od siebie, umieścił na sztabie dwa małe ładunki trotylu, wcisnął zapalnik, a następnie omotał całość wieloma warstwami metalizowanej taśmy hydraulicznej, solidnie okręcił grubym kablem i raz jeszcze spowił taśmą. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na bulwiaste ładunki, spoczywające w swoich kokonach, podłączył do detonatora końcówki przewodu. Najwyraźniej rad ze swojego dzieła, któremu od rozpoczęcia do zakończenia poświęcił niespełna sześć minut, gestem zaprosił Pitta do bezpiecznej kryjówki za ścianą nośną z wielkich kamiennych bloków, i powoli, tyłem, podążył za nim, rozwijając kabel łączący detonator z ładunkami. Gdy stanął za ścianą, Pitt ścisnął go za ramię. - W jakim promieniu będzie słychać eksplozję?

- Jeśli wszystko zrobiłem prawidłowo - odparł Giordino - to dla kogoś oddalonego stąd o sto metrów wybuch zabrzmiał jak strzał z wiatrówki.

Pitt wspiął się na podmurówkę ściany i jak żuraw wykonał obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, a

kiedy nie dostrzegł śladów ludzkiej obecności, uśmiechnął się do Giordino i skinął głową. - Mam nadzieję, że składanie nieproszonych wizyt i to wejście dla służby nie leży poniżej twojej godności.

- Nas, Giordinów, byle drobiazgi nie wprawiają w zakłopotanie - odparł Al, odwzajemniając uśmiech.

- A zatem?

- Jeśli nalegasz.

Dali nurka za starą ścianę i uchwycili dłońmi rozgrzane słońcem głązy, żeby zamortyzować ewentualny wstrząs. Potem Giordino przekręcił niewielki plastikowy włącznik detonatora.

Nawet z niewielkiej odległości trzech czy czterech metrów wybuch sprawiał wrażenie zaledwie lekkiego łupnięcia. Fala uderzeniowa nie zatrzęsła ziemią, spod łukowego sklepienia nie rzygnął ogień i dym, wreszcie ogłuszający huk nie zadudnił im w uszach. Rozległo się po prostu niegłośne łupnięcie.

Błyskawicznie porwali się na nogi i podbiegli do żelaznych wrót. Dwa poszarpane zwitki taśmy zarzyły się i wionęły ostrym odorem wypalonych ogni sztucznych, wąska smużka dymu niczym wąż wpełzała między kraty, by rozwiać się w wilgotnym mroku podziemia, a sztaba wciąż była na swoim miejscu.

Pitt spojrzał pytająco na Giordina. - Za słaby ładunek?

- Dostateczny - odparł z przekonaniem Giordino. - Ładunki były w sam raz. Popatrz, z łaski swojej. - Wymierzył sztabie dziarskiego kopniaka piętą. Sztaba nie ustąpiła ani na milimetr. Kopnął jeszcze raz, mocniej, i zagryzł wargi, gdy stopę przewiercił mu ostry ból. W miejscu górnego ładunku sztaba pękła i pochyliła się o dziewięćdziesiąt stopni, mierząc swym poszarpanym końcem w czeluści labiryntu. Usta Giordino zaczęły się rozluźniać w uśmiechu i powoli ukazywać zęby. - A teraz moja następna sztuczka...

- Daj sobie spokój - warknął brutalnie Pitt. - Ruszajmy, do jasnej cholery. Musimy dostać się do willi i wrócić na czas, aby dołączyć do następnej grupy.

- Długo będziemy iść w tamtą stronę?

Pitt przełaził już przez otwór w kracie. - Zeszłej nocy w tę szedłem osiem godzin, więc myślę, że wyrobimy się w osiem minut.

- Jak? Masz mapę?

- Coś lepszego - odparł Pitt z niemal posepnym spokojem, pokazując torbę lotniczą. - Daj latarkę.

Giordino sięgnął do torby, wyjął reflektorek o średnicy niemal piętnastu centymetrów i podał go Pittowi przez dziurę. - Spora sztuka. Co to jest?

- Podwodna Jasność Allena. Aluminiowa obudowa zachowuje wodoszczelność do głębokości dziewięćuset stóp. Nie będziemy nurkować, ale latareczka jest nie do zdarcia i rzuca długi wąski snop o natężeniu stu osiemdziesięciu tysięcy luksów. Dlatego pożyczyłem ją sobie ze statku.

Giordino wzruszył tylko ramionami, a kiedy wślizgnął się za Pittem, przystanął i powiedział: - Poczekaj chwilę, usunę dowody zbrodni. - Potem manipulując zwinnie krótkimi grubymi palcami odwiązał poszarpane kokony ładunków, a kiedy przykrył dymiące szczątki stosem odłamków kamiennych, odwrócił się w stronę Pitta i zmrużył oczy, próbując przyzwyczaić je do półmroku.

Pitt skierował w ciemność snop światła. - Popatrz na ziemię. Rozumiesz teraz, dlaczego nie potrzebuję szczegółowej mapy?

Silny blask wyłowił z mroku plamy zaschłej krwi, pstrzącej strome szczerbate schody; w niektórych miejscach widniały całe skupiska czerwonych plam, w innych - tylko pojedyncze punkciki. Schodząc po schodach Pitt drżał, nie tyle zresztą na widok śladów swojej krwi, co z powodu drastycznej zmiany temperatury, panujący bowiem na zewnątrz skwar popołudnia raptownie ustąpił

miejsca wilgotnemu chłodowi zateęchłego labiryntu. Stanąwszy u podnóża schodów puścił się truchcikiem, a rozkołysane światło jego latarki poruszyło całą lawinę cieni, skaczących ze splekanego sklepienia na prymitywnie obrobioną kamienną posadzkę. Poczucie samotności i lęku, jakie towarzyszyło mu minionej nocy, nie dawało o sobie znać, bo był przy nim Giordino, niezawodny przyjaciel od wielu lat i niezniszczalny obrzyn z twardych mięśni. Tym razem nikt i nic nie zdoła go powstrzymać, pomyślał z zawziętością Pitt.

Jedną za drugą mijali rozwarłe paszczyki kolejnych korytarzy. Pitt nie spuszczał wzroku z posadzki, tropiąc plamki krwi; na skrzyżowaniu o wielu wylotach przystanął na moment i uważniej przyjrzał się śladom - korytarz, w którym biegły dwie czerwone nitki, kończył się ślepo, należało więc podążać za jedną nitką. Ciało Pitta było już piekielnie obolałe, a pole widzenia, co stanowiło zły znak, zaczęła ograniczać mu obwódka z mgły. Był wyczerpany do szpiku kości, odczuwał to w każdym drętwiejącym zakończeniu nerwu. Potknął się i byłby upadł, gdyby Giordino nie chwycił go z siłą imadła i nie podtrzymał.

- Przestań się forsować, Dirk - powiedział stanowczo Giordino, a jego słowa poniosły się po labiryncie słabym echem. - Nie ma sensu przesadzać. W twoim stanie powinieneś sobie odpuścić odgrywanie bojowego amerykańskiego chłopaka.

- To już niedaleko - odparł z wysiłkiem Pitt. - Pies powinien leżeć jakieś dwa zakręty dalej.

Ale pies zniknął i tylko kałuże zakrzepłej krwi znaczyły miejsce, gdzie w agonii wytrzymał z siebie resztki żywota. Pitt stanął jak wryty i gapił się na wielkie plamy. Ciężki odór krwi wisiał w korytarzu i nie tyle przebijał, co pogłębiał panującą w nim zgniłą atmosferę. W duszy Pitta odżyły z wielką wyrazistością szczegóły walki: roziskrzona ślepią psa, sus w ciemnościach, nóż tonący w podatnym ciele, skowyt bólu.

- Idziemy - powiedział ponuro Pitt, zapominając o znużeniu. - Do drzwi mamy tylko dwadzieścia pięć metrów.

Teraz już Pitt nie potrzebował żadnych śladów - tak dokładnie pamiętał dotyk każdego centymetra ścian i posadzki, że dałby głowę, iż bez latarki, w zupełnych ciemnościach, jak po sznurku trafi do wyjścia. Po kilku chwilach spieszego marszu nowszą, betonową częścią podziemi, krąg mocnego światła wymacał w mroku masywne wrota.

- To tu - powiedział Pitt pomiędzy jednym a drugim ciężkim oddechem.

Giordino wysunął się przed niego, nie tracąc czasu uklęknął i jął badać palcami wąską szczelinę pomiędzy drzwiami a ościeżnicą.

- Cholera - mruknął.

- O co chodzi?

- Wielka zasuwa po tamtej stronie. Nie mam sprzętu, żeby się do niej dostać.

- Spróbuj zawiasów - zasugerował szeptem Pitt. Skierował światło na przeciwległy bok drzwi. Jego słowa wisiały jeszcze w powietrzu, gdy Giordino wyszarpnął z torby krótki, ostro zakończony łom i wziął się do podważania długich zardzewiałych gwoździ. Kiedy uporał się ze wszystkimi, położył je cicho na posadzce i pozwolił Pittowi uchylić drzwi. Pitt wyjrzał przez rozszerzającą się szczelinę - ani żywej duszy w polu widzenia, ani dźwięku prócz ich posapywania... Otworzył drzwi na oścież, mrużąc oczy w ostrym słońcu, kilkoma susami przeciął balkon i wiedząc, że Giordino depcze mu po piętach, wpadł na schody. Drzwi do gabinetu były otwarte, zasłony wydymały się i falowały w zachodnim wietrzyku. Pitt rozpląszczył się na murze i nastawił ucha; mijały sekundy, pół minuty, a w gabinecie wciąż panowała niezmacona cisza. Gospodarzy nie ma w domu, uznał Pitt, albo doskonale udają martwych. Głęboko zaczerpnął powietrza, skręcił szybko i wszedł do środka.

Gabinet był pusty i wyglądał dokładnie tak, jak go Pitt zapamiętał: kolumny, klasyczne meble,

barek, miniatura okrętu podwodnego. Pitt podszedł do półki i uważnie obejrzał małą łódź. Heban, z którego wyrzeźbiono kadłub i wieżę, lśnił jak atlas, każdy zaś szczegół - od pojedynczych nitów do mikroskopijnej haftowanej flagi bojowej cesarskich Niemiec - sprawiał tak niewiarygodnie realistyczne wrażenie, iż Pitt spodziewał się, że lada chwila z wjazdu wypadnie lilipucia załoga, by zająć stanowiska przy działkach pokładowych. Ze starannie wymalowanego na wieży napisu wynikało, że okrętek to U-19, bliźniacza jednostka U-boota, który storpedował Lusitanię.

Pitt odwrócił się gwałtownie, czując na ramieniu uścisk dłoni Giordino, który ledwie słyszalnie wyszeptał mu do ucha: - Chyba coś usłyszałem.

- Gdzie? - również szeptem zapytał Pitt.

- Nie jestem pewien, nie złapałem wyraźnego namiaru. - Giordino nasłuchując przechylił głowę, a potem wzruszył ramionami. - A może mi się zdawało.

Pitt ponownie spojrzał na model U-boota. - Pamiętasz numer tego okrętu podwodnego, który został zatopiony w tych stronach?

Giordino się zawahał. - Taaa... To był U-19. Dlaczego pytasz akurat teraz?

- Wyjaśnię ci później. Chodź, Al, zabierajmy się stąd do diabła.

- Ledwieśmy przyszli - zaproponował Giordino, podnosząc nieco głos.

Pitt poklepał model. - Ale mamy to, po cośmy przyszli...

Zastygł nagle, zamieniony w słuch, i gestem zmusił Giordino do milczenia.

- Nie jesteśmy tu sami - syknął Pitt. - Rozdzielmy się i okrążmy pokój, żeby dojść od tyłu do tej drugiej kolumny. Ja pójdę przy oknach.

Giordino skinął głową, nawet nie uniósł brwi.

Minutę później spotkali się za kanapą o wysokim oparciu. Wystawili zza niej głowy.

Pitt dosłownie wrósł w dywan i przez czas, który wydawał się Giordino wiecznością, stał nieruchomo, usiłując opanować szok, jakiego doświadczył na widok Teri spokojnie śpiącej na kanapie. Zareagował jednak nie po upływie wieczności, lecz najwyżej pięciu sekund.

Teri, zwinięta w kłębek, spała z głową na tapicerowanym oparciu, a jej czarne włosy gęstymi puklami spływały niemal na podłogę. Miała na sobie długi czerwony negliż o bufiastych krótkich rękawach; okrywał ją wprawdzie od szyi po stopy, ale tylko pozornie, albowiem spod półprzeźroczystej materii wзираł kusząco ciemny trójkąt poniżej podbrzusza i dwie różowe półkule piersi. Pitt wyszarpnął z kieszeni chusteczkę do nosa, zgniół, wcisnął Teri do ust, następnie zaś naciągnął na głowę dziewczyny skraj negliżu i obezwładniając ją całkowicie zawiązał go na plecach. Teri przebudziła się za późno i zanim zdołała połapać się o co chodzi, przerzucona przez ramię Giordino zmierzała ku słońcu.

- Chyba ci odbiło - wymruczał poirytowany Giordino, kiedy dotarli do schodów. - Tyle zachodu, żeby pogapić się na zabawkę i porwać jakąś dzidzię.

- Zamknij się i zasuwasz - powiedział Pitt nie odwracając głowy. Kopniakiem rozwarł szerzej drzwi tunelu, wpuścił Giordino z jego wierzgającym brzemieniem, a potem ustawił drzwi na miejscu i wsunął gwoździe w zawiasy.

- Po cholereż zawracasz sobie tym głowę? - zapytał ze zniecierpliwieniem Giordino.

- Dotąd nikt nie wie o naszej wizycie - odparł Pitt chwytając torbę. - Chcę jak najdłużej utrzymać von Tilla w nieświadomości. Pójdę o zakład, że znalazł oczywiście ślady mojej potyczki z psem, sądzi więc, że zbłąkany w labiryncie wykrwawiłem się na śmierć.

Pitt spiesznie ruszył korytarzem, oświetlając posadzkę, aby Giordino, pochylony pod ruchliwym ciężarem, mógł widzieć, gdzie stąpa. Gruby płaszcz mroku, rozdzierany małym ostrzem światła,

otwierał się przed nimi, a potem, za ich plecami, zamykał, na powrót pogrążając labirynt w wiecznej nocy. Noga za nogą, krok za krokiem, w powtarzanej bez końca sekwencji szli przed siebie, a ciemność osobliwie głuchym echem wtórowała uderzeniom ich stóp o twardą posadzkę.

Mocno ściskając w dłoniach latarkę i torbę, tylko mętnie świadom łaskotania w brzuchu, Pitt maszerował jak człowiek, który nie musi silić się na ostrożność i nie oczekuje kłopotów, lecz ma owo niezwykle uczucie, przekonanie prawie, że dokonał czegoś, co dotąd uważał za niemożliwe. Jestem na tropie tajemnicy von Tilla - powtarzał sobie - i mam jego bratanicę. Ale nie mógł do końca wyzbyć się z duszy utajonego w niej lęku.

Pięć minut później dotarli do schodów. Pitt odstąpił na bok i oświetlając stopnie puścił przodem Giordino. Potem odwrócił się, po raz ostatni skierował w mrok korytarza światło latarki i pośpiesznie skrzywiwszy usta zadał sobie pytanie, ile osób cierpiało w tym podziemnym piekle, ale uszło z niego z życiem. Jedno jest pewne, pomyślał: nikt nigdy nie pozna w pełni historii labiryntu - pozostały w nim tylko duchy i ciała, już dawno obrócone w proch. Odwrócił się na pięcie i ruszył po schodach, pokrzepiony blaskiem słońca, wdzierającym się na górny podest. Przepchnął przez kraty pół ciała i zaczynał się właśnie zastanawiać nad dziwnym milczeniem Giordino, który stał przed nim z Teri wciąż przerzuconą przez ramię, gdy usłyszał gdzieś z boku donośny wzgardliwy śmiech.

- Gratuluję panom doskonałego smaku w wyborze pamiątek, jakkolwiek spełniając swój patriotyczny obowiązek muszę ich poinformować, że prawo greckie kategorycznie zabrania kradzieży wartościowych przedmiotów z miejsc o znaczeniu historycznym.

Rozdział 11

Zaszokowany Pitt stanął jak wryty i stał tak - z jedną nogą na zewnątrz, drugą zaś w środku niewygodnie ugiętą - przez chwilę, która wydała mu się wiecznością. Odrzuciwszy na schody latarkę i torbę mrużył oczy, czekając aż przyzwyczają się do jaskrawego słońca: ledwo dostrzegł mglistą nieforemną postać, która oderwała się od niskiej kamiennej ściany i stanęła dokładnie przed nim.

- Ja... ja nie rozumiem - wymamrotał Pitt głupawo, udając prostaczka. - Nie jesteśmy żadnymi złodziejami.

Następna eksplozja hucznego śmiechu. Rozmyta zaś sylwetka uległa przemianie, stając się przewodnikiem z Państwowej Greckiej Agencji Turystycznej, który szczerzył zęby pod okazałym wąsem, ścisnął w śniadej garści dziewięćmilimetrowy pistolet automatyczny glisenti i kierował jego lufę wprost w serce Pitta.

- Nie jesteście złodziejami - powiedział przewodnik sarkastycznie w nienagannej angielszczyźnie. - A więc może kidnaperami?

- Nie, nie - wyrzucił Pitt głosem, który starał się uczynić błagalnym i drżącym. - Jesteśmy tylko dwoma samotnymi matrosami na przepustce, no i postanowiliśmy trochę sobie zabalować. - Puścił oko i skrzywił usta w porozumiewawczym uśmiechu. - Kapuje pan, nie?

- Rozumiem doskonale. - Pistolet ani drgnął. - I właśnie dlatego jesteście aresztowani.

Pitt poczuł, jak gdzieś w żołądku zapętała mu się węzeł, a do ust napływa suchy, piaskowy smak porażki. Boże, to gorszy obciach niż się obawiał: może oznaczać koniec wszystkiego, proces sądowy, a potem wydalenie z Grecji. Nie zmieniając naiwnie kretyńskiego wyrazu twarzy przelazi na zewnątrz i bezradnie rozłożył ręce. - Musi mi pan uwierzyć. Nikogo żeśmy nie porywali. Niech pan popatrzy - powiedział wskazując wypiętą gołą pupę Teri - to tylko wiejska kurewka, którąśmy dorwali, jak łajdaczyła się w chlewie za tawerną. Powiedziała, żebyśmy poszli na zwiedzanie ruin i że spotka się z nami w amfiteatrze.

Przewodnik sprawiał wrażenie rozbawionego. Wyciągnął wolną rękę, pomacał tkaninę negliżu

Teri, a potem powiódł koniuszkami palców po gładkich, krągłych półkulach piersi, co spowodowało kolejną eksplozję wierzgania. - Niech no pan powie - wycedził - ile od was zażądała?

- Najśmiej dwie drachmy - odparł ponuro Pitt - ale po balandze chciała nas szarpnąć na dwadzieścia. Jasne, żeśmy na to nie poszli.

- Jasne - zgodził się bezbarwnie przewodnik.

- On mówi prawdę - wtrącił Giordino, wyrzucając z siebie słowa w takim tempie, jakby gonił go diabeł. - To ta wszawa łajza jest złodziejką, nie my.

- Mistrzowskie przedstawienie - uznał przewodnik. - Szkoda, że marnujecie swój talent wobec tak małej widowni. My, Grecy, wiemy może w porównaniu z wami, obywatelami państw znacznie wyżej rozwiniętych, życie proste i bezpretensjonalne, niemniej jednak wcale nie jesteśmy prostoduszni. - Gestem pokazał Teri. - Ta dziewczyna nie jest tanią dziwką; jeśli już - drogą prostytutką. Waszym słowom zadaje kłam jej cera i budowa - pierwsza zbyt jasna, druga - zbyt szczupła, nasze dziewczęta z wyspy słyną bowiem z bardzo śniadej karnacji i szerokich bioder. Jej są zdecydowanie za wąskie.

Pitt nic nie odrzekł, czekając na okazję; wiedział, że każdy jego ruch sprowokuje Giordino do natychmiastowego działania. Grek wyglądał na niebezpiecznego faceta, szczwanego i czujnego, ale w jego smagłej, pomarszczonej od słońca twarzy Pitt nie dostrzegał oznak wrogości. Przewodnik skinął lufą w stronę Giordino.

- Niech pan postawi dziewczynę, żebyśmy mogli ją sobie obejrzeć od drugiej strony.

Giordino, patrząc na Pitta, powoli spuścił Teri na ziemię.

Kołysząc się jak wielki tulipan na wietrze, stała chwiejnie z uwięzionymi w górze ramionami, dopóki Giordino nie rozplatał zawiązanego nad głową neglizzu. Odzyskawszy swobodę ruchów, Teri wyszarpnęła knebel z ust i obróciła na Giordino wściekłe spojrzenie. - Ty cholerny, parszywy skurwysynu - wrzasnęła. - Co to wszystko ma znaczyć?

- To nie był mój pomysł, kochanie - odparł Giordino, przewrotnie unosząc brwi. - Pogadaj ze swoim kumplem - szarpnął kciukiem w stronę Pitta.

Głowa Teri podążyła za jego gestem: na widok Pitta dziewczyna otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zdobyła się tylko na głęboki oddech, a jej orzechowe oczy odzwierciedliły z błyskawiczną szybkością całą gamę emocji - zdumienie, lodowaty chłód, a wreszcie coś na kształt iskierki ciepła. Potem Teri zarzuciła ramiona na szyję Pitta i pocałowała go z namiętnością zbyt, jak uznał, w tej sytuacji ostentacyjną.

- Dirk, to naprawdę ty - wyrzuciła wśród łkań. - Tam, w ciemnościach, twój głos... Nie byłam pewna. Sądziłam, że ty... że już nigdy cię nie zobaczę.

- Wygląda na to - odparł z uśmiechem - że nasze spotkania stanowią stałe niewyczerpane źródło niespodzianek.

- Wujek Bruno powiedział, że już nigdy do mnie nie przyjdiesz.

- Nie wierz bez zastrzeżeń we wszystko, co mówi wujek.

Teri delikatnie dotknęła bandaża na nosie Pitta. - Jesteś ranny - powiedziała z mieszaniną troski i przejęcia. - Czy to zrobił wujek Bruno? Czy ci groził?

- Nie. Wchodziłem po schodach, potknąłem się i upadłem - odparł Pitt, lekko jedynie zniekształcając prawdę. - Ot i cała historia.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał z rozdrażnieniem przewodnik. Lufa pistoletu zaczęła nieznacznie opadać. - Czy młoda dama byłaby tak dobra i zechciała podać swoje nazwisko?

- Jestem siostrzenicą Brunona von Tilla - oświadczyła Teri wyniośle. - Ale nie widzę powodu,

dlaczego miałyby to pana obchodzić.

- Ach! - wykrzyknął Grek i postąpiwszy dwa kroki w stronę Teri zaczął studiować jej twarz; czynił to przez niemal pół minuty, a potem, ze świadomą nonszalancją, znów uniósł broń, która zresztą cały czas mierzyła w Pitta. Raz, drugi szarpnął węża w zadumie i niejaki zakłopotaniu.

- Być może mówi pani prawdę - powiedział cicho - a może kłamie, aby osłonić te szumowiny o nieprzyjemnej powierzchowności.

- Pańskie absurdalne insynuacje nie mają dla mnie żadnego znaczenia. - Teri zadarła głowę, a jej dumnie uniesiony podbródek szedł w zawody z wypiętym biustem. - Żądam, aby odłożył pan tę obrzydliwą broń i dał nam święty spokój. Mój wuj cieszy się wielkimi wpływami wśród miejscowych władz. Jedno jego słowo, a dokona pan nędznego żywota w więzieniu na kontynencie.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z wpływów Brunona von Tilla - odparł obojętnie przewodnik - niestety, nie wywierają one na mnie żadnego wrażenia. Ostateczna decyzja dotycząca kwestii waszego aresztowania bądź zwolnienia jest w gestii mego zwierzchnika z Panaghii, inspektora Zacynthusa. Z pewnością zechce z wami porozmawiać, a jeśli przyłapie was na jednym kłamstwie - gorzko tego pożałujecie. A teraz proszę iść: za tą ścianą znajdziecie ścieżkę, która doprowadzi was do auta, czekającego w odległości zaledwie dwustu metrów. - Przeniósł lufę pistoletu z Pitta na Teri. - Ostrzegam, panowie, pozbądźcie się myśli o jakichkolwiek nierozważnych działaniach. Jeśli dostrzegę choćby najdrobniejszy tik na twarzy któregokolwiek z was, natychmiast umieszczę kulkę w mózgu tej delikatnej i uroczej istoty. A teraz: czy moglibyśmy ruszać?

Pięć minut później dotarli do samochodu, czarnego mercedesa, parkującego dyskretnie pod kępą drzew. Drzwi kierowcy były otwarte, a szofer, ubrany w nieskazitelny garnitur koloru lodów waniliowych, siedział swobodnie za kółkiem, wystawiwszy na zewnątrz jedną nogę. Na widok zbliżającej się grupki wysiadł i otworzył tylne drzwi.

Pitt przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, kontrast bowiem pomiędzy starannie wyprasowanym jasnym garniturem a śniadą szpetną twarzą był wręcz uderzający. Wyższy od Pitta o jakieś pięć centymetrów, facet postury kamiennego posągu: ważył co najmniej sto piętnaście kilogramów i miał najszersze bary, jakie Pitt kiedykolwiek widział. W jego zdeformowanej odpychającej twarzy - jednej z tych, których niezwykłość tak często usiłują oddać na swych płótnach artyści - było coś pięknego, ale Pitt nie dał się zwieść. Na kilometr wyczuwał człowieka zubożonego wobec zabijania. Po wielekroć spotykał bowiem sympatycznych zakapiorów, którzy mordowali z łatwością, jaką zwykle rezerwuje się dla czynności banalnych i codziennych.

Przewodnik odstał do tyłu, ominął swoich więźniów i podszedł do przedniej części wozu. Skinął głową swojemu kompanowi.

- Mamy gości, Darius. Trzy zbłąkane owieczki. Zawieziemy je do inspektora Zacynthusa, przed którym będą mogły odegrać swój ujmujący spektakl. - Odwrócił się do Pitta: - Świetnie się pan ubawi w towarzystwie inspektora; jest wybornym słuchaczem.

Darius bez ceregieli pokazał tylne siedzenie. - Wy dwaj tam, dziewczyna pojedzie z przodu. - Miał głos, jakiego się można było spodziewać, głęboki i ochryply.

Pitt rozparł się wygodnie na kanapie auta, dokonując w duszy przeglądu najrozmaitszych planów ucieczki, które miały jedną wspólną cechę - każdy następny wydawał się gorszy od poprzedniego. Dopóki była z nimi Teri, przewodnik krzepko trzymał ich za jaja. Bez niej istniała szansa, że zdołają z Alem obezwładnić przewodnika i wyrwać mu broń; trudno było również wykluczyć możliwość, że Grek nie znajdzie w sobie odwagi, by zastrzelić kobietę, gdyby podjęli próbę ucieczki, Pitt jednak nie miał zamiaru ryzykować życiem Teri, aby się o tym przekonać.

Przewodnik skłonił głowę z najwyraźniej sztuczną uprzejmością. - Bądźże dzentelmenem, Darius,

i zaproponuj uroczej młodej damie swoją marynarkę. Jej... hm... prowokujące wdzięki mogłyby rozpraszać nas podczas jazdy.

- Nie ma potrzeby - odparła z pogardą Teri. - Nie włożę marynarki tej cholерnej małpy. Nie mam nic do ukrycia. A poza tym widok takiej oślizgłej glisty, jak pan, która wije się w udreće, sprawi mi żywą przyjemność.

W oczach przewodnika zagościł chłód, a jego usta wykrzywiły się nieznacznie. - Pani wola.

Teri starannie zaciągnęła negliż na uda i wsiadła do wozu, a przewodnik podążył za nią, dociskając dziewczynę do ogromnego Dariusa, który pochylił się nad kierownicą. Zagadał dieslowski silnik i mercedes ruszył wąską krętą drogą, obrzeżoną na wielu odcinkach głębokimi, zabagnionymi rowami. Lśniące oczy Greka przeskakiwały z Pitta na Giordino i z powrotem, a lufa pistoletu tkwiła jak przyklejona u prawego ucha Teri. Czujność i nieustanne skupienie przewodnika sprawiały na Picie wrażenie fanatycznych. Pitt, uważając, czy nie wywoła jakiejś negatywnej reakcji, pomalutku wyjął papierosa z kieszeni na piersi i równie wolno go zapalił.

- Niech pan powie, panie... jak tam panu...

- Polyclitus Anaxamander Zeno - odparł przewodnik. - Do usług.

- Więc niech pan powie - powtórzył Pitt, nie siląc się na recytowanie nazwiska - jakim cudem znalazł się pan przy kracie, kiedyśmy wychodzili?

- Mam wścibską naturę - odrzekł Zeno z krzywym uśmiechem. - Gdy zorientowałem się, że wraz z przyjacielem zniknął pan tajemniczo z mojej grupy, zadałem sobie pytanie: cóż mogło zainteresować wśród ruin te dwa typki o grubiańskim wyglądzie? Gdy odpowiedź z uporem wymykała się memu skromnemu intelektowi, powierzyłem koledze mą zafascynowaną zwiedzaniem trzódkę i wróciłem do amfiteatru, nigdzie jednak panów nie dostrzegłem. Potem zauważyłem wyłamaną kratę... żaden sukces, upewniam pana, skoro znam tam najmniejszy kamyk i szczelinę. Pewien, że się w końcu pojawicie, zasiadłem w oczekiwaniu.

- Czułby się pan jak idiota, gdybyśmy jednak nie wyszli.

- Rzecz była tylko kwestią czasu, z Tartaru bowiem nie ma innego wyjścia.

- Z Tartaru? - zapytał zaciekawiony Pitt. - Dlaczego tak pan to nazywa?

- Skłamałbym mówiąc, że spodziewałem się po panu zainteresowania historią, skoro wszakże pan pyta... - powiedział z rozbawieniem Zeno. - Kiedy w Grecji panował złoty wiek, przodkowie nasi urządzali w amfiteatrze procesy sądowe. Rzecz zrozumiała, gdy się weźmie pod uwagę, iż skład orzekający tworzyło stu wybranych obywateli miasta, co z kolei wynikało z bardzo rozsądnego poglądu, że im więcej osób wydaje osąd, tym sprawiedliwszy wyrok. Oskarżony, którego uznano winnym, miał do wyboru natychmiastową śmierć albo lochy zwane Tartarem.

- Takie fatalne były te lochy? - zapytał Giordino, uważnie obserwując we wstecznym lusterku odbicie twarzy Dariusa.

- Otóż w istocie wcale nie były lochami - odparł Zeno - lecz ogromnym podziemnym labiryntem o setce korytarzy, i tylko dwóch wlotach, z których pierwszy pełnił rolę oficjalnego wejścia, drugi zaś, będący ściśle strzeżoną tajemnicą - wyjścia.

- Skazani mieli przynajmniej szansę wydobycia się na wolność - stwierdził Pitt, strząsając papierosa do popielniczki umieszczonej w podłokietniku.

- Wybór Tartaru stwarzał im tę szansę tylko pozornie, bo, widzi pan, w labiryncie zamieszkiwał wiecznie głodny lew, który prócz błądzącego od czasu do czasu przestępcy dostawał do żarcia bardzo niewiele.

Pitt sposepniał, ale zaraz wziął się w garść. Znów wtargnął mu w duszę wizerunek skrzywionej w sztucznym uśmiechu twarzy von Tilla. Dlaczego stary szkop wykorzystuje zdarzenia historyczne

do kamuflowania swych tajemniczych kombinacji? Może ta obsesyjna skłonność do dramatycznych gestów okaże się szczerbą w pancerzu von Tilla. Pitt opadł na oparcie i głęboko zaciągnął się papierosem.

- Fascynujący mit.

- Zapewniam, że to nie mit - oświadczył z powagą Zeno. - Lista skazańców, którzy wśród wrzasków odbijających się echem przez mroczne ściany tuneli, sześli w Tartarze, jest nieskończenie długa. Ba, nawet stosunkowo niedawno, zanim okratowano wejście, do lochów zapuściło się kilka osób, by w paszczęce nieznanego zaginać bez wieści. Nie odnotowano przypadku, kiedy z Tartaru ktokolwiek uszedł z życiem.

Pitt pstryknięciem wyrzucił niedopałek przez okno, spojrzął na Giordino, a potem, z wyrazem samozadowolenia, który przerodził się w szeroki uśmiech, popatrzył znacznie uważniej na Zeno.

Greki przez chwilę przypatrywał mu się badawczo, wnet jednak z rezygnacją wzruszył ramionami, machnął dłonią na Dariusa, który odpowiedział lekkim skinieniem głowy i kilka chwil później wprowadził mercedesa na dwupasmową szosę główną. Wóz przyspieszył na wyjeżdżonej nawierzchni z kostki, a drzewa, stojące na poboczach jak zapomniani wartownicy, zlały się w szarozieloną smugę. Było już nieco chłodniej i wykręciwszy się na siedzeniu Pitt zdołał dostrzec, jak promienie zachodzącego słońca padają na łysy szczyt Hypsarionu, najwyższego wzniesienia na wyspie. Przypomniał sobie przeczytane gdzieś słowa greckiego poety, który przyrównał Thasos do "porośniętego nieprzebytym gąszczem grzbietu dzikiego osła". Opis ten, liczący sobie kilka dziesiątków lat, uznał za ciągle aktualny.

Darius zredukował biegi, mercedes zwolnił i znowu skręcił: tym razem koła samochodu zachrząściły na wyboistej wiejskiej zwirowce, która pięła się pod górę i pograżała w lesistym parowie.

Pitt nie miał pojęcia, ani dlaczego Darius zboczył z głównej drogi jeszcze przed Panaghią, ani dlaczego Zeno porzucił skórę przyjacielskiego przewodnika turystycznego i wszedł w rolę uzbrojonego tajnego agenta. Znajome przecucie niebezpieczeństwa znów poklepało Pitta po ramieniu i przepełniło trudnym do opanowania niepokojem.

Mercedes przetoczył się przez głęboką dziurę w drodze, wspiął długim stromym podjazdem i przez wrota, w których bez problemu zmieściłaby się wysoka ciężarówka, wjechał do wnętrza, przypominającego stodołę, wielkiego budynku o wysmaganych wiatrem drewnianych ścianach, pokrytych resztkami zniszczonej przez silne egejskie słońce szarozielonej farby. W chwili kiedy pochłaniał ich półmrok, Pitt dostrzegł w górze jakąś tablicę, zapisaną po niemiecku wyblakłymi czarnymi literami. Darius przekręcił kluczyk w stacyjce i jednocześnie Pitt usłyszał, że za ich plecami zgrzytając w zardzewiałych prowadnicach zamykają się drzwi.

- Budżet tej waszej agencji turystycznej musi być cholernie skromny, jeśli nie możecie się zdobyć na lepszy biurowiec - powiedział z ironią Pitt, strzelając oczyma po ogromnym pustym wnętrzu. Zeno tylko się uśmiechnął, ale był to uśmiech, który sprawił, że serce Pitta zaczęło bić z wielkim wysiłkiem, jak gdyby niezmiernie utrudniała mu pracę zaciśnięta na nim mocarna dłoń. Przejął go chłód, poczucie porażki i świadomość, że w sposób niepojęty podłożył się von Tillowi.

Pitt wiedział przez cały czas, że przewodnicy P.G.A.T nie noszą broni, nie mają prawa dokonywać aresztowań i jeżdżą po wyspie ciężkimi od reklam kolorowymi mikrobusami volkswagen, nie zaś czarnymi mercedesami bez jakichkolwiek oznaczeń. Muszą z Giordino uczynić jakiś ruch, i to szybko.

Zeno otworzył tylne drzwi i odstąpił o krok. Lekko skłonił głowę i zrobił gest pistoletem. - Tylko pamiętajcie, proszę - powiedział głosem twardym jak skała. - Bez żadnych głupstw. Pitt wykaraskał

się z wozu, stanął obok przednich drzwi i podał rękę Teri, aby pomóc jej wysiąść. Rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie, ścisnęła dłoń i wykonując lekki półobrót zaczęła prostować nogi. Kiedy stanęła na ziemi, szybko, zanim Pitt zdołał zareagować, zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciągnęła głowę i okryła jego spoconą twarz lawiną bezwstydných pocałunków.

Ten numer nigdy nie zawodzi, pomyślał z roztargnieniem Pitt: zafunduj kobiecie - obojętne czy na co dzień jest ona nonszalancka czy kulturalna - trochę przygody i niebezpieczeństwa, a podniecisz ją ze stuprocentowym skutkiem. Szkoda. Jest ugotowana, tyle że to nie czas i miejsce. Z wysiłkiem odsunął Teri od siebie.

- Niebywale poruszająca scenka - stwierdził Zeno ze zniecierpliwieniem - ale chodźmy już, bo inspektor Zacyntus, zmuszony do oczekiwania, gwałtownie traci wrodzoną dobroć.

Zeno, trzymając pistolet na wysokości biodra, został pięć kroków z tyłu, a grupka więźniów przemierzyła pod przewodem Dariusa cały budynek, dorównujący długością boisku futbolowemu. Pokonawszy rozchwierutane drewniane schody znaleźli się w korytarzu, wzdłuż którego po obu stronach ciągnęły się drzwi. Dariusz stanął przy drugich z lewej, otworzył je, gestem zachęcił do wejścia Giordino i Pitta, a kiedy ruszyła za nimi Teri - nagle przegrodził jej drogę ramieniem.

- Ty nie - mruknął.

Pitt, z gniewem zasnuwającym twarz, odwrócił się na pięcie. - Ona zostaje z nami - powiedział zimno.

- Nie musi pan odgrywać rycerza - rzucił lekko Zeno, choć jego oczy mówiły, że wcale nie żartuje. - Obiecuję, że nie spotka jej żadna krzywda.

Pitt badawczo popatrzył na Greka, ale nie wyczytał kłamstwa w jego twarzy. Z jakiegoś osobliwego powodu Zeno budził w Picie zaufanie. - Trzymam pana za słowo - warknął.

- Nie przejmuj się, Dirk. - Teri zmroziła Zeno lodowatym spojrzeniem. - Kiedy tylko ten dumny inspektor dowie się kim jestem, uwolnimy się od tych ohydnych facetów.

Zeno zignorował jej słowa i skinął głową w stronę Dariusa.

- Pilnuj naszych przyjaciół i to pilnuj dobrze. Podejrzewam, że są bardzo sprytni.

- Będę uważał - odrzekł z przekonaniem Darius. Poczekał, aż Zeno i bosonoga Teri odejdą zakurzonym korytarzem, a potem zamknął drzwi i oparł się o nie leniwie, krzyżując ramiona na masywnej piersi.

- Osobiście - wymruczał Giordino - wolę warunki, jakie zapewnia gościom hotel San Quentin. - Jego spojrzenie powędrowało w stronę Dariusa. - Przynajmniej nie mają tam tak rozrośniętych karaluchów.

Pitt uśmiechem skwitował obraźliwą uwagę Giordino pod adresem ich strażnika, a potem uważnie, odnotowując każdy szczegół, powiódł wzrokiem po pokoju. Był mały - mierzył najwyżej dwa i pół na trzy metry - i miał ściany ze spaczonych i zmurszałych desek ustawionych w nierównych odstępach i byle jak przybitych od zewnątrz do zwichrowanych wsporników. Nie było w nim ani mebli, ani okien, jedyne zaś światło przenikało do wewnątrz przez poziome szczeliny w ścianach i poszarpaną dziurę w suficie.

- Gdybym miał zgadywać - oświadczył Pitt - powiedziałbym, że to opuszczony magazyn.

- Prawie by pan trafił - odezwał się nie pytany Darius. W czterdziestym drugim, okupując wyspę, Niemcy wykorzystywali ten budynek jako skład amunicji.

Pitt obojętnie wyjął i zapalił papierosa, nie częstując Dariusa, to bowiem niechybnie obudziłoby czujność wielkoluda. Odstąpił do tyłu i zaczął podrzucać zapalniczkę, za każdym razem nieco wyżej niż poprzednio, aż zauważył, że Darius kątem oka śledzi jego zonglerkę. Zapalniczka poleciała w powietrze raz, drugi, trzeci, czwarty, ale za piątym razem wyslizgnęła się z palców Pitta i ze stukiem upadła na podłogę. Pitt bezradnie wzruszył ramionami i pochylił się, by ją podnieść.

Zaatakował Dariusa brutalniej niż za czasów Akademii Lotniczej jakiegokolwiek halfbacka czy auarterbacka. Mocno wparł stopy w szorstką drewnianą podłogę i wystartował z futbolowego przysiadu, przemieniając głowę i barki w taran, pędzony każdym gramem siły, jaki potrafił wykrzesać z krzepkich mięśni nóg, korpusu i karku. Na chwilę przed starciem poderwał się w górę, trafiając Dariusa w brzuch tuż ponad paskiem. Pitt sapnął w szoku, mając wrażenie, iż rąbnął łbem w ceglana ścianę i skręcił sobie kark.

ów zjadliwy, obezwładniający blok, zwany w terminologii futbolowej "blokiem z nabiegu", większość nie przygotowanych oponentów posłałby do szpitala, wszystkich przygotowanych zaś rzucił na ziemię. Wszystkich z wyjątkiem Dariusa. Olbrzym mruknął tylko, z lekka ugiął się pod ciosem, a potem uchwyciwszy Pitta za bicepsy poderwał go z podłogi.

Pitt odrętwiał, ból jednak, który eksplodował w jego ramionach i karku, był niczym wobec

z dumienia, że są ludzie zdolni utrzymać się na nogach po takim ataku, ba - skwitować go lekkim wzdrygnięciem jak pieszczośliwego klapsa. Darius docisnął Pitta do ściany i z wolna zaczął jego ciało okręcać wokół ościeżnicy na kształt pionowego precla. To już było naprawdę bolesne: Pitt zacisnął zęby i czując, że jego kręgosłup trzaśnie lada chwila, wpatrywał się w oddaloną zaledwie o dziesięć centymetrów pozbawioną wyrazu twarz Dariusa. Potem zaczął tracić wzrok, a Darius po prostu stał, gapił się błyszczącymi oczyma i zwiększał nacisk.

Nagle ów nacisk zelżał i Pitt jak przez mgłę dostrzegł, że olbrzym spogląda za siebie i gorączkowo pracując wargami usiłuje złapać oddech, by po chwili jęknąć bezgłośnie i chwiejnie osunąć się na kolana.

Giordino, wyłączony z gry frontalnym atakiem Pitta, musiał bezradnie czekać, zanim Darius nie przygwoździł Pitta do ściany. Wtedy, bez chwili wahania, skoczył nogami do przodu, trafiając stopą w nerki Dariusa. Był przygotowany, że potężne cielsko zaabsorbuje większą część energii uderzenia, stało się jednak tak, jakby piłka trafiła w słupek bramki - Giordino dosłownie odbił się od Dariusa i oszołomiony runął na podłogę. Przez moment leżał nieruchomo, a potem chwiejnie zaczął podnosić się na czworaki, potrząsając głową, aby odpędzić mrok, który zabierał się do połknięcia jego świadomości.

Było już jednak za późno. Darius pierwszy doszedł do siebie i z wyrazem triumfu na pobrużdżonej bliznami twarzy spadł na Giordino, przycisnął go do podłogi, a wreszcie - krzywiąc usta w owym złowieszczym sadystycznym uśmiechu, który zapowiada, że prawdziwa przemoc dopiero nastąpi - otoczył jego głowę swymi stalowymi dłońmi, splótł palce na potylicy i zaczął cisnąć z bezlitosną siłą zwierających się szczęk imadła.

Giordino, przez kilka nie mających końca sekund, leżał nieruchomo, dając odpór eksplodującemu w skroniach przeraźliwemu bólowi; potem drgnął, uniósł dłonie, uchwycił kciuki Dariusa i szarpnął je w dół. Przy swoim wzroście Giordino był silny jak byk, nie miał jednak żadnych szans z takim olbrzymem. Darius, obojętny z pozoru na chwyt przeciwnika, przygarbił się tylko i zwiększył nacisk.

Pitt ledwo utrzymywał równowagę: jego grzbiet pulsował bólem. Tępo spoglądał na morderczą scenę, wrzeszcząc do siebie: "Rusz się, ty durny skurwielu! Rusz się, i to szybko!" Kiedy wsparł dłonie o ścianę, gotując się do skoku na Dariusa, poczuł, że coś się poddaje pod jego palcami. Z nadzieją wykręcił głowę i spostrzegł, że jedna z desek, oderwana od słupka, wisi pionowo na kilku przerdzewiałych gwoździach. Szarpnął ją gorączkowo najpierw w jedną, a potem drugą stronę; poddała się i oto wreszcie miał ją w rękach... Na trzy centymetry gruba, miała jakieś metr dwadzieścia długości. Boże, oby tylko nie było za późno! Resztką uciekających sił Pitt uniósł deskę do góry i opuścił ją na kark Dariusa.

Nigdy nie miał zapomnieć uczucia beznadziei i rozpacz, które zalało jego duszę, gdy zmurszały kawałek drewna rozpadł się niczym łupka fistaszka w zetknięciu z potylicą olbrzyma. Nie odwracając głowy Darius puścił skronie Giordino, dając ofierze krótką chwilę ulgi, a potem na odlew walnął Pitta w brzuch i posłał go w przeciwległy koniec pokoju. Pitt bezwładnie zderzył się z drzwiami i powoli spłynął na podłogę.

Dźwignął się jakoś chwytając klamkę i stał chwiejnie, a jego świadomość nie rejestrowała niczego - ani bólu, ani krwi, przesączającej się przez bandażę i koszulę, ani wreszcie twarzy Giordino, która zaczynała się robić fioletowa w kleszczach potężnych łap. Jeszcze tylko jedna próba, powiedział sobie Pitt, wiedząc, że będzie to próba ostatnia. W jego mózg zaczęły się wwierać słowa, które kiedyś, w barze na Hawajach, usłyszał od przygodnie poznanego sierżanta piechoty morskiej. "Największy, najtwardszy, najwredniejszy skurwysyn świata padnie jak neptek, i to padnie natychmiast, po szybkim, zdrowym, ostrym kopie w jajca".

Niepewnie, ospale zaszedł od tyłu pochylonego Dariusa, który był zbyt zajęty wykańczaniem Giordino, aby go dostrzec, przymierzył się i kopnął między nogi. Jego stopa zderzyła się z kością, a także czymś, co było gumiate i miękkie. Darius puścił głowę Giordino, wyrzucił w górę monstrualne łapska i zaczął szarpać palcami powietrze. Potem zwałił się na bok i w bezgłośniejszej udreće zwinął na podłodze w ruchomy kłębek.

- Witamy w krainie żywych trupów - powiedział Pitt, unosząc Giordino do pozycji siedzącej.

- Wygraliśmy? - zapytał szeptem Giordino.

- O włos. Jak tam głowa?

- Nie wiem. Najpierw muszę się za nią rozejrzeć.

- Nic się nie przejmuj - rzekł z szerokim uśmiechem Pitt. - Wciąż ci siedzi na karku.

Giordino delikatnie pomacał palcami skronie. - Chryste, zdaje mi się, że mój czerep jest bardziej spękany niż szyba auta po zderzeniu czołowym.

Pitt zerknął niespokojnie na Dariusa. Olbrzym, spopielały na twarzy i oddychający z najwyższym trudem, leżał jak długi na podłodze, hołubiąc oburącz urażone krocze.

- Zabawa skończona - powiedział Pitt, pomagając Giordino podnieść się na nogi. - Zwijajmy żagle zanim ten Frankenstein dojdzie do siebie.

Nagle obaj zastygli w miejscu na głuchy stuk otwieranych na oścież drzwi; nic ich na ten dźwięk nie przygotowało, nic nie ostrzegło - wiedzieli tylko, że ich czas upłynął i nie mają już sił na dalszą walkę.

Do pokoju, z ręką w kieszeni drogiego, klasycznego w kroju garnituru, wszedł swobodnym krokiem wysoki chudy mężczyzna o wielkich smutnych oczach. W zadumie popatrzył na Pitta ponad cybuchem długiej fajki mocno ściśniętej w niepospolicie równych zębach. Miał łagodną, schludną i ogładzoną powierzchowność wyższego urzędnika koncernu, który opuszcza agencję reklamową. Przecwiczonym gestem podniósł dłoń i wyjął z ust fajkę. - Przepraszam za wtargnięcie, panowie - oświadczył. - Jestem inspektor Zacynthus.

Rozdział 12

Zacynthus tylko w niewielkim stopniu odpowiadał wcześniejszym wyobrażeniom Pitta. Połykanie głosek, starannie ufryzowane włosy, a wreszcie swoboda, z jaką się przedstawił, nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości - Zacynthus był Amerykaninem.

Najpierw przez dziesięć sekund przyglądał się dokładnie Pittowi i Giordino, potem odwrócił głowę i zerknął na jęczącego Dariusa. Twarz inspektora zastygła wprawdzie w wyrazie lodowatej obojętności, ale ton jego głosu zdradzał oszołomienie.

- Zdumiewające, doprawdy zdumiewające. Nie sądziłem, że to możliwe. - Ponownie spojrzął na Pitta i Giordino, tym razem z mieszaniną powątpiewania i podziwu w oczach. - Jeśli doskonale wyszkolony zawodowiec zdoła chociaż tknąć Dariusa palcem, może to sobie poczytać za wielki sukces, gdy jednak dwóch takich smętnych nieszczęśników jak wy zamiata nim podłogę, mamy do czynienia z prawdziwym cudem. Wasze nazwiska, przyjaciele?

Zielone oczy Pitta rozbłysły demonicznie. - Mój mały kompan to Dawid, a ja jestem Jaś Gigantyczny Morderca.

Zacynthus uśmiechnął się ze znużeniem. - Mam za sobą długi upalny dzień, a wy uszkodziliście jednego z moich najlepszych ludzi. Nie pogarszajcie, proszę, mego opłakanego stanu niesmacznymi żartami.

- W takim razie, Dirk - cwaniackim szeptem zaproponował Giordino - opowiedz mu ten numer o nimfomance i gitarzyście.

- Dajcie spokój - zaproponował Zacynthus tonem rezerwowanym zwykle dla dzieci. - Nie mam czasu na takie banialuki. Informacje, proszę, jeśli nie macie nic przeciwko temu! Zaczniemy od waszych prawdziwych nazwisk.

- Odpieprz się pan - warknął gniewnie Pitt. - Nie prosiliśmy ani o to, żeby przywlokła nas tu ta mała, która powiada, że nazywa się Zeno, ani o to, żeby rozstawiał nas po kątach ten Hulk Hogan, co tam leży na podłodze. Nie zrobiliśmy nic bezprawnego. Niemoralnego - może, ale nie bezprawnego. Jeśli pan liczy na jakiegokolwiek odpowiedzi z naszej strony, sugeruję, żeby najpierw zdobył się pan na kilka ze swojej.

Zacynthus, mocno zacisnąwszy usta, ze złością popatrzył na Pitta. - Pańska arogancka budzi we mnie ciekawość zawodową - powiedział cierpko. - Odkąd uczyniłem pracę śledczą moją życiową pasją, wiele dziesiątków razy stawałem oko w oko z przestępcami szczerwanymi i niebezpiecznymi. Jedni pluli mi w twarz zaprzysięgając zemstę, drudzy stali nieporuszeni i milczący, inni wreszcie na kolanach błagali o łaskę. Pan jednak, mój obtłuczony przyjacielu, musi być inny. - Oskarżycielsko wymierzył fajkę w stronę Pitta. - Na Boga, to klasyczna sytuacja, doprawdy klasyczna. Nie mogę się doczekać chwili, gdy zetnę się z panem intelektualnie podczas przesłuchania.

Urwał, gdy do pokoju wkroczył Zeno. Grek zaczął coś mówić, ale nagle dostrzegł Dariusa, który teraz siedział na podłodze wciąż zwinięty w kłębek. Wydawało się, że ze zdumienia opadł nawet imponujący wąs fałszywego przewodnika. - Na Zeusowe gromy, panie inspektorze, co się stało?

- Powinien pan być ostrzec Dariusa, żeby zachowywał większą ostrożność.

- Ależ ostrzegałem go - tonem tłumaczenia odrzekł Zeno. - Pomyśleć jednak - Dariusz pokonany... nie sądziłem, że to możliwe.

- Moje własne słowa. - Zacynthus wytrząsnął popiół z fajki. - Proszę zobaczyć, co można zrobić dla naszego biednego przyjaciela. Ja wezmę tych ludzi do siebie, żeby ustalić, czy słowami posługują się z równym kunsztem, jak dłońmi i nogami.

- Czy wszakże po tym, co tu zrobili, sądzi pan, panie inspektorze, iż pozostawanie z nimi sam na sam jest rzeczą rozważną?

- Moim zdaniem, uświadamiają sobie, że nie zyskają nic przez dalsze uciekanie się do przemocy. - Zacynthus rzucił Pittowi i Giordino kpiące spojrzenie. - Ale na wszelki wypadek, Zeno, niechże pan przykuje prawy nadgarstek kurdupła do lewej kostki tego cwaniaczka. Nie jest to z całą pewnością środek zaradczy o stuprocentowej skuteczności, ma jednak tę zaletę, że w pewnym stopniu utrudnia opór.

Zeno szybko odczepił od paska chromowane kajdanki, otworzył bransolety i wykonał polecenie Zacynthusa, zmuszając w ten sposób Giordino do zgięcia się w scyzoryk.

Przez dziurę w dachu Pitt spojrzał na niebo, stwierdził, że zapada wieczór i pomyślał z ulgą, iż to nie on musiał wykonać idiotyczny skłon. Wciąż bolały go plecy, a kiedy wyprostował ramiona, aż się krzywił z bólu. Spojrzał za Zacynthusa. - Co pan zrobił z Teri? - zapytał spokojnie.

- Jest bezpieczna - odparł Zacynthus - i odzyska wolność, kiedy tylko zweryfikuję jej twierdzenie, że jest bratanicą von Tilla.

- A my? - dobiegł z dołu głos Giordino.

- W swoim czasie - powiedział krótko Zacynthus, pokazując drzwi. - Panowie, proszę przodem.

Dwie minuty później Pitt i niezgrabnie powłóczący nogami Giordino weszli do gabinetu Zacynthusa: był to mały, lecz funkcjonalnie urządzonej pokój z przybitymi do ścian szczegółowymi lotniczymi zdjęciami Thasos, trzema telefonami i krótkofalówką, poręcznie ustawioną na stole tuż obok starego, podrapanego i obtłuczonego biurka. Pitt rozejrzał się z zaskoczeniem - ten cały wystrój był zbyt uporządkowany, zbyt profesjonalny... Szybko doszedł do wniosku, że najlepsze perspektywy

wciąż stwarza grubiańska manifestacja wrogości.

- To mi bardziej wygląda na generalski punkt dowodzenia niż biuro prowincjonalnego inspektora policji.

- Pan i pański przyjaciel jesteście dzielnymi ludźmi - odparł ze znużeniem Zacynthus - i dowiedziście tego swoimi czynami. Ale postępuje pan głupio, nie wychodząc z roli prostaka, jakkolwiek - muszę przyznać - gra ją pan wyśmienicie. - Obszedł biurko i siadł na pischzącym, obrotowym krześle. - Tym razem proszę mówić prawdę. Wasze nazwiska.

Pitt nie odpowiedział od razu. Był stropiony i jednocześnie zły, niekonwencjonalne zachowanie ludzi, którzy ich pochwycili, wytrącało go z równowagi. Podświadomie doznawał osobliwego uczucia, ba, miał niemal stuprocentową pewność, że nie musi się niczego obawiać: Zacynthus, Zeno i Darius w żaden sposób nie pasowali do jego wyobrażenia o typowych greckich policjantach. A jeśli byli na usługach von Tilla, to dlaczego z takim uporem domagają się nazwisk jego i Giordino? Chyba, że bawią się w kotka i myszkę.

- A zatem? - W głosie Zacynthusa pojawiły się twarde nuty. Pitt wyprostował się i rzucił karty na stół.

- Pitt, Dirk Pitt, dyrektor wydziału operacji specjalnych amerykańskiej Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. A ten dżentelmen po lewej to Albert Giordino, mój zastępca.

- Be zwątpienia, ja zaś jestem premie... - Zacynthus urwał w pół słowa, uniósł brwi, przechylił się przez biurko i popatrzył wprost w oczy Pitta. - Chciałbym usłyszeć to jeszcze raz. Jak, powiada pan, brzmi jego nazwisko? - Tym razem jego głos był cichy i pełen pobłażliwości.

- Dirk Pitt.

Zacynthus nie poruszył się i nie przemówił przez pełnych dziesięć sekund, a później powoli odchylił się do tyłu, wyraźnie wytrącony z równowagi.

- Pan kłamie, musi kłamać...

- Czyżby?

- Imię pańskiego ojca? - Zacynthus wciąż wpatrywał się w Pitta bez zmrużenia oka.

- Senator George Pitt z Kalifornii.

- Proszę go opisać: powierzchowność, historia, sytuacja rodzinna... wszystko.

Pitt przysiadł na skraju biurka, wyjął papierosa, zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki i dopiero po chwili uświadomił sobie, że leży na podłodze tam, gdzie ją upuścił atakując Dariusa.

Zacynthus potarł zapalniczkę o biurko i podał Pittowi ogień.

Pitt podziękował skinieniem głowy.

Potem bez chwili przerwy mówił przez dziesięć minut. Zacynthus słuchał zadumany, a poruszył się tylko raz, aby włączyć lampę, ponieważ gęstniał mrok. Na koniec uniósł dłoń.

- Wystarczy. Musi pan być jego synem, osobą, za którą się pan podaje. Cóż jednak robi pan na Thasos?

- Dyrektor NUMY, admirał James Sandecker, wydelegował mnie i Giordino w celu zbadania serii dziwnych wypadków, jakie ostatnimi czasy dotknęły jeden z naszych statków oceanograficznych.

- Ach, to ten biały, który kotwiczony na wysokości Lotniska Brady. Teraz zaczynam rozumieć.

- To cudownie - stwierdził sarkastycznie wciąż zgięty w pół Giordino. - Wybacz pan, że przerywam, ale jeśli natychmiast nie ulżę pęcherzowi, kolejny wypadek zdarzy się tutaj, na podłodze pańskiego gabinetu.

Pitt szeroko uśmiechnął się do Zacynthusa. - Niech mu pan uwierzy.

Zacynthus coś sobie w myślach przekalkulował, a potem wzruszył ramionami i przycisnął guzik, ukryty pod blatem biurka. Drzwi natychmiast rozwarły się na oścież, ukazując Zeno z jego pistoletem glisenti krzepko trzymanym w garści.

- Problemy, panie inspektorze?

Zacynthus zignorował pytanie. - Niech pan odłoży broń, zdejmie kajdanki i wskaże... hm... panu Giordino drogę do toalety. Zeno uniósł brwi. - Czy jest pan pewien, że...

- Wszystko w porządku, stary przyjacielu. Ci panowie nie są już naszymi więźniami, lecz gośćmi. Nie okazując zaskoczenia w żaden widoczny sposób, bez jednego słowa więcej, Zeno wsunął pistolet do kabury, uwolnił Giordino i poprowadził dokądś korytarzem.

- Teraz ja chciałbym uzyskać kilka odpowiedzi - powiedział Pitt, wydmuchując półprzezroczystą chmurę niebieskawego dymu. - Jakie związki łączą pana z moim ojcem?

- Senator Pitt jest w Waszyngtonie osobą znaną i szanowaną, zasłużonym członkiem kilku komisji senackich. Między innymi Komisji ds. Narkotyków.

- Co jednak nadal nie wyjaśnia, jaka w tym wszystkim jest pańska rola.

Z kieszeni marynarki Zacynthus wyjął wysłużony kapciuch, niespiesznie nabił fajkę i monetą starannie ubił tytoń. - Z powodu mych długoletnich doświadczeń śledczych na polu narkotyków wielokrotnie pełniłem funkcję łącznika pomiędzy komisją pańskiego ojca a moim pracodawcą.

Stropiony Pitt podniósł głowę. - Pracodawcą?

- Tak. Wujaszek Sam wypłaca moją pensję tak samo jak pańską, drogi Picie - powiedział z uśmiechem Zacynthus. - Wybacz pan, że formalnej prezentacji dokonuję z opóźnieniem. Inspektor Hercules Zacynthus z Federalnego Biura ds. Narkotyków. Przyjaciele mówią mi Zac i byłbym zaszczycony, gdyby poszedł pan za ich przykładem.

Z duszy Pitta uleciały wszelkie wątpliwości, a uczucie, że znowu stanął na pewnych nogach, zalało go niczym niosąca ulgę chłodna morską falą. Dopiero gdy jego mięśnie zaczęły się rozluźniać, pojął jak bardzo był spięty. Z uwagą, powstrzymując mimowolne drżenie, rozduśił papierosa w popielnicze.

- Czy przypadkiem nie wysunąłeś się o parę kroków poza granice swojej jurysdykcji?

- W sensie geograficznym - tak, w profesjonalnym natomiast - nie. - Zac urwał, aby rozbudzić z uśpienia swoją fajkę. - Jakiś miesiąc temu biuro dostało z Interpolu meldunek, że na pokład pewnego frachtowca załadowano w Szanghaju olbrzymi transport heroiny...

- Jeden ze statków von Tilla?

- Skąd wiesz?

Pitt uśmiechnął się zagadkowo. - To tylko przypuszczenie. Przepraszam za wtęt. Kontynuuj, proszę.

- Statek ów, należący do Linii Żeglugowej Minerwa frachtowiec o nazwie Królowa Artemizja, wyszedł z Szanghaju trzy tygodnie temu, wioząc na pokładzie nader, wedle listu przewozowego, niewinny ładunek: ziarna soi, mrożoną wieprzowinę, herbatę, papier i dywany. - Zac nie potrafił powstrzymać uśmiechu. - Spora różnorodność, trzeba przyznać.

- A przeznaczenie?

- Najpierw statek zawinął do Colombo, gdzie wyładowano towary z komunistycznych Chin, przyjmując na pokład grafit i kakao. Po tankowaniu w Marsylii Królowa Artemizja popłynęła, korzystając ze Szlaku Żeglugowego św. Wawrzyńca, wprost do Chicago, swego docelowego portu.

Pitt zastanawiał się przez chwilę. - Dlaczego do Chicago? Przecież Nowy Jork, Boston czy inne porty wschodniego wybrzeża są przez podziemie kryminalne lepiej przystosowane do odbioru narkotyków z zagranicy.

- A dlaczego nie do Chicago? - zareplikował Zac. - Miasto Wichrów jest największym w starych znacznych Stanach centrum dystrybucji towaru i jego spedycji. Czyż jest lepsze miejsce, żeby wylądować na brzeg sto trzydzieści ton czystej heroiny?

Pitt popatrzył na Zacyntusa z niedowierzaniem. - To niemożliwe. Nikt na świecie nie zdoła przeszwarować przez cło takiej masy narkotyków.

- Nikt, wyjąwszy, rzecz jasna, Brunona von Tilla. - Głos agenta federalnego był ledwie słyszalnym szeptem i Pitt poczuł nagle, jak przejmuje go chłód. - Oczywiście, to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Prawdziwe utonęło gdzieś w mrokach przeszłości na długo przedtem, zanim von Till stał się dzisiejszym nieuchwytnym przemytnikiem i najbardziej diabolicznym, najbardziej wyrachowanym handlarzem ludzką tragedią, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. - Zac odwrócił głowę i wbił w okno nie widzące spojrzenie. - Kapitan Kidd, konfederacy gwałciciele blokady i wszyscy handlarze żywym towarem razem wzięci to małe piwo w porównaniu z von Tillem.

- Kreślisz wizerunek arcyłotra stulecia - wtrącił Pitt. - Czym zasłużył sobie na taki zaszczyt?

Zac posłał Pittowi szybkie spojrzenie, a potem znowu wbił wzrok w okno. - Liczne rewolucyjne rzezie, jakie w ciągu minionych dwudziestu lat miały miejsce w Ameryce Południowej i Środkowej, byłyby niemożliwe bez przemytu broni z Europy. Czy przypominasz sobie wielką kradzież hiszpańskiego złota, której dokonano w 1944 roku? I tak chwiejna gospodarka Hiszpanii omal nie obróciła się w gruzy, gdy z tajnych skarbców Ministerstwa Finansów zniknęła nagle wielka część krajowych rezerw złota. Wkrótce potem czarny rynek Indii został dosłownie zalany sztabami złota z herbem Hiszpanii. Jakim cudem tak ogromny ładunek przemycono na odległość siedmiu tysięcy mil? Rzecz wciąż pozostaje tajemnicą. Wiemy jednak, iż nazajutrz po kradzieży wypłynął z Barcelony frachtowiec Linii Żeglugowej Minerwa, by dobić do Bombaju dzień przed pojawieniem się złota na tamtejszym rynku.

Obrotowe krzesło skrzyknęło i Zac znów siedział twarzą do Pitta. Melancholijne oczy inspektora były przesłonięte mgiełką zadumy.

- Tuż przed kapitulacją III Rzeszy - podjął - pojawiło się w Buenos Aires osiemdziesięciu pięciu hitlerowców wysokiej rangi. Jak się tam dostali? I znów jedynym statkiem, jaki rankiem tego dnia wszedł do portu, był frachtowiec Minerwy... Latem 1954 podczas wycieczki do Neapolu uprowadzono cały autobus kilkunastoletnich uczennic. Cztery lata później urzędnik ambasady włoskiej natknął się w bocznej uliczce Casablanki na jedną z zaginionych dziewczyn. - Zac milczał niemal minutę, a potem podjął znacznie ciszej: - Błądziła bez celu i była zupełnie szalona. Widziałem fotografie jej ciała... Skłoniłyby do płaczu najtwardszego faceta.

- A jej wersja?

- Zapamiętała, że wieziono ją statkiem z wymalowaną na kominie wielką literą M. To był jedyny sensowny element jej zwierzeń, bo resztę stanowił wariacki bełkot.

Pitt czekał na dalszy ciąg, ale Zac umilkł, zajęty rozpalaniem fajki. Pokój wypełniał się słodkim aromatycznym dymem.

- Handel żywym towarem to plugawy interes - zauważył ochryple Pitt.

Zac skinął głową. - To tylko cztery z setek spraw pośrednio związanych z von Tillem. Gdybym potrafił słowo w słowo zacytować z pamięci wszystkie akta Interpolu na jego temat, siedzielibyśmy tu miesiąc albo nawet dłużej.

- Czy sądzisz, że to von Till jest mózgiem wszystkich przestępstw?

- Nie, staruch jest zbyt cwany, żeby angażować się bezpośrednio. On tylko dostarcza środków przewozu. Jego branża to przemyt - przemyt na wielką skalę.

- Dlaczego, do cholery, nie powstrzymano tego parszywego skurwiela? - spytał Pitt, na poły

gniewny, na poły zbity z tropu.

- Gdybym tak mógł odpowiedzieć na to pytanie bez poczucia wstydu! - Zac smętnie pokręcił głową. - Ale nie mogę. Prawie każda na świecie agencja egzekwowania prawa usiłowała złapać von Tilla na gorącym uczynku, ale facet uniknął wszystkich pułapek i wykończył wszystkich agentów, którzy próbowali przeniknąć do Linii Żeglugowej Minerwa. Jego statki przeszukiwano od dziobu po rufę i od rufy po dziób przynajmniej tysiąc razy, a jednak nie znaleziono nic obciążającego.

Pitt bezmyślnie obserwował spiralę dymu, wysnuwającą się z fajki agenta.

- Nikt nie jest aż tak szczwany. Jeśli von Till jest człowiekiem, można go złapać.

- Bóg mi świadkiem, żeśmy się starali. Połączone siły wielu agencji śledczych przebadaly każdy cal statków Minerwy, dniem i nocą śledziły je na morzu, jak sęp obserwowały podczas postojów w portach, przeświecały sprzętem elektronicznym każdą łopatką, gródź i zęzę. Mógłbym bez namysłu wyklepać nazwiska przynajmniej dwudziestu agentów - i to cholernie dobrych agentów - którzy doprowadzenie do aresztowania von Tilla uznali za życiową misję.

Pitt zapalił drugiego papierosa i wbił w Zaca niewzruszone spojrzenie. - Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Bo sądzę, że mógłbyś nam pomóc.

Pitt milczał przez chwilę, drapiąc się przez irytujące bandażę. Uznał, że nie zaszkodzi, jeśli skubnie przynęte. - Jak?

Po raz pierwszy w oczach Zaca błysnęło wyrachowanie, by zniknąć równie szybko, jak się pojawiło. - Rozumiem, że z bratanicą von Tilla łączą cię nader przyjazne stosunki.

- Zerznąłem ją, jeśli o to ci chodzi.

- Od jak dawna ją znasz?

- Poznaliśmy się wczoraj rano na plaży.

Zaskoczenie na twarzy Zaca powoli ustąpiło miejsca chytreemu uśmieszkowi. - Albo jesteś diabło szybkim zawodnikiem, albo skończonym łgarzem.

- Sam zdecyduj - rzucił obojętnie Pitt. Wstał i przeciągnął się, aby rozluźnić obolałe mięśnie. - Wiem, co ci chodzi po głowie, i radzę, żebyś dał sobie spokój.

- Doprawdy ciekawe, co też wyczytałeś w moich myślach.

- Najstarsza taktyka świata - Uśmiechnął się z wyższością Pitt. - Chcesz, abym kontynuował mój intymny związek z Teri, bo masz nadzieję, iż von Till uzna mnie za członka rodziny. To by mi dało nieograniczony dostęp do willi i szansę bezpośredniej obserwacji poczynąń starego szkopa.

Zac bez mrugnięcia okiem stawiał czoło spojrzeniu Pitta. - Charakteryzujesz się niebywałą przenikliwością, drogi Picie. A zatem: czy wchodzisz do gry?

- Nie ma mowy!

- Mógłbym spytać dlaczego?

- Poznałem von Tilla wczoraj przy kolacji i nie rozstaliśmy się jako najlepsi przyjaciele.

Poszczał na mnie psa.

Pitt zdawał sobie sprawę, iż Zac nie potraktuje poważnie jego frywolnego komunikatu, ale do cholery, pomyślał, w imię czego jeszcze raz międlić tę całą koszmarną historię? Zaczęła mu się marzyć lufka czegoś mocniejszego.

- Od seksu z siostrzenicą do kolacji z wujem; i wszystko tego samego dnia. - Zac z niedowierzaniem pokręcił głową. - Naprawdę szybki z ciebie zawodnik.

Pitt wzruszył tylko ramionami.

- Szkoda - ciągnął Zac. - Jako wtyczka mógłbyś być nam bardzo pomocny. - Popykał chwilę, aż popiół w cybuchu jego fajki rozjarzył się agresywnie pomarańczową czerwienią. - Mamy ciągle

willę pod obserwacją, ale z daleka nie zdołaliśmy dostrzec nic niezwykłego. Dwieście metrów... tylko na tyle mogliśmy się zbliżyć, nie wzbudzając podejrzeń von Tilla. Sądziliśmy, że nasz mały występ w roli przewodników turystycznych przyniósł wreszcie korzyści, gdy pułkownik Zeno zatrzymał was i siostrzenicę von Tilla.

- Pułkownik Zeno?

Zac skinął głową, a potem dla większego efektu uczynił pauzę. - Tak. Są z kapitanem Dariusem funkcjonariuszami Żandarmerii Greckiej. Można by nawet rzec, iż z formalnego punktu widzenia Zeno przewyższa mnie stopniem.

- Stopień pułkownika w policji? - zdziwił się Pitt. - To chyba dosyć niezwykle.

- Nie, jeśli rozumie się system greckich służb kryminalno-porządkowych. Bo, rozumiesz, z wyjątkiem Aten i kilku innych dużych aglomeracji, które posiadają własne organizacje miejskie, służbą policyjną na prowincji zajmuje się żandarmeria. Jest częścią armii, a poza tym strukturą bardzo elitarną i kompetentną.

Mimo nienawiści do Zeno i Dariusa Pitt był pod wrażeniem.

- To wyjaśnia ich obecność, ale co z panem, inspektorze? Amerykański agent od spraw narkotyków tak samo nie ma prawa zwalczać narkotyków w Grecji, jak agent FBI wrogich szpiegów w Hiszpanii.

- Miałby pan zupełną rację, gdyby chodziło o tuzinkową sprawę - powiedział dobitnie Zac, którego twarz wyraźnie sposepniała. - Ale von Till to nie jest tuzinkową sprawą. Kiedy wsadzimy go za kratki i położymy kres jego obrzydliwej działalności przemytniczej, automatycznie zmniejszymy międzynarodową przestępczość o dwadzieścia procent, co, upewniam pana, nie jest drobnostką. - Zakiem zawładnął taki mimowolny gniew, że musiał urwać na chwilę i zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, aby wrócić do równowagi. - W przeszłości poszczególne kraje działały osobno, wykorzystując kanały Interpolu do transmitowania na skalę międzynarodową informacji o szczególnej wadze. Gdybym, na przykład, otrzymał ze swych utajnionych źródeł wiadomość, że do Anglii zmierza transport narkotyków, powiadomiłbym londyńskie biuro Interpolu, a to, z kolei - Scotland Yard. Zakładając, że przepływ informacji był dostatecznie szybki, angielska policja zastawiłaby pułapkę i aresztowała przemytników.

- Układ, jak się zdaje, prosty i funkcjonalny.

- Niestety, wobec von Tilla dotąd zawodził. Bez względu na to, ile wysyłano ostrzeżeń oraz ile urządzano zasadzek, von Till zawsze potrafił uniknąć wnyków, wychodząc z całego zamieszania czysty i pachnący. Ale tym razem będzie inaczej. - Dla podkreślenia wagi swych słów walnął pięścią w blat biurka. - Nasze rządy udzieliły zgody na sformowanie międzynarodowej brygady śledczej, która może przekraczać wszystkie granice, korzystać z technicznego zaplecza policji wszystkich zainteresowanych krajów, a nawet dysponować wojskiem i sprzętem wojskowym. - Zac ciężko westchnął i dodał przeproszającym tonem: - Wybacz pan, Picie, nie chciałem się rozpędzać. Mam jednak nadzieję, że wyjaśniłem panu powody swojej obecności w Thasos.

Pitt badawczo przypatrywał się Zacowi. Inspektor nie wyglądał na człowieka przywykłego do niepowodzeń: wszystkie jego ruchy, gesty, nawet słowa sprawiały wrażenie starannie przemyślanych i zaplanowanych - a jednak gdzieś w głębi oczu Zaca Pitt dostrzegł iskierkę lęku. Lęku przed klęską w starciu z von Tillem. I jeszcze bardziej niż Pitt zatęsknił za drinkiem.

- Gdzie są inni członkowie pańskiej ekipy? - zapytał. - Dotąd widziałem tylko trzech.

Drewnianym głosem sędziego, recytującego paragrafy kodeksu, Zac odparł: - Dokładnie w tej chwili angielski inspektor przebywa na pokładzie niszczyciela Royal Navy, który tropi Królową Artemizję; przedstawiciel policji tureckiej obserwuje z powietrza ten sam statek von Tilla lecąc nie

oznakowanym starym DC-3; są również do dyspozycji dwaj detektywi z francuskiej Suretee - udając marsylskich dokerów czekają, aż Królowa zawinie do portu w celu zatankowania paliwa.

Pitta zaczęło powoli ogarniać uczucie, że wszystko dokoła jest abstrakcyjne i nierzeczywiste. Zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła zachować przytomność - w ciągu dwóch minionych dni przespał zaledwie kilka godzin. Potarł oczy, ostro pokręcił głową i znów zaczął myśleć przytomnie.

- Zac, staruszk - po raz pierwszy zwrócił się do inspektora po imieniu - zastanawiam się, czy nie wyświadczyłbyś mi przysługi.

- Jeśli będę mógł... - Zac uśmiechnął się nieprzekonująco - ...staruszk.

- Przekaż Teri pod moją opiekę.

- Przekazać ją pod twoją opiekę? - Brwi ponad niewinnymi oczyma Zaca uniosły się wysoko.

Steve McQueen nie zrobiłby tego lepiej. - Co za wszeteczne pomysły chodzą ci po głowie?

- Żadne tam wszeteczeństwa - odparł poważnie Pitt. - Nie masz wyboru i musisz ją wypuścić. Po odzyskaniu wolności Teri będzie potrzebować najwyżej dwudziestu minut, żeby jak huragan wpaść do willi - Czym furia piekieł wobec gniewu niewiasty poniżonej? - żądając od wujaszka Brunona, by zrobił coś w sprawie jej haniebnego zniewolenia. Stary zgred uruchomi trybiki swojego przenikliwego umysłu i w ciągu godziny twoja konspiracyjna siateczka szpiegowska na Thasos dostanie takiego kopa, że oprze się aż w Stanach.

- Chyba nas nie doceniasz - stwierdził uprzejmie Zac. - Jestem doskonale świadom możliwych konsekwencji i dysponujemy planem awaryjnym na taką właśnie okazję. Możemy natychmiast opuścić tę bazę i już jutro rano działać pod zupełnie inną przykrywką.

- To za późno - ostro zareplikował Pitt. - Szkody już zostały poczynione, bo von Till zda sobie sprawę z waszej obecności i z pewnością zdwoi ostrożność.

- Sięgasz po bardzo przekonujące argumenty.

- Masz cholerną rację.

- A jeśli ci ją oddam? - zapytał z namysłem Zac.

- Kiedy von Till zorientuje się, że Teri zniknęła - jeśli, oczywiście, już się nie zorientował - staruszek przewróci Thasos do góry nogami. Najbezpieczniejszym miejscem ukrycia dziewczyny będzie Pierwsze Podejście, bo von Till nie wpadnie na pomysł, aby jej tam szukać, a przynajmniej nie wpadnie, dopóki nie zyska całkowitej pewności, że Teri nie ma na wyspie.

Zac długo i przenikliwie wpatrywał się w Pitta, jak gdyby widział go po raz pierwszy, i zadawał sobie pytanie, dlaczego ktoś, kto ma doskonałe stanowisko i wpływową rodzinę, łąduje się w takie tarapaty, podejmuje takie ryzyko, nie mogąc przecież wiedzieć, kiedy błąd w ocenie sytuacji wyznaczy koniec jego kariery czy wręcz spowoduje wyrok śmierci. Zac bezmyślnie postukał fajką w popielniczkę, wytrząsając sypki popiół z wrzoscowego cybucha. - Zapewne będzie tak, jak mówisz - mruknął. - Zakładając, oczywiście, że młoda dama nie zechce nam sprawiać kłopotów.

- Myślę, że nie zechce - odrzekł z uśmiechem Pitt. - Ma na głowie ciekawsze sprawy niż międzynarodowy przerzut narkotyków. Zaryzykowałbym twierdzenie, że potajemna wycieczka na statek w moim towarzystwie zafascynuje Teri bardziej niż kolejny nudny wieczór z wujaszkiem Brunonem. Poza tym pokaż mi kobietę, która od czasu do czasu nie marzy o zakosztowaniu prawdziwej przygody, a ja ci pokażę...

Urwał, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Giordino, a za nim wąsaty Zeno. Na swojej twarzy amorka Giordino miał szeroki uśmiech, w garści zaś - butelkę pięciogwiazdkowej brandy metaxa.

- Tylko popatrz, co znalazł Zeno! - Giordino odkręcił butelkę, powąchał jej zawartość z udawanym wyrazem ekstazy. - Doszedłem do wniosku, że ci faceci nie są wcale tacy wredni.

Pitt parsknął śmiechem i powiedział do Zaca: - Musisz wybaczyć Alowi. Rozkrochmała się na sam widok gorzały.

- W takim razie - Zeno uśmiechnął się pod wąsem - mamy ze sobą wiele wspólnego. - Ominął Giordino i postawił na biurku tacę z czterema kieliszkami.

- Jak się miewa Darius? - zapytał Pitt.

- Stoi na nogach - odparł Zeno - ale będzie kuszykać przez kilka dni.

- Proszę go przeprosić w moim imieniu- powiedział szczerze Pitt. - Ubolewam...

- Nie potrzeba żadnych wyrazów ubolewania - przerwał mu Zeno. - W naszej branży takie rzeczy się zdarzają. - Kiedy podawał Pittowi kieliszek, po raz pierwszy zauważył krwawe plamy na koszuli.

- Chyba tobie też się dostało.

- Wyrazy sympatii ze strony psa von Tilla - wyjaśnił Pitt, unosząc kieliszek pod światło.

Zac bez słowa skinął głową: zaczynał rozumieć nienawiść, jaką Pitt odczuwa do starego Niemca, i uspokojony, że motywem jego działań nie jest seks, lecz zemsta, rozluźnił się i rozsiadł wygodniej w obrotowym krześle. - Kiedy wrócisz na statek, będziemy cię drogą radiową informować o poczynaniach von Tilla.

- Dobrze - odparł po prostu Pitt. Popijał brandy małymi łydkami, delektując się ognistym napitkiem, który kropla po kropli spływał przez gardło do żołądka. - I jeszcze jedna przysługa, Zac. Chciałbym, żebyś wykorzystując swój oficjalny status, pchnął do Niemiec parę depeesz.

- Oczywiście, co chcesz przekazać?

Pitt zdążył już wziąć z biurka notes i ołówek. - Zapiszę ci wszystko, włącznie z nazwiskami i adresami, ale celowo trochę popyrtam pisownię. - Skończywszy pisać, Pitt podał notes inspektorowi. - Poproś, żeby przekazano odpowiedź na Pierwsze Podejście. Podam częstotliwość, wykorzystywaną przez NUMĘ.

Zac przebiegł spojrzeniem tekst. - Nie rozumiem twoich motywów.

- To tylko strzał na oślep. - Pitt ponownie napełnił metaxą swój kieliszek. -A tak nawiasem mówiąc, kiedy Królowa Artemizja będzie przechodzić obok Thasos?

- Jakim... skąd wiesz, że będzie przechodzić?

- Jestem telepatą - odrzekł zwięźle Pitt. - A więc kiedy?

- Jutro rano. - Zac posłał Pittowi długie zamyślane spojrzenie. - Między czwartą a piątą rano. Dlaczego pytasz?

- Z czystej ciekawości. - Pitt przygotował się duchowo na opróżnienie kieliszka jednym haustem, ale i tak rzuciło nim bardziej niż się spodziewał. Gorączkowo kręcąc głową usiłował opanować napływające do oczu łzy. - Dobry Boże - wyszeptał ochryple. - Ten towar wchodzi jak kwas do akumulatorów.

Rozdział 13

W miarę jak statek wytracał prędkość, pod jego archaicznym prostopadłym dziobem zamierały fantastycznie fosforyzujące bruzdy piany. Potem kotwica osunęła się z grzechotem w wodę na głębokość dziesięciu sążni, wygasły światła nawigacyjne i Królowa Artemizja wtopiła się w czarną powierzchnię morza, zniknęła, jak gdyby nigdy jej nie było.

W odległości dwustu stóp na falach leniwie podskakiwała niewielka drewniana skrzynia najpospolitszego typu - jeden z tysięcznej rzeszy morskich rupieci, zaśmiecających wszystkie akweny i wszystkie szlaki żeglugowe. Takie właśnie wrażenie sprawiała na pierwszy rzut oka, bo nawet wypisana przez szablon informacja: TĄ STRONĄ DO GÓRY wskazywała dno morskie. Tę jednak skrzynię wyróżniał spośród wielu, wielu innych jeden istotny element: nie była pusta.

Pewnie dałoby się wykombinować jakiś lepszy sposób, pomyślał kwaśno Pitt, gdy za sprawą większej fali rąbnął czerepem w deski, ale i tak ten jest o niebo lepszy niż podpływanie na widoku w rodzącym się brzasku dnia. Zachłysnął się słoną wodą, odkaszlnął ją, a potem dodmuchał kamizelkę ratunkową, aby zwiększyć jej wyporność, i przez nierówną dziurę w ścianie skrzyni podjął obserwację statku.

Królowa Artemizja kołysała się w ciszy i tylko słaby pomruk prądnic oraz kłaśnięcia fal o burty zdradzały jej obecność; stopniowo jednak i te odgłosy obumierały, zacierając ostatnie ślady istnienia statku. Pitt nasłuchiwał jeszcze długo, ale do jego podskakującej na falach placówki obserwacyjnej nie dotarł już żaden dźwięk - ani kroki na pokładzie, ani męskie głosy wydające rozkazy, ani szczeł urządzeń obsługiwanych przez ludzi. Cisza była absolutna i bardzo zastanawiająca: Królowa Artemizja sprawiała wrażenie widmowego statku z widmową załogą.

Spuszczona była prawoburtowa kotwica i Pitt, powoli wiosłując nogami, ruszył w jej stronę; fala i lekki wiatr mu sprzyjały, niebawem więc skrzynia stuknęła lekko o kotwiczny łańcuch. Pitt szybko zdjął z pleców aparat powietrzny, przyczepił go paskami do jednego z wielkich stalowych ogniw tuż pod powierzchnią morza, a następnie od strony ustnika nawłókł na wąż ssący płetwy i maskę. Zabezpieczywszy w ten sposób swój sprzęt, chwycił oburącz łańcuch kotwiczny i uniósł głowę: ginące w mroku paciorki ogniw zdawały się ciągnąć w nieskończoność i Pitt poczuł się jak Jaś, który rozpoczyna wspinaczkę na gigantyczną fasolę. Pomyślał o Teri, uspionej w przytulnej kajucie Pierwszego Podejścia, o jej miękkim smukłym ciele - i zadał sobie pytanie, co on, do jasnej cholery, tu robi.

Teri też się zastanawiała, ale nad nieco inną sprawą. - Dlaczego zabierasz mnie na statek? Przecież nie mogę w takim stanie przedstawiać się tym wszystkim naukowym mądralom. - Uniosła rąbek swego przezroczystego negliżu, pokazując nogi do połowy ud.

- Do diabła z tym - roześmiał się Pitt. - Prawdopodobnie będzie to najbardziej podniecająca historia, jaka przydarzyła się im od stuleci.

- A co z wujkiem Brunonem?

- Wy tłumacz mu, że popłynęłaś na zakupy na kontynent. Powiedz mu co ci ślina na język przyniesie, przecież jesteś już pełnoletnia.

- Chyba zabawnie by było trochę narozrabiać zachichotała. - Przeżyć taką filmową przygodę. Można na to i tak spojrzeć - odparł Pitt, zadowolony, iż bezbłędnie przewidział reakcję Teri.

Jak Polinezyjczyk wdrapujący się na palmę kokosową piął się po łańcuchu: niebawem dotarł do kluzy i ostrożnie, usiłując wzrokiem i słuchem wytropić w mroku jakiegokolwiek ślady poruszeń, wyjrzał zza relingu. Nie dostrzegł żywej duszy - pokład dziobowy był pusty.

Przesadził okrężnicę, pochylił się nisko i ruszył w stronę masztu dziobowego. Zaciemnienie, panujące na statku, było najprawdziwszym błogosławieństwem - gdyby paliły się lampy załadunkowe, cały dziób i śródokręcie kąpałyby się w białym świetle, znacznie utrudniając skryte działanie. W dodatku, za co Pitt również dziękował niebiosom, ciemność skutecznie zacierała wilgotne ślady, jakie pozostawiał za sobą na pokładzie; przystanął, nasłuchując - panowała idealna cisza, zbyt, prawdę mówiąc, idealna. A zresztą w Królowej Artemizji było jeszcze coś, czego podświadoma część umysłu Pitta na razie nie potrafiła nazwać po imieniu...

Z pochwy przymocowanej do łydki Pitt dobył noża nurkowego i godząc w ciemność osiemnastocentymetrowym ostrzem ruszył w stronę rufy.

Miał doskonały widok na mostek, który - rzecz niewiarygodna - wydawał się opustoszały. Pitt wtopił się w mrok i bezgłośnie począł pokonywać stopnie trapu. Sterówka była ciemna i pusta: szprychy koła tonęły w mroku, a szafka busoli sterczała jak niemy mosiężny wartownik. Napisy na

tarczy telegrafu pokładowego zwały się w ciemną smugę, ale z położenia wskazówek Pitt wywnioskował, że ostatni rozkaz brzmiał: Maszyna Stop. W bladym świetle gwiazd zdołał dostrzec półkę poniżej parapetu prawoburtowego okna i sunąc po niej palcami powoli identyfikował zawartość: lampa Aldisa, rakieta, rakietnica, rakiety... Potem dopisało mu szczęście - wymacał znajomy obły kształt latarki. Zdjął kapielówki i okręcił je wokół szkiełka: w rezultacie zamiast wyraźnego snopa światła latarka dawała zaledwie słabą poświatę. Po kolei zbadał każdy centymetr sterówki - podłogę, grodzie, sprzęt: jedyną aktywność zdradzały światełka wskaźników, żarzące się na tablicy rozdzielczej.

W kabinie nawigacyjnej były zasunięte zasłony i panował wręcz niewyobrażalny porządek. Mapy, pokreślone precyzyjnymi ołówkowymi liniami, leżały w geometrycznie schludnych stosach. Pitt wsunął nóż do pochwy, oparł latarkę o "Żeglugowy Almanach Browna" i przyjrząwszy się uważnie liniom stwierdził, iż w najdrobniejszych szczegółach odpowiadają deklarowanej trasie Królowej Artemizji z Szanghaju. Zauważył również całkowity brak jakichkolwiek błędów, poprawek czy przekreśleń - to wszystko wydawało się niezwykle schludne. Aż za schludne.

Dziennik okrętowy był otwarty na stronie z ostatnim wpisem: "Godzina 03.52 - Stacja radiolokacyjna bazy Brady namiar 312°, w przybliżeniu osiem mil. Wiatr południowo-zachodni, 2 węzły. Bogowie mają Minerwę w swojej opiece". Wpisu dokonano niespełna godzinę przed wypłynięciem Pitta z plaży. Ale gdzie jest załoga statku? Ani śladu wachty pokładowej, szalupy zamocowane na żurawikach... pusta sterówka... Nic tu nie miało sensu.

Usta Pitta były wyschnięte z emocji, a łomot w skroniach utrudniał rozumowanie. Wyszedł ze sterówki, odnalazł korytarz, który prowadził do kapitańskiej kajuty, pchnął jej uchylone drzwi i bezszelestnie, bokiem, wsunął się do środka.

Plan filmowy. Kabina wyglądała jak plan filmowy i tylko w taki sposób Pitt potrafiłby ją opisać. Wszystko było schludne, czyste i dokładnie na swoim miejscu. Na grodzi w głębi kajuty Królowa Artemizja w całej swej dostojnej chwale żeglowała po amatorskim malowidle olejnym. Dobór kolorów przyprawił Pitta o dreszcz - dziób statku ciął purpurowe morze. Sygnatura w prawym dolnym rogu informowała, iż dzieło wyszło spod pędzla Sophii Remick. Z ustawionej na biurku taniej metalowej ramki spoglądało macierzyńskie okrągłe oblicze niewieście, a podpis pod zdjęciem głosił: "Kapitanowi mego serca od kochającej żony". Nie było żadnego imienia, Pitt jednak żywił zupełną pewność, iż inskrypcje na fotografii i płótnie wykonała ta sama ręka. Oprócz ramki na blacie biurka stał tylko jeden przedmiot: popielniczka ze starannie upozowaną fajką. Pitt podniósł fajkę i obwąchał poczerniały cybuch: tytoń nie żarzył się w nim od miesiący. Ani jedna rzecz nie sprawiała wrażenia będącej w użyciu, było to muzeum bez kurzu, dom bez zapachu domu. I, jak na całym statku, panowała tu cmentarna cisza.

Wrócił do korytarza, zamknął za sobą drzwi; miał niemal nadzieję, że usłyszy nieznajomy głos - jakikolwiek głos - który woła: "Kto idzie?" albo "Co tu robisz?" Cisza sprawiała, że ociekał lodowatym potem, zaczynał wyobrażać sobie przytajone w ciemnych kątach niewyraźne postaci, a jego serce łomotało w coraz większym tempie. Potrzebował dziesięciu sekund, żeby stojąc bez najmniejszego poruszenia podporządkować duszę dyktatowi rozsądku.

Niebawem nadejdzie świt, pomyślał. Trzeba się spieszyć, bardzo spieszyć. Poniechawszy jakichkolwiek środków ostrożności biegł korytarzem i otwierał kolejne drzwi - jeden ruch okapturzoną latarką i każda z kabin ciemnych jak studnia słowo w słowo powtarzała historię kapitańskiej kajuty.

Pitt przeszukał również kabinę radiową: nadajnik był ciepły, nastawiony na fale ultrakrótkie, ale

rzucał się w oczy fakt nieobecności radiooficera. Pitt delikatnie zamknął drzwi i skierował się w stronę rufy.

Schodnie, lewo- i prawoburtowe korytarze zlewały się w coś na kształt długiego, mrocznego tunelu - zachowanie orientacji w tym labiryncie wymagało wielkiego wysiłku. Pitt - gołus w kamizelce ratunkowej - błądził w ciemnym koszmarze, a kiedy potknął się o stopień grodzi, upadł, boleśnie stłukł sobie goleń, upuścił latarkę i syknął przez zęby: "Niech to cholera!"

W latarce roztrzaskało się szkiełko i zapanowała ciemność. Pitt opadł na czworaki i przy wtórze litanii przekleństw wszczął gorączkowe poszukiwania; po pełnych udręki sekundach jego dłonie zmacały aluminiową tubę, zakończoną złowieszczą grzechotką z materiału. Pitt podniósł latarkę i pchnął przełącznik - żarówka rozjarzyła się przyćmionym blaskiem. Pitt wydał głębokie westchnienie ulgi i skierował wątlą poświatę w głąb korytarza; z mroku wyłoniły się drzwi opatrzone napisem Droga Pożarowa - Ładownia numer trzy.

Wielkie groty Karlovych Varów wysiadały przy ładowni numer trzy: wątlą blask latarki Pitta zniknął w olbrzymiej stalowej jaskini, wypełnionej po brzegi ułożonymi na drewnianych regałach niezliczonymi workami. W powietrzu unosił się słodki kadzidlany zapach. Kakao z Cejlonu, uznał Pitt. Dobył noża nurkowego i w szorstkiej tkaninie jednego z worków zrobił centymetrowe nacięcie - na pokład, niczym grad na dach blaszanego baraku, posypały się strugą twarde jak kamień ziarenka o pomarszczonej skórce. Pitt zbadał je dokładnie i doszedł do wniosku, że są prawdziwe.

Nagle usłyszał jakiś hałas - wątlą, niewyraźny, ale na pewno rzeczywisty. Skamieniał, nastawiając ucha. Potem odgłos umilkł równie nagle jak się pojawił i cisza ponownie zawładnęła widmowym statkiem z jego mrocznymi i ukrytymi sekretami. Może, pomyślał Pitt, to jest naprawdę statek-widmo, kolejna Mary Celeste czy Latający Holender. Brakowało tylko wzburzonego morza, zacinającego deszczu i wichury świszczącej w olinowaniu.

W ładowni nie było już nic ciekawego, Pitt zatem skierował się do maszynowni; stracił kilka cennych minut, szukając właściwych schodków. Serce statku cuchnęło rozgrzanym smarem i tchnęło ciepłem silników. Stojąc na galeryjce ponad uśpioną maszynerią, Pitt szukał śladów prawdziwej ludzkiej działalności - latarka uловиła lśnienie wypolerowanych rur, które równoległymi szlakami wiły się po grodzi i kończyły baterią zaworów i zegarów. Potem światło padło na niechlujnie zgniecioną zatłuszczoną szmatę, ponad którą na półce stało kilka kubków z osadem kawy i taca, pełna rozrzuconych narzędzi popstrzonych odciskami tłustych palców. Pitt pomyślał z ulgą, że przynajmniej w tej części statku ktoś zajmował się prawdziwą robotą. Chociaż, jak wiedział, w maszynowniach nie panowała na ogół sterylność, tu było po prostu brudno. Gdzież jednak podział się pierwszy mechanik i jego ludzie? Nie mogli przecież po prostu rozplynać się jak dym.

Zmierział już ku wyjściu, gdy nagle zatrzymał się w pół kroku: znowu, ten sam tajemniczy dźwięk, niosący się po kadłubie statku. Pitt stał jak słup soli i wstrzymywał oddech przez czas, który wydawał mu się wiecznością. Odgłos był naprawdę niesamowity, przypominał szuranie kilu o podwodną skałę czy rafę... albo też zgrzyt kredy po tablicy. Pitt mimowolnie zadrżał. Dźwięk rozbrzmiewał może przez dziesięć sekund, a potem skończył się w głuchym uderzeniu metalu o metal.

Pitt oblany zimnym potem nigdy nie siedział w celi śmierci więzienia San Quentin, czekając aż oddziałowi strażnicy zaprowadzą go do komory gazowej. Ale wiedział co się wówczas czuje. Samotność w przyprawiającej o klaustrofobię atmosferze wnętrza statku, oczekiwanie na odgłos kroków śmierci, która lada chwila może nadejść z anonimowego mroku - to wszystko mroziło krew w żyłach. Jeśli nie jesteś pewien, pomyślał Pitt, zwiewaj jak sto diabłów. Tak też uczynił: gnał korytarzami i zejściówkami tak długo, aż wreszcie odetchnął czystym powietrzem na pokładzie.

Wciąż panował przedranny mrok i żurawiki godziły w aksamitne niebo, ożywione przepychem

rozmigotanych gwiazd. Bryza wiała ledwie, ledwie, nad mostkiem antena radiowa wędrowała w tę i z powrotem po Mlecznej Drodze, pod stopami Pitta zaś poskrzypywał kołysany lekką falą kadłub statku. Pitt zawahał się przez chwilę, spoglądając na odległą zaledwie o milę brzegową linię Thasos, a potem przeniósł spojrzenie w dół, na gładką czarną powierzchnię morza. Było tak spokojne i kuszące...

Latarka wciąż się jarzyła i Pitt obrzucił się w duchu obelgami, że jej nie zgasił wychodząc na pokład. Pomyślał, że równie dobrze mógłby swą obecność rozgłaszać neonową reklamą. Wyłączył latarkę, a następnie bardzo ostrożnie, żeby się nie pokaleczyć, rozmotał kąpielówki, odłowił z nich miniaturowe odłamki szkła i cisnął za burtę. Kiedy do jego uszu dobiegły ciche pluśnięcia, przywodzące na myśl uderzenia kropel deszczu w powierzchnię stawu, doznał pokusy, by wyrzucić również latarkę; zapanował jednak nad tym impulsem, odzyskawszy jasność myślenia - gdyby nie odłożył latarki na półkę w sterówce, w sposób jednoznaczny dałby do zrozumienia kapitanowi Królowej Artemizji- jeśli w ogóle Królowa miała kapitana - że jakiś intruz myszkował po statku i przeszukał go od dziobu po rufę. Nie byłoby to z pewnością rozważne posunięcie, zwłaszcza w stosunku do ludzi, którzy zdołali przechytrzyć niemal wszystkie agencje śledcze na świecie. Na stłuczone szkiełko nic nie można było poradzić; należało podjąć ryzyko.

Spiesząc z powrotem do sterówki Pitt zerknął na zegarek. Fluoryzujące wskazówki pokazywały 4:13. Niebawem wszędzie słońce. Pitt wdrapał się na mostek i z gorączkowym pośpiechem odłożył latarkę na półkę. Zanim świt zdradzi jego obecność, musi - w swoim sprzęcie nurkowym - znaleźć się przynajmniej dwieście metrów od statku.

Pokład dziobowy wciąż był - czy może wydawało się, że jest - kompletnie opustoszały. Gdzieś zza pleców Pitta dobiegło coś na kształt trzepotu. Pitt, na nowo ogarnięty przestachem, błyskawicznie odwrócił się, jednym płynnym ruchem dobywając noża. Był bliski paniki, w skroniach waliły mu werble. Boże, pomyślał, przecież nie mogę wpaść teraz, kiedy już jestem prawie bezpieczny.

Była to tylko mewa; nadleciała z mroku, usiadła na wentylatorze i przechylając łebek pytająco spojrzała na Pitta. Zastanawiała się bez wątpienia, cóż to za idiota gania nago po pokładzie, trzymając w jednej ręce nóż, w drugiej zaś - kąpielówki. Uczucie ulgi sprawiło, że pod Pittem ugięły się kolana. Wchodząc na pokład, nie wiedział, czego się może spodziewać: znalazł złowrogą ciszę. Bezwładnie opadł na reling usiłując wziąć się w garść. Jeśli sprawy nadal potoczą się tym trybem, jeszcze przed świtem zaliczy zawał albo załamanie nerwowe. Głęboko oddychając czekał, aż pozbędzie się strachu.

Nawet nie obejrząwszy się za siebie przesadził reling i po łańcuchu spuścił w dół. Jakąż ulgę niosło dotknięcie wody! Morze rozwarło ramiona i dało Pittowi uczucie, że niebezpieczeństwo zostawił za sobą.

Nałożenie kąpielówek i odczepienie sprzętu zajęło Pittowi najwyżej minutę, umocowanie na plecach aparatu nurkowego - zabieg nader trudny, kiedy panują ciemności, a fale ustawicznie rzucają człowiekiem o stalowe poszycie kadłuba - też przebiegło dość gładko dzięki ćwiczeniu znanemu jako "upuść i odzyskaj", które Pitt wykonywał wielokrotnie na początku swej kariery płetwonurka. Rozejrzał się za drewnianą skrzynią, ta jednak zdryfowała gdzieś w czerń nocy i zniknęła; zapewne niesiona falą była teraz w pół drogi do brzegu.

Leżąc nieruchomo na powierzchni morza Pitt rozważał ewentualność zanurkowania i przyjrzenia się od spodu kadłubowi Królowej Artemizji, osobliwy bowiem zgrzyt, który usłyszał przebywając na pokładzie statku, dobiegał z dołu i to zza poszycia. Po chwili doszedł do wniosku, że plan jest bezsensowny, bo niczego nie zdoła zobaczyć, skoro nie ma wodoszczelnego reflektora. Nie miał zaś

najmniejszej ochoty obmacywać jak ślepiec stu dwudziestu metrów kadłuba, najeżonego ostrymi jak brzytwa skorupami małży. Znał stare opowieści relacjonujące w szczególach starą i brutalną praktykę przeciągania pod stępką niesubordynowanych brytyjskich marynarzy i doskonale pamiętał jedną, szczególnie mrozącą krew w żyłach historię pewnego artylerzysty z H.M.S. Confident, na którym taki wyrok wykonano opodal brzegów Timoru w 1786 roku. Skazany za kradzież kubka brandy z kapitańskiej szafki, był przeciągany pod stępką tak skutecznie, że jego ciało zwisło w strzępach, spod których wyzierała biel żeber i kręgosłupa. Nieszczęśnik byłby może wyżył, zanim jednak wyciągnięto go na pokład, został rozszarpany przez dwa zwabione zapachem krwi rekiny mąko. Pitt dobrze znał możliwości rekina: w Key West wyciągnął kiedyś z fal przyboju chłopaka napadniętego przez rekina. Chłopak ocalał, ale już do końca życia pozostanie mu w lewym udzie wielka dziura.

Pitt zaklął na głos. Musi przestać myśleć o takich historiach. Do jego uszu dobiegł pomruk, który uznał zrazu za wytwór wyobraźni, i gwałtownie potrząsnął głową. Dźwięk nie umilkł, ba, nabrał mocy, potężniał. Wtedy Pitt pojął, skąd dochodzi.

Ponownie ruszyły generatory statku: rozbłysły światła nawigacyjne, a fala dźwięków ożywiła nagle Królową Artemizję. Pitt uznał, że już najwyższy czas, aby wcielić w życie maksymę, iż rozsądek jest lepszą częstką odwagi: ślepy w czarnej wodzie, słysząc tylko bulgot bąbelków powietrza, wypływających z aparatu, zaczął ze wszystkich sił pracować płetwami. Była to jedna z tych chwil, kiedy żałował, że nie rzucił palenia. Pokonawszy niemal pięćdziesiąt metrów wypłynął na powierzchnię i obejrzał się za siebie.

Królowa Artemizja samotnie trwała na kotwicy; obrysowana szarzejącym niebem przedświtu, sprawiała wrażenie obrazka w staroświeckiej latarni magicznej. Tu i tam budziły się do życia snopy białego światła, których monotonię urozmaicała jedynie zieleń prawo burtowego oświetlenia nawigacyjnego. Przez kilka minut nic więcej się nie działo, a potem - bez jakiegokolwiek sygnału, krzykniętej donośnie komendy - kotwica oderwała się od dna i z grzechotem ruszyła w stronę kluzy. Pitt doskonale widział jasno oświetloną sterówkę: wciąż była pusta. To niemożliwe, powtarzał sobie raz za razem, to jest po prostu niemożliwe. Ale stary statek nie odegrał jeszcze do końca swego widmowego spektaklu, bo oto nagle, jakby na znak reżysera, cichutko poniósł się nad wodą brzęk telegrafu pokładowego, na który zduszonym pomrukiem odpowiedziały silniki. Statek, wioząc wciąż skryty gdzieś w głębinach kadłuba złowieszczy ładunek, podjął rejs.

Pitt wcale nie musiał widzieć, iż Królowa Artemizja ruszyła: czuł przez wodę obroty jej śrub. Pięćdziesiąt metrów stanowiło odpowiednią odległość - był niewidoczny dla ewentualnej wachty, a ponadto miał pewność, że wielkie śruby nie przerobią go na pokarm dla ryb.

Kiedy nawisła burta przesuwiała się obok jego podskakującej na falach głowy, Pittem zawładnęła gorycz. Czuł się jak człowiek obserwujący rakiety bali styczną, która startuje ze swego silosu i wchodzi na wstępnie zaprogramowany kurs niosąc śmierć i zniszczenie. Był bezradny, nic nie mógł zrobić. Królowa Artemizja wiozła na pokładzie dość heroiny, by wprowadzić w trans połowę ludności pomocnej półkuli. Jeden Bóg raczy wiedzieć, jaki chaos zapanuje wówczas, gdy trafi w ręce szumowin żerujących na fatalnym uzależnieniu innych, ile osób stoczy się do rynsztoka, by paść w końcu ofiarą śmiertelnego zatrucia. Sto ton towaru na pokładzie statku. Jak szła ta pioseneczka, którą dawno temu śpiewał jako ucniak? - "Sto flaszek piwa na barowej półce". Prawie ten sam rytm, ale zupełnie inne skojarzenia. Wtedy - beztroska zabawa, teraz - otępiełe umysły i utracone nadzieje.

Potem Pitt pomyślał o sobie. Nie czuł satysfakcji z powodu, iż zniszczył żółtego albatrosa i niepostrzeżenie przesukał Królową Artemizję. Myślał, że jest idiotą, odwalającym robotę, która nie powinna go obchodzić, robotę, za którą nikt mu nie zapłaci. Miał czuwać nad sprawnym przebiegiem

wypraw oceanograficznych; nikt mu nie kazał uganiać się za przemytnikami. Bo cóż mógłby zwojować? Nie był aniołem stróżem całej ludzkości. Niechaj z von Tillem bawi się w kotka i myszkę Zacynthus, Zeno, cały Interpol, wszyscy cholerni gliniarze świata. To ich działka, tego ich nauczono i za to im się płaci. Raz jeszcze zaklął donośnie. Zbyt wiele czasu stracił na te rozmyślenia, trzeba ruszać w stronę brzegu. Mechanicznie odprowadzał spojrzeniem ginące w szarówce przedświt światła statku. Wychodził właśnie na plażę, gdy słońce wydzwignęło się zza horyzontu i rzuciło pierwsze promienie na skaliste szczyty Thasos. Pitt ściągnął z siebie i rzucił na miękki piasek cały sprzęt nurkowy, a potem osunął się w ślad za nim. Był zmarnowany i obolały, ale umysł miał zajęty zupełnie czym innym i prawie na to nie zwracał uwagi.

Pitt nie znalazł na pokładzie statku ani śladu heroiny; nie znajdują jej również ani agenci Biura ds. Narkotyków, ani celnicy - to było pewne. A zatem ostatnia możliwość to dno Królowej Artemizji. Tyle że z pewnością nie raz i nie dwa nurkowie badali je starannie podczas postojów statku w porcie. A poza tym jedyny sposób przekazania tak wielkiego ładunku musiałby polegać na tym, że spuszczone na morskie dno, jest wyławiany znacznie później; to też nie wchodziło w grę, bo wyciągnięcie wodoszczelnego pojemnika, zdolnego pomieścić sto trzydzieści ton heroiny, wymagałoby operacji ratowniczej na pełną skalę. Nie, musi być jakaś inna metoda, metoda na tyle przemyślna, że nie połapano się w niej przez wiele długich lat. Pitt dobył noża i bezmyślnie zaczął szkicować na wilgotnym piasku kontury Królowej Artemizji. Potem, zaintrygowany niespodziewanym pomysłem, wstał i wykreślił mierzący dziesięć metrów długości szkic kadłuba. Później mostek, ładownie, maszynownie... nanosił na rysunek w podatnym białym piasku wszystko, co zdołał zapamiętać. W miarę upływu minut statek nabierał kształtu. Pitta tak pochłonęła robota, że nie zwrócił nawet uwagi, iż w jego kierunku ociężałe zmierza starzec prowadzący osła.

Sędziwy Grek stanął jak wryty i z pomarszczonej twarzy spojrzął na Pitta oczy, które widziały w życiu zbyt wiele, aby jeszcze się czemukolwiek dziwić. Po kilku chwilach wzruszył obojętnie ramionami i podążył w ślad za osłem, który, w przeciwieństwie do swojego pana, ani na chwilę nie przerwał dostojnego marszu.

Wreszcie schemat, uwzględniający każdą zapamiętaną zejściówkę, był niemal kompletny; młode promienie słońca zabłyśły na nożu, kiedy Pitt uzupełniał dzieło drobnym humorystycznym akcentem - rysunkiem mikroskopijnego ptaka, usadowionego na maleńkim wentylatorze. Pitt odstąpił o kilka kroków i obrzucił swoją robotę krytycznym spojrzeniem. Patrzył przez dłuższą chwilę, a potem parsknął głośnym śmiechem. - Jedno jest pewne, nigdy nie zgarnę malarskich laurów. To bardziej przypomina ciężarną wielorybicę niż jakikolwiek statek.

Nagle jego oczy zmętniały jak oczy człowieka w transie, a twarz o ostrych rysach straciła wszelki wyraz. Pitt wpadł na pomysł zupełnie nowy i pociągający. Zrazu uznał że jest zbyt dziwaczny, aby poświęcać mu uwagę, im dłużej go jednak rozważał, tym więcej dostrzegał w nim sensownych możliwości. Pospiesznie nakreślił na piasku dodatkowe linie i zapominając o bożym świecie porównywał je z tymi, które rysowały się w jego wyobraźni. Potem, dokonawszy ostatnich zmian, skrzywił usta w posępnym uśmiechu satysfakcji. Nieźle to sobie von Till wykombinował, naprawdę nieźle.

Przestał odczuwać znużenie, kiedy zrzucił z duszy ciężar nie rozwiązanych zagadek. Znalazł nowe podejście, całkiem nieoczekiwaną odpowiedź. Szybko pozbierał sprzęt i jał się wspinać na wzniesienie, którym biegła nabrzeżna szosa. Przestał myśleć o porzuceniu tej gry. Następne rozdanie okaże się zapewne najbardziej interesującym ze wszystkich. Kiedy stanął na górze, spojrzął na wyrysowany w piasku wizerunek Królowej Artemizji.

Przyплыw podchodził coraz wyżej i powoli zaczynał rozmywać komin, zdobny wielką literą M.

Rozdział 14

Giordino, wsparłszy głowę o futerał lornety, nogi zaś o spory gład, chrapał jak zabity obok granatowej furgonetki Air Force. Kolumna mrówek przełaziła przez jego odrzucone ramię, nie zamierzając nadkładać drogi w wędrówce do niewielkiego kopczyka sypkiej ziemi. Pitt uśmiechnął się i pomyślał, że zasypianie gdziekolwiek, kiedykolwiek i w jakichkolwiek warunkach jest czymś, co Giordino potrafi naprawdę doskonale.

Pitt otrząsnął pletwy, kierując słony prysznic wprost na skupioną twarz Giordino; w odpowiedzi na ten brutalny zabieg nie rozległ się półsenny bełkot, nie nastąpiło też gwałtowne wzdrygnięcie - po prostu rozwarło się jedno duże brązowe oko i Giordino, poirytowany, spojrział na Pitta.

- Aha! Patrzcie, patrzcie! Oto nasz nieustraszony, wiecznie czujny anioł stróż - powiedział Pitt z nie skrywanym sarkazmem. - Drzę na myśl o straszliwym żniwie, jakie zgarnęłaby śmierć, gdybyś postanowił zostać ratownikiem.

Druga powieka uniosła się powoli niczym roleta w oknie. - żeby uniknąć nieudomówień - stwierdził ze znużeniem Giordino - chcę tylko podkreślić, że te stare ślepia nie odrywały się od noktowizora od chwili, gdyś się władował do tej twojej skrzyni, do momentu, kiedy wylazłeś na brzeg i zacząłeś się bawić w piasku.

- Błagam o wybaczenie, stary druhu - roześmiał się Pitt. - Przypuszczam, że niewiara w twoją nieustającą czujność będzie mnie kosztować następnego drinka?

- Dwa drinki - mruknął chytrze Giordino.

- Masz je jak w banku.

Giordino usiadł, mrużąc oczy w słońcu. Zauważył mrówki i obojętnie zmiotł je z ramienia. - Jak ci poszła kapiółka?

- Robert Southey musiał mieć na myśli Królową Artemizję, kiedy pisał: "Morze zamarło, bryza skonała i zastygł statek, niemy jak skała". Można by powiedzieć, że znalazłem coś, nie znajdując niczego.

- Nie kapuję.

- Wyjaśnię ci później. - Pitt zgarnął sprzęt nurkowy i rzucił go na pakę furgonetki. - Są jakieś wiadomości od Zaca?

- Jeszcze nie. - Giordino skierował lornetę na posiadłość von Tilla. - Zac i Zeno wzięli pluton miejscowej żandarmerii i obstawili tę całą baronię. Darius został w magazynie przy radiostacji; ciągle wędruje po długościach, na wypadek gdyby była jakaś łączność pomiędzy statkiem a brzegiem.

- Z pozoru przemyślana akcja, ale niestety czysta strata czasu. - Pitt wytarł ręcznikiem włosy, a potem przeczesał je grzebieniem. - Gdzie by tu można znaleźć fajki i coś do picia?

Giordino skinieniem głowy pokazał szoferkę furgonetki. - Z pićem na mnie nie licz, ale papierosy leżą na siedzeniu.

Pitt wsunął tors do kabiny wozu i z czara o-złotego pudełka opatrzonego napisem "Hellas Specials" wyjął spłaszczonego papierosa o owalnym przekroju; nigdy dotąd nie próbował tego gatunku i był zaskoczony jego łagodnym smakiem. A zresztą po przejściach dwóch minionych godzin smakowałby mu nawet skręt z wodorostów.

- Ktoś ci dokopał w goleń? - zapytał rzeczowo Giordino.

Pitt wypuścił smugę dymu i spojrział na swoją nogę: z głębokiego czerwonego draśnięcia poniżej prawego kolana na całej długości powoli sączyła się krew. Na pięć centymetrów w każdą stronę od rany skóra miała malowniczą zielono-purpurowo-niebieską barwę.

- Ot, drobny niefort, zderzenie z drzwiami w grodzi.

- Lepiej to opatrzę. - Ze schowka w szoferce Giordino wyjął pakiet z zestawem pierwszej pomocy. - Dla doktora Giordino, neurochirurga światowej sławy, taka operacja to dziecinna zabawa. Nie chcę się chełpić, ale dobrze wychodzą mi też transplantacje.

Pitt nie potrafił pohamować śmiechu. - Tylko staraj się pamiętać, żeby najpierw dać gazę, a dopiero później plaster.

- Jakże pan może mówić takie rzeczy? - powiedział z urazą Giordino, a potem przebiegle dodał: - Zmieni pan śpiewkę, kiedy otrzyma ode mnie rachunek.

Pitt wzruszył ramionami i powierzył posiniaczoną nogę dłoniom Giordino; kilka następnych minut upłynęło w zupełnym milczeniu. Pitt siedział, wchłaniał w siebie ciszę i spoglądał tam, gdzie błękitne jak niebo morze spotykało się z białym piaskiem. Wąska plaża, biegnąca poniżej szosy, ciągnęła się sześć mil w kierunku południowym, przemieniała w ledwo widoczną kreskę, a wreszcie niknęła za zachodnim cyplem wyspy. Jak okiem sięgnąć, nie było na niej żywej duszy, w związku z czym widok był równie kuszący i romantyczny, jak obrazek z plakatu, reklamującego podróże po morzach południowych. Prawdziwy kawałek raj.

Pitt zauważył, że fale sześćdziesięciocentymetrowej wysokości nadchodzą w ośmiosekundowych odstępach, załamują się co najmniej sto metrów od brzegu, by wreszcie w ostatnim porywie gniewu spienioną falangą zaatakować piasek i zginąć w tysięcznych strumykach cofających się ku morzu. Dla pływaka warunki były wręcz doskonałe, do pływania na desce surfingowej - przyzwoite, nurek jednak nie miał na co liczyć w owych błękitnych wodach o płytkim, piaszczystym i jałowym dnie. Prawdziwa podmorska przygoda dzieje się tam, gdzie wody są zieleńsze, a pośród licznych raf kwitnie życie.

Pitt odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i popatrzył na północ: tu sytuacja prezentowała się zgoła odmiennie.

Z morza pięły się ku niebu wysokie urwiste skały; ich ściany, pokiereszowane w nieustającym starciu z przybojem i wiatrami, były całkowicie pozbawione roślinności, wielkie zaś złomy kamienne i głębokie rozpadliny dawały wymowne choć nieme świadectwo tego, co - puściwszy w ruch swe narzędzia - potrafi dokonać matka-natura. Pitta szczególnie zainteresował jeden fragment klifu.

Rzecz osobliwa, ale był tylko w niewielkim stopniu narażony na atak przyboju - wody u podstawy pionowego, nagiego masywu skalnego, obrzeżone z trzech stron pienistą frędzlą, ciemnozielone, gładkie i spokojne, sprawiały wrażenie ogrodowej sadzawki o powierzchni stu metrów kwadratowych. Wyglądały wręcz nierealnie.

Pitt zastanawiał się, jakie cuda mógłby odnaleźć w nich pletwonurek. Jeden Bóg obserwował, jak przez miliony lat powstawała i zmieniała się wyspa, jak nadchodziły i ustępowały zlodowacenia, jak podnosił się i opadał poziom mórz. Niewykluczone, że grzywacze w swej wściekłej aktywności wyłobiły w urwisku cały labirynt podwodnych jaskiń.

- No, zrobione - powiedział wesoło Giordino. - Kolejny triumf Wielkiego Ala i jego sztuki medycznej. - Pitt nie pozwolił się zwieść frywolnemu tonowi głosu przyjaciela: wiedział, że skrywa autentyczną troskę. Giordino wstał, przyjrzał się Pittowi i ze zdumieniem pokręcił głową. - Z tymi wszystkimi opatrunkami na nosie, piersi i nogach zaczynasz wyglądać jak zapasowe koło z lat trzydziestych. Prawdziwy symbol depresji.

- Masz rację - odparł Pitt, robiąc kilka kroków, aby rozćwiczyć sztywniejącą nogę - tyle że czuję się raczej jak odbojowa opona na holowniku.

- O, jest Zac - powiedział Giordino wyciągając ramię.

Pitt odwrócił się i popatrzył we wskazanym kierunku. Ciągnąc za sobą smugę brązowego pyłu

drogą ze wzgórz zjeżdżał czarny mercedes. Kiedy znalazł się na twardej nawierzchni przybrzeżnej szosy, zgubił swój welon i już niebawem poprzez szum przyboju Pitt usłyszał warkot dieslowskiego silnika. Wóz zaparkował równolegle do furgonetki i wypluł ze swoich trzewi Zacynthusa, Zeno, a wreszcie Dariusa, który silnie kuszykał, nie usiłując ukryć bolesniejszej miny. Zacynthus, ubrany w wyszarzały mundur polowy, miał przekrwione i znużone oczy. Sprawiał wrażenie człowieka, który spędził nieprzyjemną, bezsenną noc. Pitt posłał mu współczujący uśmiech. -No i co, Zac, jak poszło? Zobaczyłeś coś ciekawego?

Wydawało się, że Zacynthus nie usłyszał pytania. Ciężkim ruchem wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją i zapalił. Potem powoli opadł na ziemię i wsparty na łokciu wyciągnął się jak długi.

- Skurwysyny, parszywe cwane skurwysyny - zaklął z goryczą. - Całą noc wyęźzaliśmy wzrok, kryliśmy się w krzakach i za kamieniami, a komary cięły nas jak wściekłe. I cośmy znaleźli? - Zaczerpnął powietrza, aby udzielić odpowiedzi na własne pytanie, Pitt go jednak uprzedził.

- Nic żeście nie znaleźli, niczego żeście nie widzieli i nie słyszeli. Zacynthus zdobył się na anemiczny uśmiech, - To się rzuca w oczy, co?

- Rzuca - odparł lakonicznie Pitt.

- Ta cała afera jest niebywale irytująca - stwierdził Zacynthus, dla podkreślenia wagi swych słów uderzając kufakiem w ziemię.

- Niebywale irytująca? - powtórzył Pitt. - Tylko tyle potrafisz powiedzieć?

Zacynthus usiadł i bezradnie wzruszył ramionami. - Chyba wyczerpałem wszystkie możliwości. Czuję się jak facet, który po długiej wspinaczce osiągnął szczyt tylko po to, żeby stwierdzić, iż wszystko dokoła jest skąpane we mgle. Może to zrozumiesz, nie wiem, ale poświęciłem całe życie ściganiu takich szumowin jak von Till. - Urwał na chwilę, a potem podjął bardzo cicho: - Nigdy dotąd nie poniosłem klęski. Trudno mi się teraz poddać. Ten statek musi zostać zatrzymany, a jednak, dzięki naszym niezyciowym przepisom - nie może. Rany boskie, czy wyobrażasz sobie, co nastąpi, jeżeli ten ładunek heroiny dotrze do Stanów?

- Trochę się nad tym zastanawiałem.

— Pieprzyć te wasze przepisy - wtrącił ze złością Giordino. - Dajcie mi tylko przyczepić do kadłuba tej starej balii minę magnetyczną i... bang! - klasnął w dłonie - wszystkie narkotyki będą sobie ćpać ryby.

Zacynthus powoli pokiwał głową. - Charakteryzuje cię podejście bezpośrednie, ale trochę...

- ...prostackie - podpowiedział Pitt, kwitując uśmiechem pełen urazy wyraz twarzy Giordino.

- Uwierz, wolalbym widzieć sto ławic naćpanych ryb niż jednego nawalonego licealistę - stwierdził posępnie Zacynthus. - Zniszczenie statku, tak samo jak odcięcie macki ośmiornicy, rozwiązałoby problem tylko doraźnie. Wciąż mielibyśmy na karku von Tilla z jego bandą szczywanym morskich przemytników.

Pozostałaby też nie rozwiązana kwestia ogromnie - jestem zmuszony to przyznać - pomysłowych metod działania tylu ludzi. Nie, musimy okazać cierpliwość. Królowa Artemizja nie dotarła jeszcze do Chicago - może w Marsylii trafi się nam kolejna szansa.

- Mocno w to wątpię - oświadczył Pitt. Na czerpanym papierze daje ci stuprocentową gwarancję Pitta, że jeśli nawet któryś z twoich lewych dokerów wślizgnie się na pokład, nie odkryje niczego, o czym warto byłoby napisać do domciu.

- Skąd bierzesz taką pewność? - Zaskoczony agent podniósł gwałtownie głowę. - Chyba że... sam jakimś cudem przeszukałeś statek.

- Z tym facetem wszystko jest możliwe - zaszemrał Giordino. - Kiedy Królowa kotwiczyła, był na

morzu dalej niż ona. Potem zgubiłem go z noktowizora na pół godziny.

Teraz wszyscy czterej mężczyźni spoglądali na Pitta pytająco.

Pitt roześmiał się i strzelił niedopałkiem za skraj szosy. - I nadszedł czas, oświadczył mors, by rzec o tym i owym... Bliżej, moi panowie, posłuchajcie opowieści spod znaku sierpa, młota i szpadryny o dramatycznych przygodach człowieka-kota, nagiego włamywacza Dirka Pitta...

Kiedy skończył, oparł się o furgonetkę i przez długą chwilę wpatrywał się w zamyślane twarze słuchaczy. - Ot i wszystko, kombinacja czysta jak kryształ - podjął wreszcie z krzywym uśmiechem. - W rzeczywistości Królowa Artemizja jest tylko fasadą. Ach, jasne, żeglujecie po morzach i oceanach, przewożąc rozmaite ładunki. Ale na tym kończy się jej podobieństwo do każdego innego uczciwego frachtowca. Królowa jest starą łajbą, ale pod jej stalową skórą funkcjonuje supernowoczesny system kontrolny. W zeszłym roku, na Oceanie Spokojnym, widziałem podobnie wyposażony stary statek. Do jego obsługi wystarczy sześciu czy siedmiu ludzi.

- Małe dziecko, mały kłopot... - zauważył sentencjonalnie Giordino.

- Właśnie - skinął głową Pitt. - Każda kabina, każdy przedział to przygotowany do zdjęć plan filmowy. Kiedy statek zawija do portu, zza kulis wybiegają członkowie załogi i przemieniają się w zespół aktorski.

- Wybacz pan, majorze, wieśniacze ograniczenia mojego skromnego umysłu - powiedział z oksfordzkim akcentem Zeno - ale nie rozumiem, jakim cudem Królowa Artemizja może bez należytej obsługi odbywać długie rejsy komercyjne.

- Bo przypomina zabytek historyczny - odrzekł Pitt. - Na przykład jakiś słynny zamek, gdzie wciąż działa kanalizacja, w kominkach płonie ogień, a trawniki i ogrody są zawsze nienagannie utrzymane. Przez pięć dni w tygodniu obiekt jest zamknięty, podczas weekendów jednak otwiera się dla turystów - w tym przypadku: straży celnej.

- A kustosze? - unosząc brew zapytał Zeno.

- Kustosze mieszkają w piwnicach - odmruknął Pitt.

- W piwnicach to żyją szczury - kwaśno wtrącił swoje dwa grosze Darius.

- Uwaga jak najbardziej a propos - stwierdził z aprobatą Pitt. - W szczególności jeśli wziąć pod uwagę ich dwunogą odmianę, z którą mamy do czynienia.

- Piwnice, plany filmowe, zamki. Załoga skryta gdzieś w głębi kadłuba. Do czego zmierzasz? - zapytał ze zniecierpliwieniem Zacyntus. - Zechciej przejść do sedna.

- Nic innego nie robię. Po pierwsze załoga nie kryje się w kadłubie, lecz pod nim.

Zacyntus zmrużył oczy. - To nie jest możliwe.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził Pitt z uśmiechem. - Zupełnie możliwe, jeśli przyjmiemy, iż zacna Królowa Artemizja jest brzemienna.

Zapadła krótka chwila ciszy, podczas której wszyscy wpatrywali się w Pitta z niedowierzaniem. Pierwszy przerwał milczenie Giordino.

- Chyba chcesz nam coś powiedzieć, ale niech mnie diabli, jeśli ci się udaje.

- Zac przyznał, iż stosowana przez von Tilla metoda przemytu jest niezwykle pomysłowa - powiedział Pitt. - Racja. A genialność wyrasta z prostoty. Królowa Artemizja oraz inne statki Minerwy potrafią wprawdzie pływać samodzielnie, lecz zarazem mogą być sterowane przez podłączoną do stępki mniejszą jednostkę. Zastanówcie się nad tym przez moment, bo myśl wcale nie jest absurdalna. - Z głosu Pitta przebijała taka pewność, że sceptycyzm słuchaczy zaczynał powoli pękać. - Królowa nie po to nadkłada drogi o dwa dni, żeby posłać von Tillowi buziaka: musi w jakiś sposób nawiązywać z nim łączność. - Zwrócił się do Zacyntusa: - Zeno - Mieliście willę pod obserwacją i nie dostrzeżliście żadnych sygnałów.

- Ani też nikogo, kto by wchodził lub wychodził - dodał Zeno.

- Ze statkiem sytuacja była identyczna - oświadczył Giordino, z ciekawością spoglądając na Pitta.

- Oprócz ciebie nikt nie postawił nogi na plaży.

- Dołączmy do tego spostrzeżenia moje i Dariusa: on nie łapał żadnej transmisji, a ja widziałem pustą kabinę radiową.

- Zaczynam za tobą nadążać - stwierdził z zadumą Zac. - Wszelka łączność pomiędzy statkiem a von Tillem musi odbywać się pod wodą. Ale wciąż nie jestem pewien, że kupuję twoją wersję statku-satelity.

- Spróbujmy inaczej. - Pitt zrobił krótką pauzę. - Co może przebywać pod wodą wielkie odległości, przewozić załogę plus ewentualnie sto trzydzieści ton heroiny, a wreszcie czego nie mogą przeszukać celnicy? Jedyna logiczna odpowiedź brzmi: pełnowy-miarowy okręt podwodny.

- Zgrabna koncepcja, ale nie przejdzie. - Zac stanowczo pokręcił głową. - Nasi płetwonurkowie przynajmniej sto razy zaglądali pod dno statków Minerwy i jakoś dotąd nie natknęli się na okręt podwodny.

- W dodatku przypuszczalnie nigdy się nie natkną. - Pitt miał sucho w ustach, a papieros smakował mu jak spalona tektura. Cisnął go na środek szosy i obserwował, aż asfalt pod rozżarzoną koniuszką roztopił się w miniaturową smolistą kałużę. - Nie twierdzą, że błędna jest metoda poszukiwań. Twoi nurkowie, jeśli wybaczysz żartobliwe sformułowanie, po prostu spóźniają się na statek.

- Sugerujesz więc, że okręt podwodny odłącza się jeszcze przed wejściem statku do portu? - zapytał Zacynthus.

- Tak to z grubsza wygląda.

- I co potem? Dokąd płynie?

- Wróćmy najpierw do Królowej Artemizji w Szanghaju. - Pitt urwał na chwilę, żeby pozbierać myśli. - Gdybyś stojąc na nabrzeżu rzeki Whangpoo obserwował statek, dostrzegłbyś zwykłą operację załadunkową: dźwigi spuszczone do wnętrza Królowej worki z towarem. Najpierw, oczywiście, worki z heroiną, które jednak nie poleżałyby długo w ładowni statku - prawie na pewno przez tajemny właz, niemożliwy do wykrycia sprzętem jakiegokolwiek służby celnej, zostałyby przeflancowane na pokład łodzi podwodnej. Później dorzucono by legalny ładunek, l oto Królowa Artemizja wychodzi w morze, zmierza na Cejlon, gdzie herbatę i soję wymienia na grafit i kakao - kolejny uczciwy towar - potem zahacza o Thasos, zawija do Marsylii, żeby uzupełnić paliwo, i wreszcie sunie wprost do Chicago.

- Jedna rzecz mi tu nie gra - mruknął Giordino.

- Wal.

- Ponieważ nie jestem ekspertem od pływających trumien, nie mogę sobie wykombinować, jak jedna z nich może się bawić z frachtowcem w kangurzego dzidziusia albo skąd bierze miejsce na załadowanie stu trzydziestu ton hery.

- Niezbędne byłyby modyfikacje - przyznał Pitt. - Ale nie trzeba żadnych inżynierskich cudów, żeby usunąć kiosk oraz inne sterzące elementy konstrukcji; po takich przeróbkach okręt może się bez trudu przytulić do kilku statku-matki. Przeciętny okręt podwodny z czasów II wojny światowej to jakieś półtora tysiąca ton wyporności, sto metrów długości. Kadłub miał, powiedzmy z grubsza, kubaturę dwóch podmiejskich domków. Po opróżnieniu przedziałów torpedowych i pomieszczeń dla osiemdziesięciu członków załogi znajdzie się aż nadto miejsca na zmagazynowanie heroiny.

Pitt dostrzegł, że Zacynthus przygląda mu się w bardzo osobliwy sposób: najpierw z głębo-

zadumą, a potem z rosnącym zrozumieniem.

- Jaką, twoim zdaniem, szybkość mogłaby rozwinąć Królowa Artemizja płynąc z podczepioną do dna łodzią podwodną? - zapytał.

Pitt zastanawiał się przez chwilę. - Powiedziałbym, że około dwunastu węzłów, a bez takiego balastu - piętnaście czy nawet szesnaście.

Zacynthus zwrócił się do Zeno: - Jest zupełnie możliwe, iż major wpadł na właściwy trop.

- Wiem, o czym pan myśli, inspektorze - pod ogromnym wąsem błysnęły w uśmiechu zęby. - Wielokrotnie zastanawialiśmy się, dlaczego statki Minerwy odbywają rejsy z tak różnymi szybkościami.

Zacynthus ponownie skierował wzrok na Pitta. Rozładunek heroiny; gdzie się odbywa i w jaki sposób?

- Nocą, podczas przyływu. W dzień ryzyko jest zbyt duże okręt podwodny mógłby zostać dostrzeżony z powietrza...

- To się zgadza - wtrącił Zacynthus. - Frachtowce von Tilla zawsze według planu zawijają do portów po zmierzchu.

- A co do rozładunku? - ciągnął Pitt, nie zwracając uwagi na wtręt. - Okręt podwodny zostaje odczepiony natychmiast po wejściu do portu. Skoro nie ma kiosku ani peryskopu, musi go prowadzić jakaś mała jednostka. W tym momencie pojawia się jedyne prawdziwe ryzyko przedsięwzięcia - możliwość staranowania w ciemnościach przez inny, niczego nie podejrzewający statek.

- Bez wątpienia biorą na pokład pilota, znającego port jak własną kieszeń - powiedział zamyślony Zacynthus.

- Doskonały pilot jest w takiej operacji absolutnie niezbędny - zgodził się Pitt - bo unikanie w płytkim akwenu i to po ciemku podwodnych przeszkód jest czymś, czemu żadnym cudem nie podoła żeglarz-amator.

- Następny problem z listy - powiedział powoli Zacynthus - polega na tym, żeby ustalić, gdzie potajemnie mógłby się odbyć wyładunek towaru i jego dystrybucja.

- Co powiecie o jakimś pustym składzie portowym? - zasugerował Giordino. Miał zamknięte oczy i mogło się zdawać, że podrzemuje, ale Pitt wiedział z długoletniego doświadczenia, że nie uрониł ani słowa.

Pitt prychnął śmiechem. - Zbrodniczy obwieś przymykający po pustych składach wypadł z gry razem z Sherlockiem Holmesem. Teraz magazyny portowe to łakomy towar i pusty budynek wzbudziłby natychmiastowe podejrzenia. Poza tym, a obecny tu Zac zapewne potwierdzi moje słowa, taki skład jest zawsze pierwszym miejscem, do którego zagłąda detektyw.

Zacynthus uśmiechnął się blado. - Major Pitt ma stuprocentową rację. Wszystkie budynki portowe są uważnie obserwowane przez ludzi z naszego biura i celników, że nie wspomnę o Straży Portowej. Nie, metoda musi być znacznie bardziej wyrafinowana. Na tyle wyrafinowana, że pozwoliła gładko prowadzić interes przez wiele lat. - Uczynił długą pauzę i podjął cicho: - Mamy w końcu konkretny trop. To tylko nitka, ale jeśli nitka łączy się z liną, ta zaś - z łańcuchem, istnieje szansa, że przy odrobinie szczęścia na końcu znajdziemy von Tilla.

- Jeśli chce pan podążyć śladem zasugerowanym przez majora Pitta, jest rzeczą niezwykle ważną, aby Darius poinformował naszych agentów w Marsylii. - Zeno mówił tonem człowieka, który usiłuje przekonać się do czegoś, co nie jest stwierdzonym faktem.

- Nie, im mniej wiedzą, tym lepiej - odparł Zacynthus kręcąc głową. - Nie chcę żadnych działań, które dałyby von Tillowi do myślenia. Królowa Artemizja i heroína muszą dotrzeć do Chicago bez najmniejszych przeszkód.

- Bardzo sprytnie - uznał z uśmiechem Pitt. - Chcesz użyć towaru von Tilla, żeby zwabić rekiny.
- Łatwo było zgadnąć - przytaknął Zacyntus. - Na powitanie okrętu przybędą wszyscy wielcy gangsterzy i przedstawiciele wszystkich podziemnych organizacji wyspecjalizowanych w handlu narkotykami. - Urwał, żeby pociągnąć fajkę. - Moje biuro z największą satysfakcją ugościło szacowne grono.

- Zakładając, że ustalisz miejsce wyładunku - dorzucił Pitt.

- Ustalimy je - oświadczył Zacyntus z przekonaniem. - Królowa Artemizja wejdzie na Wielkie Jeziora dopiero za trzy tygodnie, a to daje nam czas, aby przeszukać każde molo, stocznię czy basen jachtowy wzdłuż wybrzeża. Dyskretnie, rzecz jasna, bo nie ma sensu wzniecać alarmu i płoszyć graczy.

- To nie będzie łatwe.

— Chyba nie doceniasz biura - powiedział Zacyntus z urazą. - Tak się składa, że jesteśmy specjalistami od takich historii. Ale żeby cię uspokoić, dodam, iż nie będziemy usiłovali precyzyjnie zlokalizować punktu, lecz tylko z grubsza określić termin rozładunku. Potem do akcji przystąpi sonar, a w odpowiednim momencie - my.

Pitt obdarzył Zacyntusa posępnym spojrzeniem. - Zbyt wiele niewiadomych uznajesz za pewniki.

- Zaskakujesz mnie, majorze. To ty wskazałeś nam kierunek. Pierwszy, spieszę dodać, obiecując kierunek, jaki od wielu lat zarysował się przed Biurem ds. Narkotyków i Interpolem Czyżbyś zaczynał powątpiewać we własne możliwości dedukcji?

Pitt pokręcił głową. - Nie, jestem pewien, że moje przypuszczenia odnośnie do okrętu podwodnego są słuszne.

- A zatem na czym polega problem?

- Sądzę, że stawiasz wszystko na jedną kartę, koncentrując cały wysiłek w Chicago.

Jakie masz lepsze miejsce na zastawienie pułapki?

Pitt odpowiedział powoli i wyraźnie: - Od dziś, do chwili gdy na pokład Królowej Artemizji wejdą celnicy, może się wydarzyć mnóstwo rozmaitych rzeczy. Sam powiedziałeś, że trzy tygodnie to aż nadto, żeby starannie przeszukać wybrzeże w okolicy miasta. Po co gnać na złamanie karku? Sugeruję z całym naciskiem, żebyś przed podjęciem zdecydowanych działań spróbował ustalić jeszcze kilka faktów.

Zacyntus popatrzył na Pitta z zaciekawieniem. - Co ci chodzi po głowie?

Pitt oparł się o rozpaloną karoserię furgonetki, zmarszczywszy w zadumie czoło spojrzął na morze, głęboko wciągnął w płuca przesycone solą powietrze i na długie sekundy pozwolił się unieść uczuciu narkotycznego niemal oszołomienia. Kiedy wreszcie z wysiłkiem wrócił myślami ku chłodnej rzeczywistości, wiedział już, co musi zrobić.

- Zac, potrzebuję dziesięciu dobrych ludzi i jakiegoś wilka morskiego, który zna wody wokół Thasos.

- Po co? - zapytał krótko Zacyntus.

- Jest do pomyślenia, że jeśli von Till kieruje z domu swoimi operacjami przemytniczymi, ze statkami zaś utrzymuje podwodną łączność, musi gdzieś u wybrzeży wyspy dysponować podmorską bazą.

- I ty ją zamierzasz odnaleźć.

- Na tym z grubsza polega pomysł - odparł beznamiętnie Pitt. Popatrzył Zacyntusowi prosto w oczy. - No i?

Zacyntus dłuższą chwilę bawił się fajką. - Niemożliwe - odrzekł wreszcie stanowczym głosem. - Nie mogę na to pozwolić. Jesteś zdolnym facetem i aż do tej chwili działałeś w zgodzie z

rozsądkiem. No i nikt w większym stopniu niż ja nie docenia ogromnej pomocy, jaką nam okazałeś. Nie mogę jednak ryzykować, że von Till zostanie zaalarmowany. Powtarzam: statek bez przeszkód musi dotrzeć do Chicago.

- Von Till już jest zaalarmowany - głosem człowieka pewnego swych racji oświadczył Pitt. - Byłby ślepy, gdyby nie zorientował się, że robicie mu koło pióra. Przecież ten angielski niszczyciel i turecki samolot, które z Cejlonu na Morze Egejskie tropiły Królową Artemizję, to jednoznaczny komunikat, że Interpol wpadł na ślad heroiny. Powiadam: powstrzymajmy go teraz, zanim którykolwiek z jego statków przyjmie na pokład albo dostarczy do celu jakikolwiek nielegalny ładunek.

- Dopóki Królowa Artemizja nie zboczy z zaplanowanego kursu, powtarzam: aż do tego momentu, wobec von Tilla obowiązuje kategorycznie zasada nieingerencji. - Zacyntus przerwał na kilka sekund, a potem podjął już ciszej: - Musisz zrozumieć: pułkownik Zeno, kapitan Darius i ja jesteśmy specjalistami od narkotyków. Jeżeli mamy swą pracę wykonywać kompetentnie, nie możemy zawracać sobie głowy handlem żywym towarem, skradzionym złotem czy nielegalnym przetrzaniem kryminalistów. To brzmi bezwzględnie i cynicznie, przyznaję, ale przecież istnieją agencje i detektywi zajmujący się takimi właśnie rodzajami przestępczości. Usłyszałyś z ich ust to samo, gdyby Królowa wiozła ładunek, którym oni byliby zainteresowani. Nie, wybaczone, może von Till nam się wymknie, ale przynajmniej zgarniemy największych hurtowników w Ameryce Północnej, a przy okazji drastycznie ukróćmy napływ heroiny z zewnątrz.

Zapadła chwila ciszy, a potem Pitt eksplodował jak granat. - Pieprzenie! Nawet jeśli zgarniesz heroinę, okręt podwodny i wszystkich handlarzy narkotyków w Stanach, nie powstrzymasz von Tilla od kontynuowania działalności. Łatwo znajdzie nowych odbiorców i natychmiast wróci z nowym transportem.

Pitt czekał na reakcję, a gdy nie nastąpiła, podjął: - Nie masz nade mną i Giordino żadnej władzy, cokolwiek więc teraz zrobimy - zrobimy bez twojej wiedzy i zgody.

Zacyntus mocno zacisnął wargi, spojrzał wściekle na Pitta. a potem na zegarek. - Tracimy czas. Mam tylko godzinę, żeby dotrzeć na Lotnisko Kavalla i złapać poranny samolot do Aten, Wymierzył w Pitta fajkę jak rewolwer. - Preferuję metody parlamentarne, ale nie pozostawiasz mi wyboru. Wyraży ubolewania, majorze. Chociaż pozostaję twoim dłużnikiem, raz jeszcze lestem zmuszony pozbawić was wolności.

- Takiego wała - odparł zimno Pitt. - Nie zamierzamy iść ci na rękę.

- W takim razie czeka cię niemiłe doświadczenie aresztowania przy użyciu środków przymusu. - Zacyntus poklepał kaburę, wiszącą na biodrze.

Giordino leniwie dźwignął się z ziemi i złapał Pitta za ramię. Uśmiechał się od ucha do ucha. - Nie sądzisz, że to najwyższy czas, aby Dzikie Giordino Hickok przeciwiczył szybkie dobywanie spluwy?

Ani na trykotowej koszulce Giordino, ani na spodniach koloru khaki nie odznaczało się wymowne wybrzuszenie, Pitt jednak, chociaż zbity z pantałyku, ufał staremu kumpłowi bez zastrzeżeń. Popatrzył na niego z mieszaniną nadziei i podejrzliwości w oczach.

- Wątpię, czy nadarzy się lepsza okazja - powiedział.

Zacyntus odpinał już kaburę z automatyczną czterdziestkąpiątką. - Jaki numer trzymacie tym razem w rękawie? Muszę was ostrzec...

- Chwileczkę - wtrącił chrapliwie Darius. - Jeśli pan pozwoli, inspektorze... - Ton jego głosu sugerował mordercze zamiary. - Mam z tymi dwoma rachunki do wyrównania.

Giordino nie dał się speszzyć; ignorując groźbę Dariusa oświadczył z takim spokojem, jakby

prosił Pitta o podanie wazy z zupą: - Spod pachy wyciągam broń wręcz artystycznie, ale z biodra jestem szybszy. Co wolisz na pierwszy ogień?

- W tej chwili - odparł Pitt, zaciekawiony raczej niż rozbawiony - sugeruję ten szybki numer z rozporzeczka.

- Przestańcie! Dość! - Zacyntus z irytacją zamachał fajką. - Bądźcie rozsądni i nie stawiajcie oporu.

- Gdzie zamierzasz nas zapudłować na trzy tygodnie? - zapytał Pitt.

Zacyntus wzruszył ramionami. - Więzienie na kontynencie szczyli się znakomitymi warunkami, chętnie tam przetrzymują więźniów politycznych. Być może pułkownik Zeno będzie musiał użyć swoich wpływów, aby załatwić wam celę z widokiem... - Szczeka Zacyntusa opadła w pół zdania, jego piwne oczy zwęziły się w bezsilnej wściekłości, a ciało zeszywniało tak, że mogłoby pójść w zawody z kamiennym posągiem.

W dłoni Giordino zmaterializował się nagle mały pistolecik, nie większy niż kapiszonowiec; jego lufa grubości ołówka mierzyła w punkt dokładnie pomiędzy brwiami inspektora. Nawet Pitt pozwolił się zaskoczyć. Logika podpowiadała mu, że Giordino blefuje, bo nikomu przez myśl nie przeszło, że przyjaciel naprawdę wyciągnie uczciwą spluwę.

Rozdział 15

Broń - obojętne: mała i niepokazna czy też wielka i groźna - ma tę cechę, że znakomicie przykuwa uwagę. Stwierdzić, iż Giordino stanowił centrum powszechnej uwagi, byłoby zaledwie półprawdą. Grał swą rolę z pasją - pistolecik w wyciągniętej na pełną długość ręce, posępny uśmiezek na twarzy. Gdyby przyznawano Oskary za kozacką zawadiackość, Giordino dostałby co najmniej trzy.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, na koniec jednak Zeno, który uśmiechnął się nieznacznie, łupnął pięścią w otwartą dłoń. - Sam mówiłem, że wy dwaj jesteście diabło niebezpiecznymi i szcwanymi facetami, a przecież wciąż okazujecie się na tyle głupi, by stwarzać wam okazje, które pozwalają tego dowieść.

- Równie jak pan nie lubimy tych żenujących scenek - powiedział pojednawczo Pitt. - A teraz, dżentelmeni, pozwólcie, że zamkniemy kramik i wrócimy do domu.

- Głupio by było zarobić kulę w plecy. - Giordino niedbale machnął pistolecikiem w stronę trzech agentów. - Lepiej pożyczmy ich spluwy zanim zejdziemy ze sceny.

- To nie będzie konieczne - stwierdził Pitt. - Nikt nie pociągnie za spust. - Spojrzał w oczy Zacyntusowi a potem Zeno: obaj wyraźnie wazyli szansę. - Sytuacja jest patowa, a pokusa wielka, ale jako ludzie honoru nie strzelicie nam w plecy. Poza tym nie byłoby to rozwiązanie praktyczne, śledztwo bowiem w sprawie naszej śmierci z pewnością narobiłoby niezłego smrodu. Wyobrażacie sobie, panowie, ten zachwyty von Tilla? Z drugiej strony wiecie cholernie dobrze, iż nie zaczniemy się ostrzeliwać, bo nie gramy o stawkę, która uzasadniałaby zabicie któregoś z was. Cierpliwość... proszę was tylko o cierpliwość przez dziesięć najbliższych godzin. Obiecuję ci, Zac, że spotkamy się jeszcze przed zachodem słońca i to w znacznie przyjemniejszych okolicznościach.

W głowie Pitta pobrzmiwała jakaś wieszczą nuta, a wyrachowanie w oczach Zacyntusa ustąpiło miejsca zaskoczeniu.

Pitt doznał przelotnej pokusy, żeby przeciągnąć nieco tę grę w kotka i myszkę, ale się rozmyślił. Zacyntus i Zeno sprawiali wprawdzie wrażenie zrezygnowanych, lecz z Dariusem sprawa przedstawiała się odmiennie. Z wściekłością na twarzy postąpił dwa kroki do przodu, a jego dłonie zaciskały się i otwierały jak dwie wielkie ostrzygi z południowego Pacyfiku. Zdecydowanie był najwyższy czas, żeby spieszenie wycofać się na z góry upatrzone pozycje.

Pitt obszedł furgonetkę z przodu, wykorzystując maskę w charakterze barykady oddzielającej go od Dariusa, zajął miejsce za kierownicą - przy czym skrzywił się, kiedy rozgrzany słońcem skaj przypalił jego nagie uda i plecy - a następnie włączył silnik. Giordino z pistoletem w garści, ani na chwilę nie spuszczać z oka trzech mężczyzn stojących przy mercedesie, poszedł w ślady Pitta, który spokojnie, bez nerwowego pośpiechu wrzucił bieg i ruszył w stronę Lotniska Brady. Kilkakrotnie zerkał to na szosę, to w lusterko wsteczne, aż wreszcie trzy męskie sylwetki ostatecznie zniknęły z pola widzenia, gdy furgonetka wzięła zakręt koło starego gaju oliwnego.

- Na wyrównanie szans nie ma jak spluwa westchnął Giordino, wygodnie rozpierając się na siedzeniu.

- Pokaż no tego korkowca.

Giordino, trzymając pistolet za lufę, podał go Pittowi.

Pitt jednym okiem przyjrzał się lilipuciemu pistolecikowi i rozpoznał w nim kieszonkowego mausera kaliber 6,35, broń, którą na wszelki wypadek lubią nosić Europejki; rozmiar pozwalał z łatwością ukryć ją w torebce lub za podwiązką. Był skuteczny tylko z najbliższej odległości, jeśli ta bowiem przekraczała trzy metry, nawet w rękach zawodowca nadawał się psu na buty.

- Możemy uznać, że dopisało nam cholerne szczęście.

- Diabła tam szczęście - mruknął bezbarwnie Giordino. - To ten dziudzius jako trzeci w naszej kompanii wyrównał szansę.

Nie bez kozery bandyci z dawnych czasów nazywali spluwę wyrównywaczem.

- Pociągnąłbyś za spust, gdyby Zac i jego chłopcy nie zdecydowali się na współpracę? - zapytał Pitt.

- Bez wahania - odparł stanowczym głosem Giordino. - Tyle że bym walił po nogach i rękach, bo jaki sens zabijać facetów, którzy zaopatrują człowieka w metaxę?

- Widzę, że niejednego musisz się jeszcze nauczyć o niemieckich pistoletach.

Giordino zmrużył oczy. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Pitt zwolnił, żeby ominąć małego chłopca, który prowadził potężnie obładowanego osła. - Dwie rzeczy. Po pierwsze, ten pistolecik trudno nazwać śmiertcionośną bronią. Mógłbyś wypróżnić w Dariusa cały magazynek, ale bez trafienia w głowę czy serce nawet byś nim nie wstrząsnął. A po wtóre, wyraz twojej twarzy w chwili, gdy nacisnąłbyś spust, byłby czymś, co warto by zobaczyć. - Pitt nonszalancko rzucił pistolet na kolana Giordino. - Jest ciągle zabezpieczony.

Giordino tępo zagapił się na mausera, nawet nie próbując go podnieść. Miał twarz pozbawioną wyrazu, ale Pitt znał go dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że jest kompletnie zbity z panatyku.

Giordino wzruszył ramionami i uśmiechnął się niepewnie do Pitta. - Ano wychodzi na to, że Dziki Giordino Hickok został właśnie kretynem roku. Zapomniałem w kamień o tym bezpieczniku.

- Nigdy dotąd nie miałeś w ręku mausera. Skąd go wzięłeś?

- Należał do tego twojego króliczka miesiąca. Znalazłem broń, kiedy niosłem dziewczynę przez tunel. Miała ją przyklejoną do nogi.

- Ty mały sukinsynu - rzekł bez emocji Pitt. - Chcesz powiedzieć, że miałeś ją przy sobie cały czas, kiedy Darius wytrząsał nam mózgi ze łbów?

- Jasne - skinął głową Giordino. - W skarpetce. Nawet nie miałem szansy jej użyć. Zaatakowałeś tego Frankensteina kiedy jeszcze nie byłem gotów, a potem wszystko potoczyło się za szybko, bo zanim się połapałem, leżałem jak neptek, a Darius rozgniatł mi głowę.

Pitt zamilkł, myśląc o zupełnie innych sprawach. Był wciąż wczesny ranek i rosnące wzdłuż drogi drzewa rzucały ku zachodowi długie, wąskie cienie. Pitt prowadził automatycznie, w jego mózgu zaś

krażyły setki pytań i wątpliwości. Nie wiedział, od którego końca się do nich zabrać, no i jeszcze ten plan, zrodzony w chwili, gdy spoglądał na tłuczone przybojem klify. Plan, w najlepszym wypadku, ryzykowny strzał w ciemno, opcja, za którą nie stało nic prócz przemożnej chęci, by ją zrealizować.

Pitt mechanicznie nacisnął pedał hamulca; furgonetka zwolniła i zatrzymała się przed bramą Lotniska Brady.

Czterdzieści minut później wspinali się po trapie na pokład Pierwszego Podejścia. Statek był opustoszały, ale z mesy dobiegał chóralny męski śmiech z solówkami niewieściego chichotu. Kiedy Pitt i Giordino weszli do środka, znaleźli Teri w otoczeniu wszystkich członków załogi i naukowej ekipy statku. Miała na sobie - czy też raczej na niewielkiej części ciała - prowizorycznie zaaranżowany kostiumik typu bikini z pozawiązywanych szmatek; wydawało się, że jest go w stanie kompletnie zniweczyć najśłabszy powiew bryzy. Usadowiona wdzięcznie na stole, stanowiła, jak królowa przyjmująca wasalne hołdy, centrum powszechnej uwagi i nie ulegało wątpliwości, że delektuje się każdym męskim spojrzeniem. Pitt z rozbawieniem przypatrywał się twarzom otaczających ją ludzi: nie trzeba było szczególnej przenikliwości, żeby odróżnić naukowców od zawodowych marynarzy, ci drudzy bowiem stali w milczeniu spoglądając lubieżnie na kobiece wdzięki, wyobraźnia zaś rzuciła na ich siatkówki pornograficzne obrazki. Hałasowali przeważnie naukowcy. Biolog, meteorolog, geolog... wszyscy z gorączkowym zapałem usiłowali zwrócić na siebie uwagę Teri, zachowując się jak podrostki, których w internecie odwiedziła panująca obecnie królowa piękności.

Do Pitta podszedł komandor Gunn. Cieszę się, że wróciłeś, bo nasz radzik powoli zaczyna świrować. Od świtu wiadomości przychodzą w takim tempie, że ledwo nadąża notować. Przeważnie dla ciebie.

Pitt skinął głową. - Dobra, chodźmy przejrzyć tę korespondencję od moich wielbicieli. - Zwrócił się do Giordino: - Zobacz, czy nie da się wyrwać naszej gwiazdy z rąk fanów i na parę minut ściągnąć do kajuty Gunna. Mam parę osobistych pytań.

Giordino szeroko się uśmiechnął. - Sądząc po minach tych facetów, mogę paść ofiarą linczu, jeśli spróbuję.

- Gdyby zrobiło się za gorąco, sięgnij po spluwę. Tylko nie zapomnij jej odbezpieczyć.

Giordino rozdziawił gębę niczym wyciągnięta z wody ryba, nim zaś zdołał odzyskać rezon - Pitt i Gunn zniknęli.

Radzik, młody, dwudziestokilkuletni Murzyn, podniósł głowę, gdy wkroczyli do kabiny radiowej. - Właśnie to odebrałem. Do pana, panie komandorze. - Podał Gunnowi depezę.

Gunn przebiegł ją wzrokiem, a potem powoli rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. - Tylko posłuchaj: "Do komandora Gunna, dowódcy statku badawczego NUMY Pierwsze Podejście. Do jasnej cholery, co to za gniazdo szerszeni poruszyliście, chłopcy, na Morzu Egejskim? Wysłałem was na poszukiwania naukowe, nie zaś zabawę w policjantów i złodziei. Niniejszym rozkazuję, byście udzielili wszelkiej, powtarzam: wszelkiej możliwej pomocy lokalnym przedstawicielom Interpolu. I nie wracajcie do kraju bez tego cholernego Filuta. Admirał James Sandecker, NUMA, Waszyngton".

- Powiedziałbym, że nasz admirał coś nie w formie - mruknął Pitt. - Rzucił cholerą tylko dwa razy.

- Oświeć mnie, z łaski swojej - poprosił łagodnie Gunn. - -Jakiej pomocy moglibyśmy udzielić Interpolowi?

Pitt zadumał się przez moment. Do decyzji Gunna trzeba będzie doprowadzić metodą małych kroków: było na razie za wcześnie na ujawnienie wszystkich faktów. Pitt zdecydował się na wymijającą odpowiedź. - Może się okazać, że nasze działania staną się jedyną nadzieją na

unicestwienie imperium von Tilla. Nie jest wykluczone, że trzeba będzie podjąć pewne ryzyko, ale gra toczy się o wysoką stawkę.

Gunn zdjął okulary i wbił w Pitta przenikliwe spojrzenie. - Jak wysoką?

- Ładunek heroiny dostatecznie wielki, by mogła się nim naćpać cała ludność Stanów Zjednoczonych i Kanady - odparł powoli Pitt. - Sto trzydzieści ton, ściśle rzecz biorąc.

Gunn nie okazał po sobie zaskoczenia. Niespiesznie uniósł okulary pod światło, kiedy zaś stwierdził, że na szklach nie ma żadnych smug - założył je na nos i nisko osadzone uszy. -

Zaryzykowałbym twierdzenie, że to spora ilość. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj wieczorem, kiedy przywiozłaś tę dziewczynę?

- Potrzebowałam czasu i kilku dodatkowych odpowiedzi; wciąż zresztą brakuje mi i jednego, i drugiego. Sądzę jednak, że wpadłem na coś, co pozwoli wreszcie ułożyć tę całą obłądną łamigłówkę w jakiś czytelny wzór.

- Nadal nie wiem, czego po mnie się spodziewasz.

- Musimy rąbnąć von Tilla poniżej pasa. Zabawa rozegra się pod wodą. Potrzebuję każdego zdrowego faceta, jakiego możesz mi dać, wyposażonego w sprzęt nurkowy i broń nadającą się do użycia pod wodą - nóż, kuszę, cokolwiek.

- Jaką mam gwarancję, że nikomu nic się nie stanie?

- Absolutnie żadnej - odparł ze spokojem Pitt.

Gunn wpatrywał się w Pitta przez dobrych dziesięć sekund. - Zdajesz sobie sprawę z powagi swojej prośby? Moi ludzie nie są komandosami, lecz naukowcami. To prawdziwe tygrysy jeśli chodzi o posługiwanie się salinometrem, menzurką czy mikroskopem, ale ich umiejętności jako nożowników czy strzelców pozostawiają wiele do życzenia.

- A członkowie załogi?

- Warto mieć ich u boku w karczemnej bijatyce, ale jak wszyscy marynarze, żywią patologiczną niechęć do jakiegokolwiek działalności poniżej powierzchni morza. Po prostu nie zdołasz ich zmusić do nurkowania. - Gunn pokręcił głową. - Wybacz, Dirk, prosisz o zbyt wiele.

- Przestań chrzanić - warknął ostro Pitt. - To nie jest Little Big Horn, a ja nie żądam, byś wysłał Siódmy Regiment Kawalerii przeciwko Siedzącemu Bykowi i połączonym siłom Siuksów. Posłuchaj, niespełna pięćdziesiąt mil stąd płynie statek Minierwy wioząc ładunek równie śmiertelny jak bomba atomowa. Jeśli taka ilość heroiny zostanie rzucona na amerykański rynek, jeszcze naszym wnukom będzie się to odbijać czkawką. Prawdziwy koszmar.

Pitt urwał, pozwalając, by jego słowa w pełni dotarły do Gunna. Zapalił papierosa i podjął: - Biuro ds. Narkotyków i służby celne zastawiły pułapkę. Jeśli - a jest to bardzo poważne "jeśli" - wszystko pójdzie dobrze, za jednym zamachem zgarną heroinę, przemytników i połowę handlarzy w Stanach.

- No więc na czym polega problem? - przyciskał Gunn. - Jak wpisują się w ten obraz płetwonurkowie?

- Powiedzmy tylko, że jakoś nie mogę pozbyć się wątpliwości. Von Till nie dał się przyłapać na gorącym uczynku przez ładnych kilka dziesiątków lat. Naszym agentom rządowym brak podstaw prawnych, aby mogli wejść na pokład frachtowca, dopóki ten nie otrze się o amerykański szelf kontynentalny, co nastąpi dopiero za trzy tygodnie. W tym czasie von Till może coś przewąchać i zamiast pójść na współpracę z naszymi chłopakami - w ostatniej chwili zmieni trasę statku albo zatopi towar w Atlantyku. Agenci i celnicy będą wtedy najwyżej mogli polecieć sobie w kapucyna.

Jedyny pewny sposób, bezpieczny sposób, polega na tym, żeby zatrzymać statek już teraz, zanim wypłynie z Morza Śródziemnego.

- Sam powiedziałaś, że brak do tego podstaw prawnych.

- Istnieje jedna możliwość. - Pitt zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym przez nos. -

Znaleźć jeszcze dziś dowody przeciwko von Tillowi i Linii Żeglugowej Minerva.

Gunn po raz wtóry pokręcił głową - Nawet w takim przypadku wtargnięcie na wodach międzynarodowych na pokład statku, w szczególności statku, który pływa pod banderą zaprzyjaźnionego państwa, mogłoby doprowadzić do reperkusji o charakterze politycznym. Wątpię, czy pójdzie na to jakikolwiek kraj.

- Będzie okazja. - odrzekł Pitt. - Statek wejdzie do Marsylii na tankowanie. Interpol musiałby działać szybko - jeśli otrzyma dowody i w trymiga upora się z papierkową robotą, będzie mógł zatrzymać statek podczas postoju.

Gunn wsparł się o drzwi i prześwidrował Pitta spojrzeniem

- Hak polega na tym, że chcesz ryzykować życiem ludzi pozostających pod moją komendą.

- Nie ma innego wyjścia - odparł cicho Pitt.

- Moim zdaniem kręcisz - wycodził Gunn. Siedzisz po uszy w mętnej wodzie. To wszystko wcale mi się nie podoba. Odpowiadam wobec NUMY za ten statek i cały jego personel. Interesuje mnie tylko jedno: bezpiecznie doprowadzić ekspedycję do końca. Dlaczego akurat my? Nie widzę powodów, dla których sprawy nie mógłby załatwić Interpol wspomagany przez tutejszą policję. Na kontynencie nietrudno będzie znaleźć nurków.

Pitt doszedł do wniosku, że sytuacja staje się diablo niezręczna. Na tym etapie rozgrywki nie mógł nawet bąknąć, że Zacynthus sprzeciwił się stanowczo, aby w jakikolwiek sposób niepokoić von Tilla. Pitt znał Gunna od przeszło roku i zdążył się z nim w tym czasie zaprzyjaźnić. Komandor był sprytnym facetem. Następną scenę trzeba więc rozegrać bezbłędnie, naprawdę bezbłędnie. Pitt przez moment spoglądał podejrzliwie na zapracowanego radiooperatora, a potem ponownie zwrócił się do Gunna. - Nazywaj fatum, zbiegiem okoliczności czy jak tam sobie chcesz to, co sprawiło, że Pierwsze Podejście znalazło się u brzegów Thasos w odpowiedniej chwili, aby pokrzyżować wspaniale pomyślane zbrodnicze przedsięwzięcie. W całej działalności przemytniczej von Till wykorzystuje okręt podwodny, może nawet kilka okrętów. Tego jeszcze nie wiemy. Heroina to największe z dotychczasowych przedsięwzięć starego szkopa: na tej jednej operacji może zgarnąć coś w okolicach dwustu milionów dolarów. Zaplanował wszystko precyzyjnie, zdawać by się mogło, że wszystko pójdzie jak po maśle. Potem, pewnego dnia - bach! Von Till wygląda z okna i widzi zakotwiczony w odległości zaledwie dwóch mil statek oceanograficzny; dowiaduje się, że szukacie legendarnej ryby i zaczyna mieć pietra, bo zupełnie poważnie rysuje się możliwość, iż jeden z twoich nurków natrafi na jego bazę bądź też, co ważniejsze, rozgryzie metodę przemytu. Von Till, przyparty do muru, nie mógł jednak po prostu wysadzić was w powietrze, bo to by się wiązało z kłopotliwym, rozbudowanym śledztwem. Nie mógł także liczyć na sprowokowanie antyamerykańskich zamieszek czy aktów przemocy, bo tutejsi obywatele to jowialni rybacy i rolnicy, którym wisi organizowanie protestów przeciwko ekspedycji naukowej. Wręcz przeciwnie, jesteście mile widzianymi gośćmi i miejscowi kupcy musieliby zgłupieć, żeby zrezygnować z tak dobrych klientów, jak twoi ludzie. Von Till postanowił zadziałać niekonwencjonalnie: urządził atak na Lotnisko Brady, mając nadzieję, że w ramach sytuacji alarmowej pułkownik Lewis nakaże, by Pierwsze Podejście opuściło zagrożony teren. Kiedy pomysł zawiódł, olał ostrożność i wziął się bezpośrednio do twojego statku.

- No, nie wiem - stwierdził z wahaniem Gunn. - To nawet brzmi logicznie. Z wyjątkiem tego

kawałka o okrętach podwodnych. Cywil nie może po prostu iść do firmy handlującej statkami i kupić sobie okręt podwodny.

- Istnieje tylko jeden sposób, w jaki von Till, nie zwracając na siebie uwagi, mógł dostać w łapy okręt podwodny: podnieść z dna jednostkę zatopioną na płytkich wodach podczas II wojny światowej.

- To już brzmi prawdopodobnie - mruknął Gunn. Odbierał wreszcie na tej samej długości, na jakiej nadawał Pitt. Miał przebiegłą minę starego poszukiwacza złota, który znalazł mapę z zaznaczoną drogą do ukrytej kopalni.

- To robota dla zawodowych pływonurków - podjął Pitt. - Zanim Interpol zdoła sklecić własną ekipę, będzie za późno. - To ostatnie stwierdzenie częściowo mijało się z prawdą, ale znakomicie posłużyło Pittowi do zaakcentowania następnej kwestii. - Działać trzeba natychmiast. Na całym Morzu Śródziemnym tylko Cousteau ma równie dobrych nurków i sprzęt jak ty. Nie będę wciskać ci ciemnot w rodzaju „jesteście ostatnią nadzieją ludzkości” albo „lepiej poświęcić kilku, aby ocalić miliony”. Proszę tylko o paru ochotników, którzy pomogą mi zbadać klif poniżej posiadłości von Tilla. Może nie znajdziemy nic, a może zgromadzimy dość dowodów, żeby skonfiskować statek, a von Tilla uziemić na dobre. Tak czy siak, trzeba spróbować.

Gunn, pogrążony w głębokim namyśle, nic nie odrzekł. Pitt postanowił zarzucić jeszcze jeden haczyk.

- Może zdołalibyśmy też ustalić, co się stało z żółtym albatrosem.

Gunn spojrzał na Pitta przez zagracone wnętrze kabiny radiowej i zaczął pobrzękiwać w kieszeni garstką drobniaków. W życiu nie widział takiego twardogłowego i upartego faceta. Przypomniał sobie, że rok temu zaufał rozsądkowi Pitta podczas owej hawajskiej afery z Delphi Ea i wcale nie wyszedł na tym źle. Jeśli Pitt twierdzi, że wykończy wszystkie rekiny w oceanie, dumął Gunn, wedle wszelkiego cholernego prawdopodobieństwa zdoła tego dokonać. Ogarnął szacującym spojrzeniem mokre bandaże na torsie Pitta, raz jeszcze brzęknął drobniakami i zadał sobie pytanie, o czym będzie rozmyślać nazajutrz o tej samej porze.

- Dobrze, wygrałeś - oświadczył, ze znużeniem. - Bez wątpienia pożałuję tej decyzji, kiedy stanę przed sądem wojskowym, a świadomość, że kresowi mojej kariery będą towarzyszyć krzyczące nagłówki, jakoś mnie specjalnie nie pociesza.

Pitt parsknął śmiechem. - Nawet na to nie licz, bracie. Cokolwiek nastąpi, będziesz kryty. Polecieś po prostu swoim ludziom zapolować u podnóża klifu na interesujące okazy fauny morskiej. Jeśli wpadną w tarapaty - cóż, nastąpiło to przez przypadek.

- Mam nadzieję, że Waszyngton kupi taką wersję.

- Nic się nie przejmuj. Chyba znamy obaj admirała Sandeckera dostatecznie dobrze, by wiedzieć, iż bez względu na konsekwencje stanie za nami jak mur.

Gunn wyjął z kieszeni spodni chusteczkę do nosa i obtarł pot z twarzy i karku. - A zatem, co teraz?

- Skrzyknij ochotników - odparł lapidarnie Pitt. - W południe każ im zebrać się z całym sprzętem na rufie. Wyjaśnię charakter misji w kilku starannie dobranych słowach, a potem weźmiemy się do dzieła.

Gunn zerknął na zegarek. - Jest dziewiąta. Mogą być gotowi do nurkowania w przeciągu kwadransa. Dlaczego mamy czekać trzy godziny?

- Muszę nadrobić zaległości w spaniu - odparł Pitt. - Nie mam ochoty przypadkiem uderzyć w kimono na głębokości sześćdziesięciu stóp.

- Myśl nie jest zła - stwierdził z powagą Gunn. - Wyglądasz jak noworoczny poranek. - Odwrócił się, ruszył ku drzwiom, ale nagle przystanął. - A tak nawiasem mówiąc, zrób mi przysługę i najszybciej, jak to będzie możliwe, odeślij tę dziewczynę na brzeg. Będę miał niebawem na głowie za dużo problemów, żeby jeszcze odpierać zarzuty, iż prowadzę pływający burdel.

- Dopiero jak wrócimy. Jest niezwykle ważne, żeby pod czyimś nadzorem pozostała chwilowo na pokładzie.

- Trudno - powiedział z rezygnacją Gunn. - Znów coś przede mną ukrywasz. Kim jest?

- Dałbyś wiarę, że siostrzenicą von Tilla?

- O rany - jęknął Gunn. - Jeszcze tego mi było potrzeba.

- Tylko nie dostań zawału - poradził Pitt. - Wszystko pójdzie jak po maśle. Masz na to moje słowo.

- Miejmy nadzieję - westchnął Gunn. Wzniósł oczy w niebo i bezradnie wzruszył ramionami. - Boże, dlaczego mnie tak srodze doświadczasz?

Przez otwarte drzwi Pitt długo wpatrywał się w rozfalowany błękit morza. Radzik, pochylony nad wielkim aparatem, akurat coś nadawał, ale Pitt go nie słyszał. Wpadł w odrętwienie, wywołane niedostatkiem snu i wyteżoną pracą umysłu, a jego nerwy były napięte jak liny podtrzymujące wiszący most; kiedy pękała jedna, pozostałe zaczynały się strzępić, aż wreszcie cała budowla leciała w otchłań. Niczym hazardzista, który za ostatnie pieniądze obstawia fuksa, czuł przyspieszone lękiem przed nieznanym łomotanie serca.

- Przepraszam, panie majorze. - Niski dźwięczny głos radiooperatora zdawał się dobiegać gdzieś z bardzo daleka. - To wszystko do pana.

Pitt bez słowa wyciągnął rękę i wziął depesze.

- Ta z, Monachium przyszła o szóstej, a dwie z Berlina o siódmej.

- Dziękuję - drewnianym głosem mruknął Pitt. - Coś jeszcze?

- Ta ostatnia, sir... ano... jest po prostu cholernie dziwna. Nie było żadnego wezwania, powtórzenia ani sygnału zakończenia transmisji... Sama wiadomość.

Pitt zerknął na górny arkusik w pliku i powoli skrzywił usta w niewesołym uśmiechu. "Major Dirk Pitt, statek NUMY Pierwsze Podejście. Minęła godzina, zostało dziewięć. H.Z."

- Będzie... będzie jakaś odpowiedź, panie majorze? - wyjąkał radiooperator, a Pitt uświadomił sobie nagle, że chłopak ma twarz człowieka chorego.

- Dobrze się czujesz?

- Prawdę mówiąc, panie majorze, nie. Od śniadania mam najgorsze zatrucie pokarmowe, jakie mi się przytrafiło w życiu, i haftowałem już dwa razy.

Pitt nie potrafił opanować uśmiechu. - Robota kucharza okrętowego, co?

Radzik pokręcił głową i jednym płynnym gestem przetarł oczy.

- Niemożliwe. Kuk jest bombowy... absolutna ekstraklasa. Nie, to pewnie jakaś tutejsza odmiana grypy. Albo nawet flaszka zatęchłego piwa czy coś w tym stylu.

- Spróbuj wytrzymać - powiedział Pitt. - Przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny potrzebujemy przy aparacie solidnego faceta.

Może pan na mnie liczyć, a poza tym ta cizia, którą pan przywiózł na statek, chodzi za mną jak kwoka. Ile się człowiek wycierpi przy takiej opiece?

Pitt uniósł brew. - O to bym jej nie podejrzewał.

- Niezła jest. Nie w moim stylu, ale niezła. Tak czy smak, od samego rana nosi mi herbatę... prawdziwa Florence Nightingale. - Urwał nagle, szeroko rozwarł oczy i przycisnął dłoń do ust. Potem przewracając krzesło zerwał się na nogi, wypadł z kabiny i bezwładnie przewiesił się przez

reling. Do kabiny doszedł odgłos zwierzęcych charkotów punktowanych cichym pojękiwaniem.

Pitt wyszedł na pokład i lekko poklepał po ramieniu schorowanego radzika. - Jesteś mi potrzebny na stanowisku, przyjacielu. Wytrzymaj jeszcze chwilę, a ja się rozejrzę za lekarzem.

Radiooperator bez słowa pokiwał głową, Pitt zaś odwrócił się i odszedł pod wiatr.

Straciwszy kilka minut na odszukanie lekarza pokładowego, Pitt wkroczył do kajuty Gunna: zaciemnionej i - w miłym kontraście wobec wczorajszego nieznośnego upału - schłodzonej mocną strugą powietrza z włączonego wentylatora. Dostrzegł w półmroku sylwetkę Teri, która wspierając podbródek na podciągniętym kolanie siedziała na blacie biurka. Kiedy wszedł Pitt, podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego,

- Co cię zatrzymało?

- Różne sprawy - odparł.

- Pójdę o zakład, że raczej sprawy stwierdziła, po kobiecemu wydymając usta. - Gdzie ta wielka przygoda, którą mi obiecałeś? Znikasz, ilekroć się odwrócę.

- Gdy wołają mnie obowiązki, muszę spieszyć na ich zew, kochanie. - Pitt siadł okrakiem na krześle i opadł piersią na oparcie. - Masz na sobie piekielnie intrygujący stroik. Skąd go wzięłaś?

- Ot, to takie nic...

- Właśnie widzę.

- Wycięłam z jakiejś starej poszewki. Stanik jest zawiązany z tyłu, a majteczki po bokach.

Popatrz! - Zeskoczyła z biurka i kusząco obnażając biodro rozwiązała kokardkę z lewej strony.

- Sprytne. A co proponujesz na bis?

- Zależy ile jest dla ciebie warte - odparła uwodzicielsko. - Mam tu gdzieś stary tramwajowy żeton...

- Nieznośny! - prychnęła. - Zaczynani podejrzewać, że masz nie po kolei w głowie.

Musiał użyć całej siły woli, aby nie ulec powabom Teri. - W tej chwili mam kilka spraw, które z tobą muszę wyjaśnić.

Stropiona wpatrywała się w Pitta przez kilka sekund, zaczęła coś mówić, ale na widok jego poważnej twarzy zmieniła zdanie, wzruszyła ramionami i zawiązawszy majteczki usiadła na krześle.

- Zachowujesz się okropnie tajemniczo.

- Wróć do swojej słodkiej, czarującej skóry, kiedy mi tylko odpowiesz na garść prostych pytań.

Reagując na urojone swędzenie podrapała się nad lewą piersią. Pytaj zatem.

- Pytanie numer jeden: co wiesz o przemytniczej działalności swojego wuja.

Szeroko rozwarła oczy. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Jestem przekonany, że jednak masz.

- Oszalałeś. - Posłała mu wściekłe spojrzenie. - Wujek Bruno jest właścicielem linii żeglugowej.

Dlaczego człowiek o jego pozycji i majątku miałby się zniżać do drobnego przemytu?

- Niczego, co się z nim wiąże, nie można uznać za drobne - odparł Pitt. Urwał na chwilę, badając reakcję Teri, a potem podjął: - Pytanie numer dwa: kiedy, wyłączając obecną wizytę widziałas go po raz ostatni?

- Byłam wówczas małą dziewczynką odparła ogólnikowo. - Mama i tata utonęli, kiedy podczas nagłego sztormu ich jacht wyrócił się do góry dnem opodal Wyspy Mań Na pokładzie byłam również ja i wujek. Uratował mi życie. Od tego okropnego wypadku był dla mnie bardzo dobry; najlepsze szkoły z internatami pieniądze, kiedy ich potrzebowałam... Zawsze pamiętał o moich urodzinach.

- Tak, serce na dłoni - stwierdził sarkastycznie Pitt. - Czy jak na twojego wuja nie jest odrobinę za stary?

- W rzeczywistości jest bratem mojej babki.

- Pytanie trzecie: jakim cudem złożyłaś mu wizytę dopiero teraz?

- W każdym liście błagałam go, żeby mi pozwolił przyjechać na Thasos, on jednak zawsze odpisywał, że jest zajęty, ma na głowie jakąś niezmiernie ważną transakcję czy coś w tym rodzaju. - Zachichotała cicho. - Tym razem go jednak nabrałam. Po prostu wpadłam z niezapowiedzianą wizytą.

- Co wiesz o jego przeszłości?

- W gruncie rzeczy nic. Jest bardzo powściągliwy, niewiele mówi na własny temat. Ale wiem, że nie ma z przemitem nic wspólnego.

- Twój ukochany wujaszek jest największą szumowiną, jaką kiedykolwiek wypłula matka-ziemia - oświadczył znużonym głosem Pitt. Nie chciał ranić Teri, był jednak pewien, że dziewczyna kłamie. - Bóg jeden raczy wiedzieć, ile gnijących trupów zawdzięcza mu swój obecny stan; setki albo wedle większego prawdopodobieństwa - tysiące. A ty siedzisz z nim w tym gnoju po swoje śliczne uszka. Każdy parszywy dolar, którego wydałaś w ciągu owych dwudziestu lat, był splamiony krwią. W niektórych przypadkach krwią... i tak, łzami, zwłaszcza łzami... niewinnych dzieci. Młodych dziewczyn, które wyrwane z ramion rodziców dojrzywały na zapchlonych materacach w jakimś północno-afrykańskim burdelu.

Skoczyła na nogi. - Takie rzeczy już się dziś nie zdarzają! Kłamiesz, kłamiesz, zmyślasz jak najęty! - Była, uznał Pitt, wystraszona, ale grała po mistrzowsku. - Powiedziałam ci prawdę. O niczym nie wiem. O niczym!

- O niczym? Wiedziałaś, że von Till zamierza mnie zamordować. Przyznaję, zwiodłaś mnie tą łzawą scenką na tarasie. Ale nie na długo. Minęłaś się z powołaniem - powinnaś zostać aktorką.

- Nie wiem... - z jej cichego głosu przebijała rozpacz. - Przysięgam, ja nie...

Pitt pokręcił głową. - Nie mogę tego kupić. Zdradziłaś się przy wejściu do labiryntu, kiedy aresztował nas ten przewodnik. Ty nie byłaś po prostu zaskoczona moim widokiem; byłaś zaszokowana, że wciąż jestem w jednym kawałku.

Podeszła do Pitta i uklękawszy na podłodze ujęła jego dłonie.

- Proszę, proszę... O, Boże! Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył?

- Mogłabyś zacząć od przedstawienia mi paru faktów. - Podniósł się z krzesła, zdarł z piersi

mokre bandaże i upuścił je Teri na kolana. - Popatrz na mnie. Oto co zyskałem przyjmując twoje zaproszenie na kolację. Zostałem wrobiony i w charakterze dania głównego podany ludożerczemu psu twojego wujaszka. No, popatrz na mnie!

Podniosła wzrok. - Chyba zwymiotuję.

Przez chwilę tępo wpatrywała się w umywalkę, nie mając pewności, czy w końcu zwymiotuje, czy nie, a potem ponownie spojrzała na Pitta zaczerwienionymi oczyma i powiedziała szeptem: - Jesteś szatanem. Opowiadasz różne rzeczy o wujku Brunonie, ale jesteś od niego gorszy, znacznie gorszy. Szkoda, że nie zginąłeś.

Pitt powinien był poczuć nienawiść, lecz ogarnął go jedynie smutek. - Dopóki nie zmienię decyzji, pozostaniesz na statku.

- Nie możesz mnie tu zatrzymać, nie masz takiego prawa.

- Nie mam prawa, zgoda, ale zrobię to. A skoro już o tym mówimy: przypadkiem nie wbij sobie do uroczej główki myśli o ucieczce. Wszyscy faceci na tym statku są doskonałymi pływakami, gdybyś zatem nawet wyszła ze skóry, dopadną cię, zanim zrobisz pięćdziesiąt metrów.

- Nie możesz więzić mnie w nieskończoność. - Na jej twarzy rysowała się odraza. Żadna kobieta nie patrzyła dotąd na Pitta w taki sposób. Czuł się z tą świadomością nieswojo.

- Jeśli dziś po południu powiedzie się pewna mała przewalanka, którą zaplanowałem, już wieczorem będę cię miał z głowy, a ty zjesz kolację w towarzystwie żandarmów.

Nagle popatrzyła na niego badawczo. Czy to dlatego zniknąłeś zeszłej nocy?

Pitt był zdumiony, że jej wielkie piwne oczy, jej oszałamiająco piękne oczy... mogą w ułamku sekundy wyrazić lak wiele rozmaitych emocji. - Tak, w rzeczy samej tuż przed świtem zakradłem się na pokład jednego ze statków twojego wuja. Była to niezmiernie pouczająca wycieczka. Nigdy się nie domyślisz, co znalazłem.

Obserwując ją, próbował przewidzieć, co w następnej kolejności wyczyta w jej oczach.

- Nie domyśle się - powtórzyła głucho. Jedyne statki, na których dotąd pływałam, to promy.

Pitt zrobił parę kroków i usiadł na koi. Dotyk miękkiego materaca był rozkoszny. Pitt legł z dłońmi założonymi na kark, a potem ziewnął głośno i przeciągle.

- Wybacz, zachowałem się niegrzecznie.

- A więc?

- A więc co?

- Miałeś mi powiedzieć, co znalazłeś na statku wujka Brunona.

Pitt uśmiechnął się i pokręcił głową. - Ach, ta niewieścia ciekawość. Jest nienasycona, kiedy ją człowiek rozbudzi. Ale jeśli nalegasz... Znalazłem mapę z zaznaczoną podmorską grota.

- Grota?

- Oczywiście. Bo niby skąd, twoim zdaniem, miałby zacny wujaszek prowadzić swoje śliskie interesy?

- Dlaczego opowiadasz mi te wszystkie historie? - zapytała z urazą. - Na pewno żadna nie prawdziwa.

- Och, dobry Boże, Teri, miej trochę oleju w tym głupim łebku. Przecież nie mówię ci niczego nowego. Von Till mógł sobie wpuścić w maliny Interpol, żandarmerię grecką i Biuro ds. Narkotyków, ale twój wierny sługa był dla niego za mądry.

- Opowiadasz bzdury - wycedziła.

- Czyżby? - zapytał z zaskoczeniem. - Dokładnie o 4:30 rano należący do twego wuja statek Królowa Artemizja zakotwiczył opodal willi. Statek od burty do burty pełen heroiny. Przecież musisz

wiedzieć o tej heroinie. Wszyscy wiedzą. Rzecz zasługuje na miano najgorzej strzeżonej tajemnicy roku. Muszę twojemu wujaszкови przyznać jedno: jest mistrzem w tej starej magicznej sztuczce, kiedy to hipnotyzuje się widownię jedną ręką, trick natomiast wykonuje drugą. Jego popis dobiega wszelako kresu. Mam w zanadrzu własny numer, po którym będzie mogła zapaść kurtyna.

Teri milczała przez chwilę. - Co zamierzasz zrobić? - zapytała wreszcie.

- To, co w podobnych okolicznościach zrobiłby każdy pełno-krwisty amerykański kowboj. Zamierzam wziąć Giordino plus jeszcze kilku facetów i myszkować u podnóża skał tak długo, aż znajdę wlot jaskini. Przypuszczalnie jest gdzieś dokładnie poniżej willi. Kiedy dopniemy celu, wpłyniemy do środka, skonfiskujemy wszelkie dowody i sprzęt, dokonamy obywatelskiego aresztowania twojego wujka, a wreszcie wezwiemy żandarmerię.

- Oszalałeś - powtórzyła, tym razem jednak ze znacznie większą ekspresją. - Ta cała przewalanka, czy jak ją nazywasz, jest kompletnym idiotyzmem. Nie może ci się udać. Proszę, błagam, uwierz mi... Na pewno się nie uda.

- Błagaj sobie na zdrowie. Możesz swojemu wujaszкови i jego śmierdzącej forsie dać buzi na pożegnanie. Ruszamy o pierwszej. - Pitt ziewnął po raz drugi. - A teraz, jeśli mi zechcesz wybaczyć, chciałbym się zdrzemnąć.

Teri znów miała w oczach łzy. Powoli pokręciła głową. - Idiotyzm, idiotyzm - zaczęła powtarzać raz za razem. Potem odwróciła się, weszła do toalety i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Pitt leżąc gapił się w sufit. Jasne, że miała rację. Ta cała przewalanka naprawdę sprawiała wrażenie idiotycznej. Ale, w końcu, jakież inny wniosek mogła wyciągnąć Teri znając tylko połowę prawdy?

Rozdział 16

Każda fala niespokojnego morza spiętrzała się w wysoki grzywacz, ugięty niczym złowróźbny palec przeznaczenia, a potem taranowała niepodatne na ciosy szare urwisko. Powietrze, ożywione słabym wietrzykiem z południowego zachodu, było gorące i czyste. Pierwsze Podejście na kształt białej stalowej zjawy powoli sunęło w stronę kipieli, kiedy jednak katastrofa wydawała się nieunikniona, Gunn przekręcił ster w prawo, wprowadzając statek na kurs równoległy do skalistego wybrzeża. Uważnie spoglądał to na taśmę, wysuwającą się spod igły głębokościomierza, to na odległą o ledwie pięćdziesiąt metrów linię przyboju.

- No i co powiesz o moim pierwszym podejściu - zapytał nie oglądając się za siebie. Mówił cicho, zachowując taki spokój i opanowanie, jak wędkarz ciągnący na wiosłach po gładzi jeziora w stanie Minnesota.

- Twój sędziwy wykładowca nawigacji w Annapolis byłby z ciebie cholernie dumny - odparł Pitt. W przeciwieństwie do Gunna wciąż patrzył przed siebie.

- To tylko z pozoru wygląda tak groźnie - stwierdził Gunn, pokazując głębokościomierz. - W istocie od kilu do dna jest dobrych dziesięć sążni!

- Na odcinku dziewięćdziesięciu metrów nieliczy spadek.

Gunn oderwał jedną rękę od koła sterowego, zdjął obszytą złotym galonem czapkę marynarki wojennej i strząsnął nią z czoła kilka kropelek potu.

- To dość pospolite zjawisko w miejscach, gdzie nie ma przybrzeżnych raf.

- Dobry znak - rzekł zamyślony Pitt.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Okręt podwodny może w takiej sytuacji spokojnie manewrować, nie obawiając się wykrycia z powierzchni.

- Nocą może tak - odparł Gunn. - Ale za dnia widoczność sięga trzydziestu metrów w głąb wody. Ktoś, kto w promieniu półtora kilometra będzie stać na grani urwiska, bez trudu wypatrzy sunący nad dnem kadłub o długości stu metrów.

- To samo dotyczy nurka. - Pitt podążył spojrzeniem ku willi, usadowionej niczym forteca na zębatym zboczu góry.

- Tego ryzyka nie da się uniknąć - powoli powiedział Gunn. - Von Till dostrzeże każdy twój ruch. Stawiam dolary przeciw orzechom, że jesteście lornetowani, odkąd podnieśliśmy kotwicę.

- Ja też poszedłbym na taki zakład - odmruknął Pitt, a potem przez chwilę podziwiał piękno pejzażu. Lazurowe ramiona Morza Egejskiego obejmowały wyspę świetlistym kręgiem rozmigotanej w słońcu wody, a pomrukowi silników statku wtórował tylko huk przyboju, z rzadka odzywała się pojedyncza mewa. Ponad klifem, na zielonym zboczu pasło się stado krów, niczym detal z obrazu flamandzkiego mistrza, w dole zaś, w miniaturowych zatoczkach pomiędzy rozrzuconymi skałkami, naniesione przyływem drewno tworzyło ze złotym piaskiem i punkcikami muszel najbardziej fantastyczne mozaiki.

Pitt, świadom, że się nadmiernie rozanielił, wrócił myślami do rzeczywistości. Zbliżali się coraz bardziej do tajemniczego stawu gładkiej wody, odległy był teraz o zaledwie trzy czwarte mili od lewej burty statku. Pitt wsparł dłoń na ramieniu Gunna i wyciągnął przed siebie rękę. - Tam - powiedział.

Gunn skinął głową. - Dobra, widzę. Utrzymując dotychczasową prędkość dotrzemy tam za dziesięć minut. Twoi ludzie gotowi?

- Wszystko dograne - odrzekł lakonicznie Pitt. - Wiedzą, czego się mogą spodziewać. Kazałem im stanąć na prawej burcie wzdłuż nadbudówki; w ten sposób nie widać ich z willi.

Gunn założył czapkę. - Przypomnij, żeby skakali jak najdalej. Facet wciągnięty przez śrubę to naprawdę parszywy widok.

- Nie sądzę, żeby trzeba im było o tym przypominać - odparł spokojnie Pitt. - Sam mówiłeś, że są dobrzy.

- Masz cholerną rację - parsknął Gunn. - Będę iść blisko brzegu jeszcze przez trzy mile. Może zdołamy skłonić w ten sposób von Tilla, żeby uwierzył, iż to jedynie rutynowy rejs służący sondowaniu płycizn. Albo zagra, albo nie. Dla waszego dobra mam nadzieję, że zagra.

- Niebawem się dowiemy. - Pitt porównał czas na swoim zegarku z chronometrem pokładowym. - Na którą uzgadniamy spotkanie?

- W drodze powrotnej pójde zygzakami i będę na miejscu o 14:10. Czyli masz dokładnie pięćdziesiąt minut, żeby odnaleźć okręt podwodny i zwinąć żagle. - Gunn odłowił z kieszonki na piersiach cygaro, zapalił je i dodał: - Macie tu czekać na statek, zrozumiałeś?

Pitt nie odpowiedział od razu. Na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech, który zagościł również w zielonych oczach.

- Powiedziałem może coś zabawnego? - zapytał stropiony Gunn.

- Przez chwilę przypominałeś mi matkę. Zawsze powtarzała, że na statek będę prawdopodobnie czekać na przystanku autobusowym.

Gunn smętnie potrząsnął głową. - Jeśli się nie zjawicie, będę przynajmniej wiedzieć, gdzie was szukać. Dobra, ruszajmy z tym cyrkiem. Wbijaj się w sprzęt.

Pitt machnął ręką, wyszedł z rozgrzanej celi sterówki i po trapie zjechał na pokład, gdzie czekało już na niego pięciu mocno opalonych, pełnych zapału mężczyzn. Pitt pomyślał, że chyba nigdy nie miał do dyspozycji ekipy o tak wysokim średnim współczynniku inteligencji. Ubrani - jak Pitt - w

czarne slipy, pracownicy sprawdzali wyposażenie i uważnie, pilnując, by każdy pas ułożył się właściwie, zakładali na plecy butle z tlenem.

Na widok Pitta najbliższy z płetwonurków, Ken Knight, podniósł głowę. - Przygotowałem dla pana sprzęt, majorze. Aparat z obiegiem otwartym... mam nadzieję, że me ma pan nic przeciwko temu.

- Będzie w porządku - odparł Pitt. Założył płetwy, przypiął nóż do prawej łydki, sprawdził przewód doprowadzający tlen i nasunął na czoło szeroką maskę, dającą nurkowi pole widzenia o rozpiętości stu osiemdziesięciu stopni. Miał właśnie przystąpić do boju z pasami butli z tlenem, gdy nagle sprzęt o wadze osiemnastu kilogramów jak piórko wzleciał z pokładu, uniesiony dwiema owłosionymi dłońmi.

- Jak ty w ogóle potrafisz przeżyć dzień bez moich usług - stwierdził z namaszczeniem Giordino - pozostaje dla mnie wieczną tajemnicą.

- Prawdziwa tajemnica polega na tym, jakim cudem potrafię znieść twoją niewyparzoną gębę i rozbuchane ego - odparł kwaśno Pitt.

- No i znowu te uszczypliwe odżywki pod moim adresem. - Giordino bez powodzenia usiłował sprawić wrażenie człowieka, którego dotknięto do żywego. Odwrócił głowę, spojrzał na uciekającą do tyłu wodę i po dłuższej chwili mruknął cicho: - Tylko popatrz, jaka przejrzysta! Nie znajdziesz równie czystej nawet w akwarium ze złotymi rybkami.

- Zauważyłem. - Pitt dobył dwumetrowego harpunu i sprawdził sprężystość gumowej procy, przymocowanej do jego tępego końca. - Odrobiłeś lekcje?

- Te zacne szare komórki - odparł Giordino postukując się w skroń - ułożyły wszystko w należyty porządku i opatrzyły numerami.

- Krzepi myśl, że jak zawsze jesteś pewny siebie.

- Sherlock Giordino wszystko wie i widzi. Żadna tajemnica nie umknie przed jego analitycznym umysłem.

- Lepiej żeby trybiki tego twojego analitycznego umysłu były dobrze nasmarowane - oświadczył z przekonaniem Pitt - bo jeśli chodzi o zgranie wszystkiego w czasie, jesteśmy na styk.

- Zdaj się na mnie - odparł Giordino z kamiennym wyrazem twarzy. - No, czas najwyższy. Szkoda, że z tobą nie płynę. Przyjemnej kąpielki.

- Liczę na nią - mruknął Pitt. - Naprawdę liczę.

Dwa uderzenia okrętowego dzwonu oznajmiły jednominutowy stan gotowości. Pitt, niezgrabny w płetwach, wszedł na niewielką platformę sterczącą poza burzę.

- Następny dzwon i skaczemy, szanowni panowie! - Nie powiedział nic więcej - po części dlatego, że i tak wszyscy wiedzieli, co mają robić, a poza tym nie miał do powiedzenia nic sensownego.

Płetwonurkowie mocniej ścisnęli w dłoniach kusze i popatrzyli po sobie, mając jedną myśl: jeśli skok nie będzie dostatecznie daleki, mogą stracić na rzecz wirującej śruby nogę albo nawet coś jeszcze ważniejszego. Na wyrażony gestem rozkaz Pitta ustawili się wzdłuż zewnętrznego skraju platformy.

Na moment przez zsunięciem maski na oczy Pitt jeszcze raz przyjrzał się swoim ludziom, po raz dziesiąty odnotowując cechy, które pozwolą mu rozpoznać ich pod wodą. Stojący najbliżej geofizyk Ken Knight był jedynym blondynem w grupie; Stan Thomas, kurdupłowaty pierwszy mechanik statku, miał niebieskie płetwy i jako członek ekipy, według Pitta potrafiłby dać sobie radę w ostrym mordobiciu. Dalej stał rudobrody biolog Lee Spencer i chudy dwumetrowy botanik Gustaw Hersong; obaj mężczyźni nieustannie spoglądali na siebie z szerokimi uśmiechami. Szyk zamykał Omar

Woodson, jeden z najbardziej nieprzeniknionych typków, jakich Pitt spotkał w życiu; był fotografem wyprawy, sprawiał wrażenie szczerze znudzonego całą imprezą i zamiast kuszy trzymał przystosowany do zdjęć podwodnych aparat Nikon z trzydziestopięciomilimetrowym obiektywem i fleszem, wymachując kosztownym sprzętem, jakby ten był smieną z drugiej ręki.

Nasuwając maskę na oczy Pitt gwizdnął przez zęby i spojrzał na wodę, przesuwaną się teraz pod platformą znacznie wolniej; Gunn zmniejszył prędkość Pierwszego Podejścia do leniwych trzech węzłów na godzinę, co, zdaniem Pitta, stwarzało odpowiednie warunki do skoku na bombę. Pitt, omijając dziób, z hipnotycznym skupieniem skoncentrował wzrok na miejscu, gdzie lada chwila pograży się w fale.

Niemal w tej samej chwili Gunn spojrzał na wskazania głębokościomierza i skalisty brzeg... potem powoli uniósł dłoń... zmacał linkę... zawahał się... i mocno pociągnął. Metaliczny brzęk rozdarł gorącą popołudniową ciszę, ponad falami przyboju poniósł się ku pionowej ścianie klifu, by przygłuszonym echem wrócić na statek.

Impet skoku sprawił, że rozmigotana słońcem powierzchnia morza strzeliła świetlistą fontanną. Pitt, ledwie woda zamknęła się nad jego głową, złożony w scyzoryk zaczął pracować płetwami niczym stary łopatkowy parowiec na Missisipi. Pięć sekund i pięćdziesiąt metrów później zerknął przez ramię i dostrzegł sunący powoli ciemny kadłub statku. Dwie wirujące śruby sprawiały przerażające wrażenie: dźwięk wędruje w wodzie cztery razy szybciej niż w powietrzu, załamanie światła sprawia zaś, że wszystko wydaje się tu o jedną czwartą większe niż w rzeczywistości.

Zaciskając zęby na ustniku Pitt odwrócił się i popatrzył w ślad za malejącym statkiem, żeby sprawdzić, jak dali sobie radę inni; westchnieniu ulgi odpowiedział syczący strumień bąbelków. Dzięki Bogu, byli wszyscy, każdy w jednym kawałku - Knight, Thomas, Spencer i Hersong, skupieni w grupkę niemal na odległość wyciągniętej ręki, a trochę dalej za nimi Woodson, który nieco się spóźnił.

Widoczność była wręcz oszałamiająca: z dystansu niemal osiemdziesięciu stóp rysowały się w szczegółach długie, jasnopurpurowe czułki przypominającego meduzę żagielnika, nad dnem sunęły leniwie dwa szpetne dziworyby o bezłuskich niebiesko-żółtych ciałach, zwieńczonych długimi kolcami skrzelowymi. Był to świat ukryty i niemy, królestwo dziwacznych stworzeń, przystrojone w taką mnogość fantastycznych kształtów i tęczyowych odcieni, że ludzki język okazywał się wobec niego bezradny. A zarazem był to świat niebezpieczeństw i tajemnic, strzeżony straszliwym arsenałem oręża tak diametralnie różnej natury, jak rzeźnicze zęby rekina i śmiertcionośny jad niewinnej z wyglądu ryby-zebry. W nierozłączną całość zlewało się tu nieśmiertelne piękno i ciągle zagrożenie.

Nie czekając na pierwsze objawy bólu, Pitt zaczął przedmuchiwać nos, aby zrównać ciśnienie w uszach z zewnętrznym, a kiedy rozległy się dwa pyknięcia, powoli ruszył w dół, by stopić się z majestatycznym krajobrazem dna.

Na głębokości trzydziestu stóp zniknęły wszelkie czerwoności, ustępując miejsca harmonijnej kompozycji zieleni i błękitów. Osiągnąwszy pięćdziesiąt stóp, Pitt przestał schodzić i uważnym spojrzeniem ogarnął dno morskie: nie dostrzegł żadnych skał i wodorostów, jedynie piaszczysty spłacheć, sfaldowany ciągnącymi się jak okiem sięgnąć krętymi rzędami miniaturowych wydm. Jedynymi oznakami życia były tu sterczące miejscami z piachu groteskowo frędzlaste pyski i patrzące w górę nieruchome oczy żyjących przy dnie gwiazdozorów.

Minęło dokładnie osiem minut, odkąd opuścili Pierwsze Podejście, gdy dno zaczęło się podnosić, a woda, za sprawą rozfalowanej powierzchni - mętnieć; potem w szaroniebieskiej mgłę zamajaczyła pokryta rozkołysanymi wodorostami formacja skalna i oto nagle znaleźli się u podnóża

kamiennego urwiska, które pięło się prostopadłe do góry i ginęło za zwierciadlaną kurtyną fal. Niczym kapitan Nemo w podwodnym ogrodzie, Pitt rozproszył swoich ludzi, nakazując im gestami rozpoczęcie poszukiwań. Nie zajęły więcej niż pięć minut. Wejście do podwodnej groty odnalazł Woodson, który - oddalony od Pitta o sto stóp - zamykał tyralierę z prawej strony. Przywołał towarzyszy postukując ręką noża w butlę z tlenem, potem podpłynął wzdłuż północnej ściany urwiska aż do miejsca poza rozpadliną zieloną od wodorostów, a wreszcie przystanął i wyciągnął przed siebie ramię, pokazując ziejący najwyżej dwanaście stóp pod powierzchnią czarny złowróbny otwór, dostatecznie wielki, by mogła się w nim zmieścić lokomotywa czy też łódź podwodna. Płetwonurkowie zawisli nieruchomo w krystalicznie czystej wodzie, to przerzucając się spojrzeniami, to usiłując nimi przeniknąć zgęstniały we wlocie mrok.

Pierwszy ruszył Pitt: przez chwilę w ciemnościach migotały jeszcze jego białe pięty, zaraz jednak tunel pochłonał go bez reszty.

Popychany przybojem sunął przed siebie, leniwie pracując płetwami. Świetlista akwamaryna przenikana słońcem morza ustąpiła miejsca ciemniejszemu granatowi, wnet jednak wzrok Pitta zaczął wylawiać w nim pojedyncze szczegóły.

Na ścianach tunelu powinno się roić od tysięcznych przejawów podmorskiego życia - przemykających krabów, zwierających się w obronnym odruchu polipów i ostryg, homarów wreszcie, które sunąc majestatycznie poszukują smakowitych skorupiaków. Nic z tych rzeczy - kamienne ściany były zupełnie nagie i pokrywała je tylko czerwona substancja, przy dotknięciu tworząca w wodzie atramentową chmurę. Pitt przekreślił się na wznak i zafascynowany spoglądał przez chwilę, jak bąbelki powietrza pną się ku łukowemu sklepieniu.

Nagle sklepienie umknęło w górę i głowa Pitta przebiła powierzchnię; Pitt rozejrzał się dokoła, ale we wszechobecnym tumanie mgły nie zdołał niczego dostrzec; stropiony zanurkował i zszedł na głębokość dziesięciu stóp - tu, w cylindrycznym snopie wciskającego się przez tunel kobaltowego światła widział każdy występ i zagłębienie podwodnej groty.

Akwarium; tylko tak Pitt potrafiłby to opisać... Gdyby ze ścian spozierały szklane oczy łuków, pieczarę można by wziąć bez trudu za główny zbiornik kalifornijskiego Marinelandu, w przeciwieństwie bowiem do tunelu życie tu po prostu kipiało: homary, kraby, polipy, ostrygi, nawet długie warkocze morszczyku, a pomiędzy tym wszystkim przemierzające się ławice bajecznie kolorowych ryb. Jedna z owych ryb szczególnie zainteresowała Pitta, zanim jednak zdołał się do niej zbliżyć, dała nura w rozpadlinę skalną.

Przez kilka chwil Pitt delektował się tym zapierającym dech w piersiach widowiskiem, a potem wzdrygnął się gwałtownie, czując na nodze uścisk czyjejś dłoni. Ken Knight; pokazywał w stronę powierzchni. Pitt skinął głową, ruszył w górę, a gdy powitany przez gęstą mgłę wychynał z wody, wypluł ustnik i zapytał: - No i co pan o tym sądzi? - Ściany groty odbiły jego głos echem.

- Nader pospolite zjawisko - rzeczowym rykiem odparł Knight. - Ilekroć w tunel wdziera się fala przyboju, niczym tłok spręża powietrze uwięzione w grocie. Kiedy ciśnienie ustępuje - powietrze rozpręża się, schładza i skrapla w gęsią mgłę. - Urwał żeby wysiąkać nos. - Fale idą w mniej więcej dwunastosekundowych odstępach, tak że lada chwila powinno się przejaśnić.

Nie zdążył jeszcze dopowiedzieć myśli do końca, gdy mgła nagle zniknęła, obnażając wypiętrzone na wysokość sześćdziesięciu stóp łukowe sklepienie. To była zwykła zatopiona jaskinia, nic więcej, bez jakiegokolwiek działania człowieka. Pitt miał wrażenie, jakby znalazł się w opustoszałej katedrze, której zrujnowane nawy trwają w niezminionej postaci od czasu mszczącego

ostrzału artyleryjskiego w pierwszej czy też bombardowania w drugiej wojnie światowej Ściany były zerodowane, tu i ówdzie nawisłe, niewielkie zaś gołoborza głazów u ich podstawy dowodziły, że w każdej chwili może nastąpić kolejny obwał. Po chwili, zacierając wszelką widoczność, wróciła mgła.

Pitt, gdy oglądał wnętrze groty, doświadczył najpierw uczucia dojmującego lęku i wątpliwości, potem zaś niedowierzania i rozpaczliwej świadomości, że spieprzył sprawę,

- To niemożliwe - wymamrotał - to po prostu niemożliwe. - Ogarnięty gniewem i frustracją zacisnął dłoń w kułak i kilkakrotnie rąbnął w wodę. - Ta grota musi być bazą operacyjną von Tilla. Dobry Boże, pomóż nam wykaraskać się z bigosu, w który nas władowałem.

- Ja tam wciąż pana obstawiam, majorze - Knight wyciągnął rękę i położył Pittowi dłoń na ramieniu. - Geologia potwierdza pańskie przeczucia. To jest naprawdę najbardziej prawdopodobne miejsce.

- To ślepy zaułek. Poza wylotem tunelu nie ma tu innych otworów.

- W przeciwległym końcu dostrzegłem półkę skalną. Może gdybym spróbował...

- Nie ma na to czasu - niecierpliwie przerwał mu Pitt. - Musimy jak najszybciej wracać na zewnątrz i na nowo zacząć poszukiwania.

- Przepraszam, majorze! - Pitta zaskoczyło nagłe pojawienie się Hersonga, który wyprysnął niczym diabeł z pudełka. - Znalazłem coś, co może okazać się interesujące.

Mgła, zgodnie ze swoim cyklem, rozproszyła się ponownie i Pitt dostrzegł na twarzy Hersonga wyraz, który go zaintrygował,

- W porządku, Hersong - powiedział Pitt do szudłowatego botanika - ale niech się pan streszcza. Nie mamy czasu na wykład o podmorskiej florze.

- Może pan wierzyć lub nie, ale taki właśnie miałem zamiar. - Hersong odpowiedział uśmiechem, a strumyki lśniącej wody spłynęły w dół koleinami w pozlepianej w kosmyki rudej brodzie. - Niech pan powie, majorze, czy na skale naprzeciwko wylotu tunelu dostrzegł pan skupiska *macrocystis pyrifera* l.

- Być może mógłbym udzielić panu odpowiedzi twierdzącej - odparł beznamiętnie Pitt - gdybym wiedział, o czym pan mówi.

- *Macrocystis pyrifera* to brązowe algi z rodziny Phaeophyta, lepiej, być może, znane jako morszczyń.

Pitt badawczo wpatrywał się w naukowca, pozwalając mu kontynuować wywód.

- Rzecz otóż sprowadza się do tego, majorze, iż ta konkretnie odmiana morszczyń jest endemiczna dla pacyficznego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Temperatura wód w tej części Morza Śródziemnego jest zbyt wysoka aby *macrocystis pyrifera* mogły przetrwać. Co więcej, morszczyń - tak jak jego lądowi kuzyni - potrzebuje do fotosyntezy promieni słonecznych. Nie wyobrażam sobie, by mógł się pnieć w podwodnej grocie. Nie, panie majorze, takie cuda, jeśli zechce pan wybaczyć kolokwializm, po prostu się nie zdarzają.

Pitt powoli wiosłował płetwami. - Czymże zatem jest, jeśli nie morszczyńem?

- Dziełem sztuki, majorze, prawdziwym dziełem sztuki. Bez wątpienia najlepszą plastikową repliką *macrocystis pyrifera*, jaką można sobie wyobrazić.

- Plastikową? - przetoczył się po jaskini huczący głos Knighta. - Czy jesteś pewien?

- Drogi chłopcze - odparł z wyższością Hersong. - A czy ja kwestionuję twoje analizy próbek gleby czy...

- A to czerwone świństwo na ścianach tunelu? - wtrącił Pitt. - Co to jest, pańskim zdaniem?

- Nie mogę mieć pewności - odrzekł Hersong. - Wyglądało jak farba albo lakier.

- Zgadzam się z nim. - W cofającej się mgłę zamajaczyły kontury głowy Staną Thomasa. - To czerwona minia do antykorozyjnego zabezpieczania kadłubów okrętowych. Zawiera arsen i dlatego w tunelu nic nie rośnie.

Pitt zerknął na zegarek. - Czasu robi się coraz mniej. To musi być właśnie tam.

- Drugi tunel za zasłoną wodorostów? - bez przekonania zapytał Knight. - Czy to pan ma na myśli?

- Rzecz zaczyna wyglądać zachęcająco - odparł cicho Pitt. - Ukryty tunel, który prowadzi do drugiej groty. Teraz rozumiem, dlaczego tubylcy nigdy nie wpadli na ślad poczynań von Tilla.

- Cóż - Hersong wydmuchnął wodę z ustnika. - No to chyba ruszamy.

- Nie mamy innego wyboru - stwierdził Pitt. - Wszyscy gotowi?

- Gotowi i obecni. Z wyjątkiem Woodsona - odrzekł Spencer. W tym samym momencie błyska flesza zalał groty jasnobłękitnym światłem.

- Nikt się nie uśmiechnął - zauważył kwaśno Woodson spod ściany pieczary, dokąd podpłynął, żeby ogarnąć obiektywem szersze pole.

- Następnym razem wrzeszcz, że się szykuje balecik - odpalił Spencer.

- A co by to zmieniło? - mruknął Woodson. - Żaden z was nigdy nie brał udziału w takiej imprezie.

Pitt uśmiechnął się i zgięty w scyzoryk zszedł do dna jak nurkujący bombowiec; pozostali, w odległości trzech metrów jeden od drugiego, poszli w jego ślady.

Las sztucznych wodorostów był gęsty i prawie nieprzenikniony: cienkie gałązki rozrastające się od dna niczym ogromny grzyb, tworzyły na powierzchni szeroki baldachim i nawet na dystans wyciągniętej ręki sprawiały wrażenie najzupełniej prawdziwych. Pitt dobył noża i zaczął ciąć rozkołysane łodygi, zatrzymując się tylko na krótkie chwile, żeby wyplątać z nich aparat tlenowy. Niebawem dotarł do drugiego tunelu, który miał większą średnicę niż pierwszy, ale był znacznie krótszy. Wystarczyły cztery silne ruchy płetw, by wypłynąć na powierzchnię w drugiej grocie, w której także wisiała gęsta biała mgła. Następujące w kilkusekundowych odstępach pluski dowodziły, że z wody wyłaniają się głowy kolejnych członków zespołu.

- Widzi pan coś? - Głos należał do Spencera.

- Na razie nic - odparł Pitt, wpatrując się bez zmrużenia powieki w wilgotny półmrok. Nagle odniósł wrażenie, że coś jednak dostrzega, dopisując wyobraźnią szczegóły do kształtu niezupełnie rzeczywistego... później ów kształt naprawdę zamajaczył we mgle... i oto nagle stał się konkretem - gładkim, metalowym i czarnym kadłubem okrętu podwodnego. Pitt wypluł ustnik, dopłynął do okrętu i wydzwignawszy się na rękach wlaź na pokład.

Był jak zahipnotyzowany, ileż to bowiem razy zastanawiał się, jak zareaguje i co poczuje, kiedy wreszcie dotknie tego podwodnego instrumentu przemytu heroiny. Uniesienie, wynikłe z faktu, że dowiódł swych racji - tak, ale również coś więcej: gniew i odraza... O iluż potwornych tragediach mogłyby opowiedzieć stalowe płyty poszycia.

- Proszę rzucić kuszę na pokład i zachowywać się bardzo, ale to bardzo spokojnie. - Głos, który dobiegł zza pleców Pitta, był twardy - równie twardy jak lufa broni, która go w te plecy dźgnęła. Pitt powoli odłożył kuszę na mokry pokład. - Doskonale. Teraz proszę rozkazać swoim ludziom, żeby upuścili broń na dno. Żadnych sztuczek. Ciśnięty do wody granat ogluszający może przemienić ciało pływaka w nader szpetną leguminę.

Pitt skinął w stronę pięciu sterczących nad powierzchnią głów. - Słyszeliście, co powiedział. Rzućcie kusze... i noże. Nie ma sensu denerwować naszych sympatycznych gospodarzy. Przepraszam,

panowie. Wygląda na to, że dałem dupy.

Bo cóż innego mógłby im powiedzieć? Zaprowadził ich w pułapkę, z której - być może - nie ujdą z życiem. Z Pitta wyciekły wszelkie emocje; był teraz jedynie świadom upływu czasu. Odruchowo podniósł ręce i powoli odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

- Majorze Pitt, jest pan niepospolicie upierdliwym młodym człowiekiem.

Z uśmiechem doktora Fu Manchu, który szykuje się, by rzucić krokodylom na pożarcie następną ofiarę, z oczami pod łysiną czerepu zamrużonymi jak szparki, na pokładzie okrętu stał von Till, sprawiając wrażenie tak, przynajmniej z punktu widzenia Pitta, odrażające, że zapewne musiał długo i z zaangażowaniem nad nim pracować. Coś tu się jednak nie zgadzało i to bardzo nie zgadzało. Obie dłonie starego Niemca tkwiły w kieszeniach, żadna zatem nie mogła trzymać broni, która dźgnęła Pitta w plecy. Ta broń ginęła w łapsku mężczyzny stojącego u boku von Tilla, człowieka-góry z torsesem jak pień dębu. Von Till uniósł powieki i oświadczył kpiąco: - Wybaczy pan, że zaniechałem prezentacji. - Wskazał gestem swojego towarzysza. - Jak wszakże rozumiem, majorze, miał już pan okazję poznać Dariusa.

Rozdział 17

- Wydaje się pan być zaskoczony moim widokiem, majorze - zaszemrał Darius diabolicznie. - Nawet nie potrafię wyrazić, jak miło mi spotkać pana ponownie w tych znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach. - Wbił w gardło Pitta lufę lugera o arcynieprzyjemnym wyglądzie. - Proszę stać spokojnie i nie zmuszać mnie, bym zabił pana przedwcześnie, pańska szybka i nagła śmierć odebrałaby mi bowiem mnóstwo satysfakcji osobistej i przyjemności. Powiedziałem wcześniej, że mam rachunek do wyrównania z panem i pańskim szpetnym małym kumplem; teraz przyszedł czas zapłaty za ból, jaki wycierpiałem z pańskich rąk, czy, mówiąc precyzyjniej, stóp.

Pitt wyłaził ze skóry, żeby sprawiać wrażenie nieporuszonego.

- Przykro mi pana rozczarować, ale Giordino został w domu.

- A zatem karę należną jemu dołączę do pańskiej.

Darius uśmiechnął się czarująco, opuścił broń i ze spokojem postrzelił Pitta w nogę. Ostre kasznięcie lugera odbiło się w kamiennych ścianach pieczary gromowym echem. Uderzenie - przypominające pchnięcie zadane rozżarzonym do białości pogrzebaczem - szarpnęło Pittem w bok i odrzuciło o dwa kroki do tyłu. Jakimś cudem, którego nigdy nie udało mu się zrozumieć, Pitt utrzymał się na nogach. Dziewięćmilimetrowy pocisk mijając kość o kilka milimetrów przeszedł przez miękką część uda i pozostawił schludną czerwonawą dziurkę w punkcie wlotu, nieco większą zaś - wylotu. Uczucie palenia szybko minęło, nadeszła drętwota szoku i Pitt pojął, że niebawem odczuje prawdziwy ból.

- Dajże spokój, Darius - powiedział z przyganą von Till. - Nie przesadzajmy z tymi okrucieństwami. Są ważniejsze kwestie do rozstrzygnięcia, zanim oddasz się tej swojej zabawie w "oko za oko". Wybaczy pan, majorze, ale pretensję może mieć pan tylko do siebie. Pański starannie w tak czułe miejsce wymierzony kopniak zmusi Dariusa do utykania jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie.

- Żałuję tylko, że nie dokopałem mu dwa razy mocniej - syknął Pitt przez zaciśnięte zęby.

Von Till go zignorował i rozkazał ludziom wciąż pozostającym w wodzie: - Upuśćcie swój sprzęt nurkowy na dno, panowie, a potem wejdźcie na pokład. Szybko, nie mamy czasu do stracenia.

Thomas zsunął na czoło maskę i posłał von Tillowi mordercze spojrzenie. - Tu, gdzie jesteśmy, czujemy się cholernie dobrze.

Von Till wzruszył ramionami. - Doskonale, widać potrzeba wam zachęty. - Odwrócił się i krzyknął w mrok jaskini: - Hans, światła!

Nagle pod sklepieniem rozbłysł sznur reflektorów, rozświetlając wnętrze groty. Pitt dostrzegł teraz, że okręt podwodny cumuje do pływającego pomostu, który zaczyna się u wlotu tunelu i jak gigantyczny drewniany jęzor sięga na dwieście stóp ku środkowi zbiornika. W porównaniu z grota zewnętrzną, kopulaste sklepienie wewnętrznej wisiało znacznie niżej, jej szerokość była jednak znacznie większa. Grota rozmiarami dorównywała powierzchni boiska do piłki nożnej. Na półce skalnej wzdłuż prawej ściany stało, trzymając w dłoniach wymierzone pistolety maszynowe, pięciu doskonale nieruchomych mężczyzn, ubranych w takie same mundury jak szofer von Tilla. Ze sposobu, w jaki celowali do ludzi w wodzie, jasno wynikało, że nie żartują.

- Zróbcie lepiej, co wam każe - poradził Pitt.

Wróciła mgła, ale światło redukowało ją do minimum, skazując na niepowodzenie ewentualną próbę ucieczki. Spencer i Hersong wspięli się na okręt pierwsi, po nich Knight i Thomas. Woodson, jak zwykle ostatni, wciąż, wbrew rozkazowi von Tilla, ścisnął w dłoni aparat.

Knight pomógł Pittowi pozbyć się butli. - Niech pan pozwoli, że zerknę na pańską nogę, sir. - Delikatnie usadził Pitta na pokładzie, zdjął pas z obciążeniem i odczepiwszy ołowiane bryłki zacisnął go na nodze Pitta, tamując krwawienie. Potem podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. - Wygląda na to, że ocieka pan krwią, ilekroć na pana spojrzę.

- Fatalny zwyczaj, którego ostatnimi czasy jakoś nie udaje mi się pozbyć i...

Pitt urwał w pół zdania. Mgła zrzędała na tyle, że reflektory wyłowiły z niebytu drugi okręt podwodny, przycumowany po przeciwległej stronie pomostu. Pitt porównał obie jednostki - ta, na której siedział, wyglądała jak cygaro bez jednego występu. Druga była zupełnie inna: wciąż miała kiosk, masywną nadbudówkę o kształcie przeciętego na pół, zdeformowanego bąbla... Trzech mężczyzn, niebacznych na rozgrywający się za ich plecami dramat, krzątając się na szerokim pokładzie wymontowywało karabiny maszynowe z roztrzaskanego samolotu.

- Teraz rozumiem, jak zdematerializował się żółty albatros - powiedział Pitt. - Stary japoński okręt podwodny klasy "I", zdolny przewozić mały samolot zwiadowczy. Te jednostki wyszły z użytku z końcem drugiej wojny.

- Tak, piękny egzemplarz - stwierdził jowialnie von Till. - To dla mnie zaszczyt, że zdołał go pan zidentyfikować. Zatopiony przez amerykański niszczyciel opodal Iwo Jimy, podniesiony przez statek Linii Żeglugowej Minerwa w 1951 roku. Uznałem kombinację okrętu podwodnego i samolotu za niezmiernie skuteczną metodę dostarczania niewielkich ładunków na obszary, gdzie najwyższa dyskrecja jest podstawowym wymaganiem.

- To również poręczny instrument ataków na amerykańskie bazy lotnicze i statki badawcze - dodał Pitt.

- Trafił pan w sedno, majorze - mruknął von Till. - Onegdaj, przy kolacji, wygłosił pan tezę, że samolot zjawił się z morza. Macając na oślep otarł się pan o prawdę bliżej, niż mu się zdawało.

- Teraz i ja to widzę. - Pitt rzucił szybkie spojrzenie w stronę paszczęki tunelu. Dwóch kolejnych wartowników z bronią maszynową na ramieniu, wspartych beztrząsco o skalną ścianę. - Zabytkowy albatros... - zaczął Pitt, ale von Till mu przerwał.

- Poprawka. Replika albatrosa. Dla moich celów powolny dwupłat, zdolny wykorzystywać jako pas startowy czy lądowisko krótkie pole albo skąpaną w ciemnościach plażę, stanowił idealne rozwiązanie; ponieważ zaś jego dolny płat może - a raczej mógł - funkcjonować jako pływak wodolotu, był również w stanie siadać na morzu obok statku. Wykorzystałem projekt albatrosa D-3 - z nowocześniejszym, rzecz jasna, silnikiem - ponieważ jego cechy aerodynamiczne idealnie

odpowiadały moim potrzebom. W dodatku stary i wąty z pozoru samolot nigdy nie był podejrzewany o działania... nazwijmy to tak, odrobinę niezgodne z prawem.

Von Till wyłowił papierosy z kieszeni na piersi, zapalił, a potem podjął: - Samolot ów nie był pomyślany jako jednostka bojowa i uzbrojona. Dopiero wówczas, kiedy nie miałem innego wyjścia, jak zaatakować bazę Brady i pański wspaniały statek badawczy, zainstalowano na nim karabiny. Drastyczne posunięcie, być może, aliści komandor Gunn nie pozwolił się zniechęcić drobnymi aktami sabotażu. Nie było powodu, by obawiać się, że jakiś niedzielny pływak bądź nurek-amator wpadnie na trop mojej małej operacji, wyszkolony jednak oceanograf to coś zupełnie innego. Nie mogłem podejmować ryzyka. Nalot był, wciąż jestem o tym przekonany, doskonałym pomysłem. Wedle wszelkich logicznych przesłanek pułkownik Lewis powinien był rozkazać... umyka mi nazwa, ach tak, Pierwszemu Podejściu opuszczenie wód w pobliżu Thasos, gdyby, rzecz jasna, atak bez przeszkód został doprowadzony do końca. Bo nie może pan, oczywiście, wiedzieć, iż po zneutralizowaniu lotniska albatros miał rozkaz postraszyć jeszcze statek. Niestety, majorze Pitt, przypałał się pan i pokrzyżował moje plany.

- Zmienne losy wojny - stwierdził ironicznie Pitt.

- Szkoda, że w tej chwili nie może pana słyszeć Willi.

- A właśnie, gdzie jest zacny stary podglądacz Willi?

- Willi był pilotem - odparł von Till. - Kiedy albatros runął do morza, biedny Willi został uwięziony we wraku maszyny. Utonął, nimeśmy do niego dotarli. - Twarz von Tilla stwardniała nagle i przybrała groźny wyraz. - Wygląda na to, że utraciłem przez pana szofera i pilota, a także psa.

- To wszystko przez łatwowierność Willego - odparł beznamiętnie Pitt. - Wziąłem go na ten sam numer z balonem, jaki wobec Kurta Heiberta zastosowali Anglicy. A co do psa? Radzę, aby policzył pan stołowe utensylia, von Till, zanim następne ze swych wściekłych bydłał poszczuje na kolejnego Bogu ducha winnego gościa.

Von Till przez chwilę ciekawie przyglądał się Pittowi, a potem ze zrozumieniem pokiwał głową. - Niezwykłe, doprawdy niezwykłe. Uśmiercił pan mego wspaniałego psa nożem z mojego własnego stołu. Wstyd, majorze, ujmując rzecz najogólniej. Czy mógłbym spytać, co uprzedziło pana o niebezpieczeństwie?

- Nos - odparł Pitt. - Ni mniej, ni więcej. Nie powinien pan był próbować mnie uśmiercić. Wtedy popełnił pan pierwszy błąd.

- Szkoda, że ucieczka z labiryntu zaledwie o kilka godzin przedłużyła pański żywot.

Pitt nonszalancko powędrował spojrzeniem poza von Tilla i Dariusza - złowróźbny czarny tunel opustoszał: wartownicy zniknęli. W przeciwieństwie zresztą do swych pięciu kolegów, którzy po staremu, niezmiennie groźni, stali z pistoletami maszynowymi pod ścianą grotu.

- Ten komitet powitalny każe mi sądzić - mruknął cicho Pitt - że się nas pan spodziewał.

- Oczywiście, że tak - odparł rzeczowo von Till. - Mój obecny tu dobry przyjaciel Dariusz poinformował mnie o panów rychłym przybyciu, dokładny zaś czas wizyty stał się oczywisty, kiedy Pierwsze Podejście rozpoczęło swe podejrzane manewry. Żaden kapitan przy zdrowych zmysłach nie poprowadziłby statku tak blisko klifów Thasos.

- Ilu trzeba było srebrników, aby z Dariusza uczynić zdrajcę?

- Dokładna suma nie powinna pana obchodzić - rzekł von Till. - W istocie Dariusz jest moim pracownikiem już od dziesięciu lat i można by rzec, iż alians nasz jest obopólnie owocny.

Pitt spojrział w czarne jak węgiel oczy Dariusza. - Jak go zwał, tak go zwał, zdrada zawsze pozostaje zdradą. To już drugi pański błąd, von Till. Wynajmowanie takiego plugawego karalucha jak Dariusz musi się zemścić.

Dariusz zadygotał z wściekłości, a luger, sprawiający wrażenie narośli na ogromnym łapsku, zatańczył na wysokości pępka Pitta.

Von Till ze znużeniem pokręcił głową. - Nastawianie do siebie Dariusza wrogo sprawi tylko, że będzie pan bardzo martwym trupem.

- Cóż za różnica? I tak wykończy pan nas wszystkich.

- Znowu nos, majorze? Nigdy pana nie zawodzi.

Von Till mówił wręcz radośnie. Zbyt radośnie, jak na gust Pitta.

- Nie znoszę niespodzianek - stwierdził sucho Pitt. - Jak i kiedy?

Z aktorskim rozmachem von Till podciągnął rękaw i z namysłem popatrzył na zegarek. - Za jedenaście minut, mówiąc ściśle. Mogę pozwolić sobie tylko na taką zwłokę.

- Dlaczego nie zaraz? - warknął Dariusz. - Po co czekać? Mamy na głowie inne sprawy.

- Cierpliwości, Dariusz - łagodnie poprosił von Till. - Nic nie myślisz. Przecież do załadunku okrętu przyda nam się pomoc. - Z uśmiechem spojrział na Pitta. - Pan, majorze, jako ranny jest z tego zwolniony, pańscy ludzie jednak natychmiast mają zacząć znosić ten sprzęt, który leży na pomoście, do włazu dziobowego.

- Nie pracujemy dla rzeźników - cicho i beznamiętnie odparł Pitt.

- Doskonale. Jeśli się pan upiera... - Posłał Dariuszowi promienny uśmiech. - Odstrzel mu lewe ucho. Potem nos, a potem...

- Odpuść sobie, ty sadystyczny stary faszysto - prychnął wzgardliwie Woodson. - Załadujemy tę twoją pływającą trumnę.

Nie mieli wyboru. Pitt też go nie miał. Mógł tylko bezradnie siedzieć i przyglądać się, jak Spencer i Hersong przystępują do ataku na górę drewnianych skrzyń, które jedna po drugiej podają ustawionym na pokładzie okrętu podwodnego Knightowi i Thoma-sowi; koniec łańcuszka stanowił skryty we włazie Woodson, którego pozycję zdradzały tylko ramiona wyrastające od czasu do czasu ponad pokład.

Uczucie palenia na dobre zagościło w nodze Pitta, który wiedział wprawdzie, jaki jest rzeczywisty powód takiego stanu rzeczy, ale mógłby przysiąc, iż przez jego ranę przebiega w tę i z powrotem jakiś mikroskopijny człowieczek z włączonym miotaczem płomieni. Raz czy dwa omal nie zemdlął i tylko rozpaczliwy opór stawiany napierającej ze wszech stron ciemności pozwolił mu przerwać osłabienie. I tylko dzięki sile woli potrafił zachować naturalny ton głosu. - Odpowiedział pan tylko na połowę mojego pytania, von Till.

- Czyżby sposób, w jaki zejdzie pan z tego świata, miał dla pana aż takie znaczenie?

- Jak powiedziałem, nienawidzę niespodzianek.

Von Till zimno studiował przez chwilę twarz Pitta, a potem wzruszył ramionami. - Chyba zatajanie tego, co nieuchronnie nastąpi, nie ma wielkiego sensu. - Urwał, aby ponownie zerknąć na zegarek. - Pan i pańscy ludzie zostaniecie zastrzeleni. Koniec być może barbarzyński, zgoda, aliści skłaniam się do poglądu, że nader humanitarny w porównaniu, na przykład, z pogrzebaniem żywcem.

Pitt zastanawiał się przez chwilę. - Załadunek zapasów i sprzętu na okręt podwodny, demontaż karabinów z albatrosa... to wszystko wskazuje mi na odwrót. Zwija pan kramik, von Till, i roztopia się w mroku. Po pańskiej ucieczce - minutę, pięć, może nawet pół godziny później - eksplodują ładunki wybuchowe, zagrzebując pod tysiącami ton skały nas sześcioro a także ślady pańskiej podmorskiej operacji przemytniczej.

Von Till spoglądał na Pitta z mieszaniną zaskoczenia i podejrzliwości. - Proszę kontynuować, majorze. Pańskie domniemania wydają mi się wręcz fascynujące.

- Goni pana czas i strach. Dokładnie pod naszymi stopami spoczywa sto trzydzieści ton heroiny -

przemycanej z Szanghaju na pokładzie okrętu podwodnego, a następnie dostarczonej tu przez Ocean Indyjski i Kanał Sueski w ładowniach jednego z frachtowców Linii Żeglugowej Minerwa. Ktoś inny na pańskim miejscu usiłowałby wcisnąć się ze swym towarem do Stanów po cichutku, kuchennymi drzwiami - wszyscy, ale nie Bruno von Till. Wszystkie do kupy wzięte agencje reklamowe z Madison Avenue nie odwalibyby bardziej profesjonalnej roboty z nagłośnieniem lewego ładunku Królowej Artemizji i jej portu przeznaczenia. Muszę to panu przyznać: błyskotliwa koncepcja. Cóż za problem, gdyby nawet agenci Interpolu rozgryźli pański system transportu podwodnego? Przecież gapią się wyłącznie na Królową Artemizję. Rozumie pan, co mam na myśli?

Von Till milczał jak zaklęty, ani przecząc, ani potwierdzając.

- Jak bez wątpienia poinformował pana Darius - ciągnął Pitt - inspektor Zacyntus oraz inni agenci z Biura ds. Narkotyków trwonią teraz czas i siły, przygotowując w Chicago pułapkę na Królową. Strach pomyśleć, ile mięsa polecą nad jeziorem Michigan, kiedy znajdą tylko załogę, stojącą w teatralne uśmiechy, w ładowni zaś jedynie kakao z Cejlonu.

Pitt uczynił pauzę i zmienił pozycję pulsującej bólem nogi. Zauważył, iż Knight i Thomas dołączyli we władze do Woodsona.

- Musi doznawać pan niebywałej satysfakcji - podjął - widząc, że ludzie z Interpolu połknęli nie tylko haczyk z przynętą, lecz również ciężarek i splotnik. Nie mają bladego pojęcia, że okręt z heroiną zeszedł nocy odłączył się od Królowej Artemizji i czeka tu na najbliższy przepływający w okolicy frachtowiec Minerwy. Którym, nawiasem mówiąc, jest Królowa Jokasta, zmierzająca do Nowego Orleanu z ładunkiem tureckiego tytoniu. Statek ten mniej więcej za dziesięć minut rzuci kotwice milę od brzegu. Goni pana czas i musi pan podjąć ryzyko spotkania w biały dzień.

- Ma pan żywą wyobraźnię - stwierdził pogardliwie von Till, ale Pitt dostrzegł w jego twarzy zmarszczki zakłopotania. - W żaden sposób nie potrafiłby pan udowodnić swoich szaleńczych teorii.

Pitt nie podjął wyzwania. - A po co miałbym sobie zawracać tym głowę? - odparł. - Przecież zginę za kilka minut.

- Trafił pan w sedno, majorze - wycedził von Till. - Gratuluję niezwykłej przenikliwości. Nie zaszkodzi, gdy przyznam, iż miał pan rację we wszystkich punktach z wyjątkiem jednego: Królowa Jokasta nie zawinie do Nowego Orleanu, lecz, zmieniawszy w ostatniej chwili kurs, do Galveston w Teksasie.

Trzej mężczyźni, którzy na pokładzie drugiego okrętu wymontowywali karabiny maszynowe z żółtego albatrosa, skończyli robotę i tajemniczo zniknęli. Hersong przeszedł z pomostu na pokład i podał skrzynię Spencerowi, ten zaś, w ślad za Thomasem, Knightem i Woodsonem, skrył się we władze. Pitt potrzebował teraz każdej sekundy, odezwał się więc pospiesznie: - Jeszcze jedno pytanie zanim Darius ulegnie swoim instynktom. Odwołuję się do pańskiej europejskiej uprzejmości.

Darius, z morderczym grymasem na złowieszczej twarzy, stał jak sadystyczny chłopaczek, który na lekcji biologii nie może się doczekać rozkrawania żaby.

- Zgoda, majorze - odparł lekko von Till. O co zatem chodzi?

- W jaki sposób po rozładunku w Galveston zostanie rozprowadzona heroina?

Von Till uśmiechnął się z wyższością - Otóż do moich mniej znanych działań gospodarczych należy prowadzenie niewielkiej floty rybackiej; przedsięwzięcie to - niezbyt, muszę dodać, zyskowne - bywa czasami nader użyteczne. W tej chwili kutry owej floty zarzucają sieci w wody Zatoki Meksykańskiej i oczekują na mój sygnał. Kiedy sygnał nadejdzie, wyciągną sieci i pospieszą do portu, by wejść do niego jednocześnie z Królową Jokastą. Reszta jest prosta: statek odzepia okręt podwodny, a ten, prowadzony przez kutry, płynie do wytwórni konserw. Rozładunek następuje pod budynkiem, heroina zaś trafia do puszek z - wedle etykiety - pokarmem dla kotów i w takiej oto

postaci wędruje do każdego z pięćdziesięciu jeden stanów pańskiego kraju. Czysta kpina z Biura ds. Narkotyków, kiedy bowiem jego agenci się połapią, będzie za późno - każda porcja towaru trafi do rąk odbiorcy i szukaj wiatru w polu. Niech pan przyzna, majorze, iż wizja owej masy heroiny wachanej, łykanej i wstrzykiwanej przez miliony pańskich rodaków brutalnie gwałci pańskie po jankesku świętoszkowate normy moralne.

Teraz uśmiechnął się Pitt. - Pewnie by gwałciła, gdyby miała szansę realizacji.

Von Till zmarszczył czoło. Pitt nie zachowywał się jak skazaniec. Coś tu nie grało. - Zostanie zrealizowana, ma pan na to moje słowo.

- Miliony ludzi... - powiedział ze zdumieniem Pitt. - Stoi pan tu z uśmiechem na swym obrzydliwym pysku i otwarcie chełpi się nieszczęściem, jakie za garść wszawych dolarów zamierza ściągnąć na miliony osób.

- Ależ nie garść, drogi majorze. Bylibyśmy znacznie bliżsi prawdy mówiąc o sumie w okolicach pół miliarda.

- Nie starczy panu życia, aby to policzyć. A co tu dopiero mówić o wydaniu!

- Któż mnie powstrzyma? Pan, majorze? Inspektor Zacynthus? A może grom z jasnego nieba.

- Wiara czyni cuda.

- Mam już dość jego głupiej gadaniny - wtrącił z rozdrażnieniem Darius. - Teraz... teraz powinien zapłacić za swoją arogancję.

Pittowi wcale, ale to wcale nie podobał się wyraz twarzy Dariusza przypominającej groteskową maskę. Niemal czuł, jak gruby paluch tężeje na języku spustowym lugera.

- Przestań - powiedział uspokajająco Pitt. - Zachowałbyś się niesportowo, gdybyś mnie teraz wykończył. Przecież nie wyczerpałem jeszcze swoich jedenastu minut. - W gruncie rzeczy miał wrażenie, iż peroruje od trzydziestu.

Von Till przez kilka sekund stał w milczeniu, obracając papierosa w palcach. - Jest jedna kwestia, która mnie intryguje, majorze - powiedział wreszcie. - Dlaczego uprowadził pan moją siostrzenicę?

Usta Pitta wyciągnęły się w chytrym uśmieszku. - Zaczniemy od tego, że nie jest pańską siostrzenicą.

Twarz Dariusza przybrała głupawy wyraz. - Ty... ty nie mogłeś o tym wiedzieć.

- Wiedziałem - odparł obojętnie Pitt. - W przeciwieństwie do pana, von Till, nie dysponowałem informatorem, a jednak wiedziałem. Najkrócej mówiąc: Zacynthus nieźle się przyłożył, ale jego plan od samego początku skazany był na niepowodzenie. Prawdziwą siostrzenicę ukrył gdzieś bezpiecznie w Anglii i znalazł inną dziewczynę, z grubsza do niej podobną. Sobowtór wcale nie był mu potrzebny, skoro prawdziwej Teri nie widział pan od dwudziestu lat. Potem zaplanował dla swojej Maty Hari coś, co miało sprawiać wrażenie niespodziewanej wizyty z dawną nie widzianą siostrzenicą. Ot, taka niewinna niespodzianka.

Darius spoglądał na von Tilla, a jego masywna szczęka pracowała z takim zaangażowaniem, jakby rewelacje Pitta rozgniatała na proszek. Von Till nie zmienił wyrazu twarzy i tylko ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Szkoda - podjął Pitt - że to wszystko poszło na marne. Darius dopilnował, aby nie spotkało pana żadne zaskoczenie. W tym momencie miał pan alternatywę: zarzucić dziewczynie uzurpację i przegonić z domu albo też wejść do gry i wykorzystywać fałszywą Teri do dezinformowania przeciwników. Naturalnie pańska pokrętna dusza wybrała tę drugą możliwość. Był pan w swoim żywiole, czuł się pan jak lalkarz, pociągający za sznurki. Mając dziewczynę z jednej, Dariusza natomiast z drugiej strony, całkowicie osaczył pan Zacynthusa i Zeno.

- Zgodzi się pan - powiedział von Till - że była to sytuacja nieodparcie pociągająca.

- Istotnie, grał pan na pewniaka - przyznał spokojnie Pitt. - Odkąd dziewczyna zjawiała się w willi aż do momentu, gdyśmy ją z Giordino porwali, była nieustannie śledzona przez pańskiego szofera. Udając kogoś na kształt ochroniarza, Willi przywarł do niej jak pijawka, a jego robota, szczególnie kiedy Teri się opalała, stwarzała mu możliwość łączenia obowiązku z przyjemnością. Namiętność dziewczyny do porannych kąpeli wynikała z ustalonego trybu bezpośrednich kontaktów z Zacynthusem; pozwalał pan, by przy takich okazjach przekazywała mu bezwartościowe od początku do końca informacje, które jej pan zawczasu podsuwał. Ileż musiał pan mieć uciechy, widząc jak łyka te wszystkie bzdury! Potem Zacynthus zaczął coś przewąchiwać. Przypuszczalnie któregoś razu spóźnił się na spotkanie, dostrzegł w krzakach przyczajonego Willego z lornetką u oczu i, rzecz oczywista, musiał wziąć pod rozwagę kwestię, czy jest to pierwszy, czy kolejny taki przypadek. Nagle zorientował się, iż starannie przemyślany plan nadaje się tylko na śmietnik. Wyglądało na to, że znowu go pan przechytrzył.

- Wszystko wróciłoby do normy - parsknął wściekle Darius - gdyby nie ty!

Pitt wzruszył ramionami. - Rzeczywiście, wkroczył wtedy do akcji wasz skromny bohater w mojej osobie, całkowicie nieświadom, że zanim opadnie kurtyna zostanie podrapany, pobity, a wreszcie zastrzelony. O ileż mniej skomplikowane byłoby moje życie, gdybym owego poranka zamiast iść popływać został sobie w łóżku. Teri natknęła się na mnie, kiedy drzemałem na granicy plaży i fal. Wciąż było ciemno, wzięła mnie więc za Zacynthusa, który - jak uznała - został zamordowany przez jednego z pańskich ludzi. Omal nie popadła w szok, kiedy nagle usiadłem i wszcząłem nieobowiązującą pogawędkę.

Ból znowu zaatakował i Pitt oburącz chwycił nogę, jak gdyby usiłował wycisnąć z niej cierpienie. Potem, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby, zmusił się, by podjąć: - Coś tu się mocno... mocno nie zgadzało. Zacynthus nie przyszedł... na plaży wylegiwał się nieznajomy facet, nie mający, na pierwszy rzut oka, pojęcia, co jest grane... dodajmy do tego bliskie zera prawdopodobieństwo, że o czwartej nad ranem akurat na ten kawałek plaży zabłąka się przypadkowy pływak... czy trzeba czegoś więcej, żeby zbić dziewczynę z pantałyku? Trzeba jej to przyznać, że potrafi szybko kombinować. Biorąc pod uwagę okoliczności, doszła do jedynej, ze swojej perspektywy, logicznego wniosku: muszę być pańskim człowiekiem, von Till. Wykonała zatem swą wykutą na blachę biograficzną śpiewkę i zaprosiła mnie do willi na kolację, sądząc, że wykręci panu niezły numer, gdy z miną niewiniątka przedstawi mu jego własną kreaturę.

Von Till skrzywił wargi w uśmiechu. - Obawiam się, drogi Pitt, iż narobił pan sobie w kieszeń tą idiotyczną historyjką o zbieraniu śmieci. Ona wcale panu nie uwierzyła, ja jednak, rzecz osobliwa - tak.

- Osobliwa tylko pozornie - odparł Pitt. - Żaden wyszkolony agent przy zdrowych zmysłach nie użyje tak kretyńskiej przykrywki. I pan o tym wiedział. A poza tym nie miał pan powodów do niepokoju, ponieważ Darius pana nie uprzedzał. Naprawdę był to z mojej strony tylko żart... żart jednak nader oplakany w skutkach - Pitt zawahał się, poprawiając pasek ściskający nogę. - Gdy pojawiłem się w pańskich drzwiach ubrany w mundur majora, natychmiast doszedł pan do wniosku, że jestem agentem Zacynthusa, wciągniętym do akcji bez wiedzy pańskiego informatora. Mimowolnie zaostrzyłem pańską podejrzliwość, gdy niemal w oczy oskarżyłem pana o atak na Lotnisko Brady. Stawałem się kłopotliwy, zbyt kłopotliwy jak na pański gust. Postanowił pan zatem zabawić się w Houdiniego i sprawić, bym zniknął. Mógł pan liczyć na bezkarność, bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa moich zwłok czy też tego, co by z nich w labiryncie zostało, nikt by nie odkrył. W tym momencie dziewczyna zdawała już sobie sprawę, że popełniła okropny błąd. Naprawdę

byłem niewinnym facetem, który naprawdę przypadkowo kąpał się o czwartej nad ranem akurat w tym miejscu. Było już jednak za późno, szkody zostały poczynione. Mogła tylko bezradnie i w milczeniu przypatrywać się, jak robi pan ze mną porządek.

- Chyba rozumiem - powiedział zadumany von Till. - Tak, już rozumiem. - Sądząc, że dziewczyna istotnie jest moją siostrzenicą, porwał ją pan dla zemsty.

- Ma pan połowiczną rację - odrzekł Pitt. - Drugim z moich motywów była chęć zdobycia informacji. Kiedy ktoś usiłuje mnie zabić, chcę wiedzieć, dlaczego. Miałem do wyboru tylko dwa źródła: pana i dziewczynę. Niestety, u wejścia do labiryntu zjawiał się pułkownik Zeno i skutecznie pokrzyżował moje zamysły, zanim zdążyłem przepytac Teri. W końcu okazało się jednak, że wyrządziłem inspektorowi Zacyntusowi niemałą przysługę.

- Chyba nie rozumiem - lodowato oznajmił Darius.

- Dla Zacyntusa uprowadzenie było darem niebios; Teri przestała być użyteczna, a tak długo, jak długo odgrywała rolę siostrzenicy von Tilla, jej życie nie było warte pięciu groszy. Musiał w jakiś sposób wyciągnąć ją z willi i wywieźć z wyspy. Okazało się, że nieświadomie wyszedłem naprzeciw jego planom i podałem mu dziewczynę na srebrnym półmisku. Nie oznaczało to jeszcze, że Zacyntus wypłynął na czyste wody. Całkiem nieoczekiwanie stanął przed nim kolejny i to dwuosobowy problem: Giordino i ja. Wiedział, że polujemy na pańską głowę i bez względu na to, jak miły jego sercu był to pomysł - musiał nas powstrzymać. Z prawnego punktu widzenia był bezradny - nie mógł nam rozkazywać, nie mógł też zastosować siły - spróbował zatem drogi tylko niewiele mniej skutecznej: zaproponował nam współpracę z Interpolem. Gdybyśmy ją podjęli, mógłby czuwać nad nami jak sęp.

- Nie myli się pan, majorze. - Von Till dłonią otarł wilgoć ze swojego błyszczącego czerepu. - Miałem stanowczy zamiar zabić dziewczynę.

Pitt skinął głową. - Zastanawiałem się nad powodami uporu Zacyntusa, by zabrać Teri na pokład Pierwszego Podejścia. Byłaby tam przed panem bezpieczna, a poza tym mogłaby mieć na oku Giordino i mnie. Dopiero dzisiaj rano doznałem olśnienia, jaką prowadzi grę i po czyjej stoi stronie.

Stropiony Darius tępo popatrzył na Pitta. - Co tu jest grane, majorze? Przecież żadnym cudem nie mógł pan wiedzieć tego wszystkiego.

- Grzeczne dziewczynki nie noszą mauserów przyklejonych do nogi - wyjaśnił Pitt. - To specjalność profesjonalistek. Teri nie nosiła broni, gdyśmy spotkali się na plaży, miała ją natomiast, kiedy Giordino porwał ją z sofy. A zatem bała się kogoś z willi, nie zaś spoza niej.

- Ma pan nawet więcej przenikliwości niż mu przypisywałem - stwierdził niewesoło von Till. - W jakiejś mierze wręcz pana nie doceniałem. Co zresztą, biorąc pod uwagę efekt końcowy, nie odgrywa większej roli.

- Tylko w jakiejś mierze? - powiedział z namysłem Pitt. - Ciekawe. Jak pan sądzi, dlaczego - zakładając, iż orientowałem się w grze dziewczyny - pozwoliłem jej podtruć radiooperatora i patrzyłem biernie, jak przekazuje Zacyntusowi wiadomość o moim zamiarze zbadania podwodnej groty?

- To proste - odparł z zadowoleniem von Till. - Nie wiedział pan, że Darius pracuje dla mnie. Otrzymał wiadomość, ale przemilczał ją przed Zacyntusem. Niech pan, majorze, stawi czoło świadomości, że oto władował się pan w sytuację, która znacznie go przerasta.

Pitt nie odpowiedział od razu. Siedział nieruchomo i wchłaniając w siebie ból przewiercający nogę zastanawiał się, czy nadszedł już właściwy moment. Nie mógł wstrzymać się wiele dłużej -

pole jego widzenia zaczynała ograniczać obwódka mgły - a zarazem nie powinien przeszarżować. Nieznacznie odkręcił głowę i tępo spojrzął na lufę lugera, wciąż godzącą w jego pępek. Teraz, uznał, mając nadzieję w Bogu, że prawidłowo obliczył czas.

- Zgadzam się z panem - powiedział nonszalancko. - Nie ma ludzi wszechmocnych i wszystkowiedzących, nieprawdaż, admirale Heibert?

Zrazu von Till zareagował milczeniem. Po chwili na jego nieprzeniknionej dotąd twarzy odmalowało się niedowierzanie. Postąpił o krok w stronę Pitta i zapytał zduszonym szeptem:

- Jak... jak mnie pan nazwał?

- Admirał Heibert - powtórzył Pitt. - Admirał Erich Heibert: dowódca floty transportowej faszystowskich Niemiec, fanatyczny zwolennik Adolfa Hitlera, a także brat Kurta Heiberta, lotniczego asa z okresu I wojny światowej.

Z twarzy starego Niemca odpłynęły ostatnie kropelki krwi.

- Pan... pan postradał zmysły.

- U-19; to był pański ostatni błąd.

- Nonsens, zupełny nonsens.

- Mówię o modelu w pańskim gabinecie. Pamiętam, że wydał mi się zastanawiający: dlaczego pilot miast miniatury samolotu, na którym latał podczas wojny, eksponuje replikę okrętu podwodnego? Lotnicy są w tych kwestiach równie sentymentalni jak marynarze. Nic mi tu nie grało. Największa ironia polega na tym, że to Darius, nieświadom pańskiej prawdziwej tożsamości, na moją prośbę i korzystając z aparatu Zacynthus, skontaktował się z berlińskimi archiwami morskimi.

- A więc o to panu chodziło - oświadczył Darius, nie spuszczać z Pitta czujnego spojrzenia.

- Rzecz potraktowano jako rutynową prośbę, a poprosiłem o listę załogi U-19. Skontaktowałem się również z pewnym starym monachijskim przyjacielem, który ma kręcka na punkcie awiacji podczas I wojny, i zapytałem go, czy słyszał o pilocie o nazwisku Bruno von Till. Obie odpowiedzi były niezwykle interesujące. Otóż von Till istotnie latał w Cesarskich Siłach Powietrznych. Gdy jednak pan twierdził, iż wraz z Kurtem Heibertem i resztą Jagdstaffel 73. operował z macedońskiego lotniska Xanthi, prawdziwy von Till był członkiem Jasta 9. i od lata 1917 roku do zawieszenia broni w listopadzie 1918 roku stacjonował we Francji; nigdy nie opuszczał Frontu Zachodniego. Drugim smakowitym kąskiem było pierwsze nazwisko na liście załogi U-19 - komandor Erich Heibert. Mając dociekliwy umysł nie poprzestałem na tych faktach, lecz ponownie, tym razem ze statku, skontaktowałem się drogą radiową z Berlinem, prosząc o wszelkie dostępne informacje na temat Ericha Heiberta. Zapewne nie wzniciłbym wśród niemieckich czynników oficjalnych większego poruszenia, gdybym za jednym zamachem wskrzesił Hitlera, Goeringa i Himmlera.

- Banialuki... on majaczy. - Na twarz starego Niemca powróciła przenikliwa, wyrachowana maska doktora Fu Man-chu. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie da wiary takim bajeczkom. Model okrętu podwodnego... ładny mi dowód na jakikolwiek związek mojej osoby z Erichem Heibertem.

- Nie muszę niczego dowodzić, bo fakty mówią za siebie. Kiedy Hitler doszedł do władzy, stał się pan jego zagorzałym poplecznikiem. W zamian za lojalność, a także w uznaniu dawnych zasług bojowych i doświadczenia, mianował pana głównodowodzącym flotą transportową; tytuł ten zachował pan przez całą wojnę - aż do chwili, gdy w przeddzień kapitulacji Niemiec rozwiął się pan jak dym.

- Ta historyjka nie odnosi się do mnie - zaoponował gniewnie von Till.

- Tu się pan myli - zareplikował Pitt. - Prawdziwy Bruno von Till poślubił córkę bogatego bawarskiego przedsiębiorcy, który między innymi był właścicielem niewielkiej flotylli statków handlowych pływających pod grecką flagą. Von Till natychmiast zorientował się w możliwościach -

przyjął obywatelstwo greckie i został naczelnym dyrektorem Linii Żeglugowej Minerwa. Finansowo kompania była do tyłu, ale szybko postawił ją na nogi, kiedy gwałcąc postanowienia traktatu wersalskiego zaczął przemycać do Niemiec broń i materiały o charakterze militarnym. Tak go pan poznał, a nawet pomógł mu technicznie dopracować operacje. Interes kręcił się ku obopólnemu zadowoleniu, ale von Till nie był kretyńcem - doszedł do wniosku, że państwa Osi będą stroną przegraną i już w początkach wojny opowiedział się po stronie aliantów.

- Na razie niczego pan nie dowiedział - stwierdził Darius. Pitt nareszcie zdołał go zainteresować, wiedział jednak, że lada chwila może to zainteresowanie utracić.

- Teraz będzie clou programu. Pański mocodawca nie jest człowiekiem, który cokolwiek pozostawia przypadkowi. Ktoś o mniej giętkim umyśle byłby po prostu zniknął. Ale nie admirał Erich Heibert. Był na to za sprytny. Jakimś cudem przez linie alianckie przedostał się do Anglii, gdzie mieszkał prawdziwy von Till, zamordował go i zajął jego miejsce.

- Czy to możliwe? - zapytał z naciskiem Darius.

- Nie tylko możliwe - odparł Pitt - lecz również perfekcyjnie zrealizowane. Mieli podobny wzrost i budowę. Kilka drobnych zmian, dokonanych przez dobrego chirurga plastycznego, kilka gestów i manieryzmów językowych przeciwuczonych do tego stopnia, że wchodzi w krew - i tak oto człowiek, który przed panem stoi, został idealnym sobowtórem Brunona von Tilla. Bo niby czemu nie? Von Till miał samotnicze usposobienie, żadnych bliskich przyjaciół a nawet ludzi, którzy dobrze go znali. Wdowiec, bezdzietny... Miał jednak siostrzeńca, urodzonego i wychowanego w Grecji - nawet on poznał się na zamianie dopiero wiele lat później. I przyplącił to życiem. Morderstwo pod przykrywką katastrofy jachtu; dziecinna igraszka dla takiego zawodowego zabójcy jak Heibert. Teri, mała córeczka zamordowanych, została oszczędzona, co jednak nie wynikało z Heibertowej dobroci serca. Nie chciał przegapić doskonałej okazji, by wykreować się w oczach bliźnich na troskliwego, opiekuńczego wujaszka.

Pitt ogarnął jednym szybkim spojrzeniem wartowników, tunel i japoński okręt podwodny, a potem zwrócił się do von Tilla:

- Tuż po przeistoczeniu, przemyt był dla pana za ledwie zajęciem ubocznym, Heibert. Doskonały pomysł z okrętem podwodnym, mocowanym do kilu statku-matki, przyszedł do głowy panu, staremu dowódcy U-boota, w sposób zupełnie naturalny.

Heibert alias von Till był w oczach świata człowiekiem, któremu się powiodło - Lima Żegluga Minerwa prosperowała, pieniądze płynęły niepowstrzymanym strumieniem. Ale pan zaczął się niepokoić, bo wszystko szło aż za dobrze, w miarę bowiem jak poprawiała się pańska pozycja, rosło ryzyko ujawnienia. Przeniósł się pan zatem na Thasos, odbudował willę i wszedł w rolę ekscentrycznego milionera-eremity. Dalsze prowadzenie interesów nie stanowiło problemu - dzięki potężnej krótkofalówce mógł pan nie ruszając się z domu kierować całym swoim przedsiębiorstwem. Doścignęła pana jednak zbrodnicza przeszłość, pozwoliwszy zatem Minerwie stoczyć się do roli czwartorzędnej kompanii handlowej, niemal wszystkie swoje talenty oddał pan przemytowi...

- Dokąd właściwie prowadzi ta cała gadanina? - przerwał Pittowi Darius.

- Do problemu zbrodni i kary - wyjaśnił Pitt. - Otóż rzuca się w oczy fakt nieobecności admirała Herberta na norymberskich procesach zbrodniarzy wojennych. Na liście poszukiwanych przestępców wojennych jego nazwisko sąsiaduje z nazwiskiem Martina Bormanna. Prawdziwy rozkosznik. Kiedy Eichmann palił Żydów, Heibert pracowicie opróżniał obozy alianckich jeńców wojennych. Czynił to w ten sposób, że okrętował jeńców na stare statki handlowe, które następnie pozostawiał na

środku Morza Północnego w nadziei, że brytyjskie i amerykańskie bombowce odwalą za niego całą brudną robotę. Zniknął przed końcem wojny, bo wiedział, co go czeka. Osądzony in absentia przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy, został skazany na śmierć. Szkoda, że nie zadyndał wcześniej, ale przecież lepiej późno niż wcale.

Pitt rozegrał swoją ostatnią kartę. Pozostała mu tylko nadzieja, bo na dalsze odroczenie nie mógł już liczyć.

- Ot i wszystko. Garść faktów, garść udokumentowanych przypuszczeń. Historia, przyznam, jest odrobinę szkicowa, Niemcy bowiem drogą radiową mogli mi przesłać zaledwie skrócony wyciąg z materiałów, jakie mają w swoich archiwach. Szczegóły nigdy, być może, nie będą znane. To zresztą nieistotne, Heibert, bo i tak praktycznie jest pan trupem.

Von Till spojrzał na Pitta zimno i z wyrachowaniem. - Nie zwracaj uwagi na słowa majora, Darius. To chora fantazja człowieka, który usiłuje grać na zwłokę...

Urwał i nastawił ucha. Zrazu odgłos - rodzaj bardzo dalekiego dudnienia - był ledwie słyszalny, wnet jednak Pitt rozpoznał w nim ciężki tupot podkutych butów, zbliżających się po drewnianym pomoście. Wróciła mgła, która zacierając kształty i kolory, wzmacniała zarazem dźwięki, po chwili kroki dudniły jak werbel wybijany na wielkim bębnie. Można było odnieść wrażenie, iż nadchodzący człowiek celowo unosi nogi jak najwyżej, a potem opuszcza je z nadmierną mocą. Minęło kolejnych kilka sekund i oto z mgły wyrosła pozbawiona twarzy postać w mundurze goryli von Tilla, zatrzymała się w odległości kilku kroków i strzeliła obcasami.

- Królowa Jokasta rzuciła kotwicę, proszę pana - rozległy się słowa wypowiedziane niskim gardłowym głosem.

- Ty idioto! - warknął gniewnie von Till. - Wracaj na stanowisko.

- Koniec z tym zwlekaniem - syknął Darius. - Teraz tylko kuleczka w lędźwie, żeby nasz major trochę się pomęczył. - Lufa lugera opadła nieco niżej.

- Jak sobie życzysz - powiedział cicho Pitt. Miał dziwne, pozbawione wyrazu spojrzenie, które von Tilla wytrącało z równowagi znacznie bardziej niż najbardziej dramatyczna manifestacja strachu.

Von Till wykonał całym ciałem krótki precyzyjny skłon. - Wybaczy pan, majorze, ale nasza interesująca pogawędka dobiegła końca. Liczę, że nie będzie mi pan miał za złe, iż nie zagwarantowałem panu tradycyjnej przepaski na oczy i ostatniego papierosa.

Nie powiedział nic więcej, jadowicie rozradowany grymas jego twarzy był jednak znacznie wymowniejszy niż słowa.

Pitt stężał wewnątrz, gotując się na przyjęcie kuli z pistoletu Dariusza.

Rozdział 18

Huknął strzał: nie było to jednak ostre szczęknięcie lugera, lecz ogłuszający ryk automatycznego kolta czterdzieści pięć. Darius wrzasnął z bólu, wypuścił do wody pistolet, Giordino zaś, w mundurze jak ze starszego brata, sprężyście zeskoczył z pomostu na pokład i wraził lufę kolta w lewo ucho von Tilla. Dopiero wtedy odwrócił głowę, żeby ocenić swoją strzelecką skuteczność.

- No, no, no, kto by pomyślał... pamiętałem nawet o odbezpieczeniu spławy.

Ładna robota - pochwalił go Pitt. - Nawet Errol Flynn nie potrafiłby odstawić równie dramatycznego wejścia.

Von Till i Darius, niczego nie pojmując, stali jak wryci. Gorące światło reflektorów do reszty wypaliło mgłę i wartownicy, czuwający na skalnej półce, zorientowali się, że na pokładzie okrętu podwodnego doszło do nieoczekiwanego rozwoju wydarzeń. Jak jeden mąż unieśli pistolety

maszynowe i wycelowali w Pitta.

Palce z dala od spustów! - huknął Giordino. - Jeden strzał do majora Pitta, a mózg waszego szefa rozprysnie się stąd do Aten. Potem zginiecie wszyscy. Nie blefuję... mierzy do was ładnych kilka luf. Zerknijcie tylko w tunel.

Już przedtem towarem, którego nie brakowało w grocie, były pistolety maszynowe, a teraz pojawiło się jeszcze dziesięć dodatkowych sztuk; tkwiły w dłoniach największych twardzieli, jakich Pitt widział w życiu. Zajęli pozycje strzeleckie u wlotu tunelu czterech leżącą, po trzech klęczącą i stojącą. W swych czarno-brązowych mundurach polowych niemal wtapiali się w tło. Przypadkowemu spojrzeniu zdradzały ich obecność tylko jasnokasztanowe berety, znak przynależności do elitarnej formacji komandosów.

- A teraz - ciągnął Giordino - zwróćcie uwagę na okręt podwodny za moimi plecami.

Kroplą przepełniającą puchar - tym, innymi słowy, co ostatecznie odebrało ochroniarzom von Tilla wolę walki - stał się chłodzony powietrzem karabin maszynowy w rękach demonicznie uśmiechniętego pułkownika Zeno, który zajmował stanowisko na kiosku japońskiego okrętu. Powoli odłożyli broń i unieśli ręce do góry - wszyscy z wyjątkiem jednego.

Zeno musnął spust, lufa z krótkim kaszlnięciem wypuła najwyżej dwa pociski i nieszczęsny opieszale wartownik bezwładnie stoczył się do wody, zabarwiając jej kobaltową toń rozrastającą się czerwoną plamą.

- A teraz, z dłońmi na karku, idźcie, powtarzam: idźcie... żadnego biegania... do najbliższego wyjścia - rozkazał beznamiętnie Giordino.

Pitt, na którego znużonej twarzy widoczny był ból, powiedział do Giordino: - O mały włos byłbyś się spóźnił.

- Stolicy Włoch nie zbudowano w ciągu dwudziestu czterech godzin - parafrazując znane przysłowie odparł kazondziejskim tonem Giordino. - W końcu musiałem dopłynąć na brzeg, odszukać Zacyntusa, Zeno oraz ich wędrowną trupe powietrzno-desantową, a wreszcie biegiem przeprowadzić przez ten cholerny labirynt. Nie była to, ściśle rzecz biorąc, najbardziej relaksowa fucha na świecie.

- Połapałeś się w moich wskazówkach?

- Bez problemu. Szyb windy był dokładnie tam, gdzie mówiłeś. Von Till, którego oczy sprawiały wrażenie bryłek lodu, przysunął się nieco do Pitta. - Kto powiedział panu o windzie?

- Nikt - odparł ochryple Pitt. - Błądząc po labiryncie przypadkowo trafiłem do odgałęzienia, które kończyło się szybem. Przez szparę usłyszałem szum prądnic, a ich przeznaczenie stało się dla mnie oczywiste, kiedy zyskałem pewność, że musi istnieć ta podmorska grot. Pańska willa stoi niemal dokładnie nad urwiskiem, winda zatem mogła być jedynym środkiem potajemnej komunikacji. Dzięki Fenicjanom sprzed dwóch tysięcy lat miał pan wszystko, co niezbędne do pańskiej przemytniczej operacji - grocie, korytarze i szyb.

- Jedna chwila - wtrącił Giordino. - Sugerujesz, że jeszcze przed Chrystusem prowadzono stąd działalność przemytniczą?

- Nie przygotowałeś się do lekcji - powiedział z uśmiechem Pitt. - Gdybyś przejrzał jedną z tych broszurek, które Zeno rozdawał przed zwiedzaniem, dowiedziałbyś się, że Thasos była pierwotnie zasiedlona przez Fenicjan, eksploatujących tutejsze złoża srebra i złota. Tunele i szyb to pozostałości starożytnej kopalni, wyczyszczonej w końcu do cna i porzuconej. Grecy odkryli ją kilkaset lat później i uznali za jakiś stworzony przez bogów tajemniczy labirynt.

Pitt podniósł nagle głowę, zaintrygowany jakimś poruszeniem na pomoście: jak wyczarowany

stanał na nim niespodziewanie Zacynthus. Długą chwilę spoglądał na Pitta, a wreszcie spytał: - Jak tam noga?

Pitt wzruszył ramionami. - Pewnie trochę poswędzi, kiedy będzie zbierało się na deszcz, ale nie powinna utrudniać mi życia seksualnego.

- Pułkownik Zeno wysłał dwóch swoich ludzi po nosze. Będą lada chwila.

- Słyszałeś naszą pouczającą wymianę myśli? Zacynthus skinął głową. - Każde słowo. Akustyki, jaką ma ta grotta, nie powstydzilaby się La Scala.

- Niczego nie zdołacie mi udowodnić - parsknął wzgardliwie von Till. Jego usta skrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu, ale z oczu przebijała rozpacz.

- Jak już mówiłem - wymamrotał Pitt - nie muszę panu niczego udowadniać. Dzięki uprzejmości amerykańskich sił powietrznych, aż nadto skłonnych do pomocy po tym fajerwerku, jaki zafundował pan Lotnikowi Brady, w tej chwili leci z Niemiec czterech członków Komisji do Badania Zbrodni Wojennych. Ci ludzie to wysokiej klasy specje od tożsamości i nie zwiedzie ich ani chirurgia plastyczna, ani zmieniony głos, ani wreszcie pański zaawansowany wiek. Obawiam się, admirale, że dotarł pan do końca swojej podróży.

- Jestem obywatelem greckim - oświadczył arogancko von Till. - Nie będą mieli prawa wywieźć mnie do Niemiec.

- Skończ pan z tym cyrkiem - wypalił Pitt. - To von Till był obywatelem greckim, nie pan. Pułkownikowi Zeno, czy nie zechciałby pan sprowadzić admirała z obłoków na ziemię?

- Z najwyższą przyjemnością, panie majorze. - Zeno zszedł już z kiosku. Stojąc obok Zacynthusa uśmiechał się pod sumiastym wąsem i świdrował von Tilla wzrokiem. - Nie jesteśmy szczególnie tolerancyjni wobec nielegalnych imigrantów, a wręcz brzydzimy się graniem roli gospodarza wobec poszukiwanych zbrodniarzy wojennych. Jeśli, jak utrzymuje major Pitt, jest pan rzeczywiście admirałem Erichem Heibertem, osobiście dopilnuję, aby pierwszym samolotem odleciał pan na szafot do Niemiec.

- Rozwiązanie bardzo odpowiednie i wygodne - wycedził Zacynthus - ponieważ oszczędzi amerykańskiemu podatnikom kosztów długiego, skomplikowanego procesu o przemyt narkotyków. Z drugiej jednak strony utracimy niepowtarzalną okazję zwinięcia połowy hurtowników w Stanach.

- Chyba zapomniałeś, że okazja czyni złodzieja - powiedział uśmiechnięty Pitt.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dodaj dwa do dwóch, Zac. Wiesz już, gdzie i w jaki sposób nastąpi przerzut. Z łatwością mógłbyś opanować Królową Jokastę, zamknąć jej załogę i dostarczyć towar osobiście. Jestem pewien, że odnośne władze pójdą ci na rękę i zachowają w tajemnicy aresztowanie Heiberta, dopóki nie zatrzaśnie się pułapka, którą zastawisz w Galveston.

- Tak - przyznał z zadumą Zacynthus. - Na Boga, tak, to może zagrać. Zakładając, że od ręki znajdę ludzi, zdolnych poprowadzić statek i okręt podwodny.

- Dziesiąta Flota Śródziemnomorska - podsunął Pitt. - Wykorzystaj swoje wpływy i zażądaj od marynarki wojennej kilku załogantów. Mogliby zostać podrzuceni do Brady drogą lotniczą i w rezultacie Królowa Jokasta miałaby najwyżej pięć czy sześć godzin spóźnienia względem zaplanowanego rozkładu. Jeśli wyżyłujesz trochę starą balię, nadrobisz to w półtora dnia.

Zacynthus badawczo wpatrywał się w Pitta z mieszaniną ciekawości i podziwu. - Fakt, że makówka nieźle ci pracuje.

Pitt, wciąż uśmiechnięty, wzruszył ramionami. - Robię, co mogę.

- Chciałbym, żebyś mi wyjaśnił jedną sprawę.

- Wal.

- Skąd wiedziałeś, że Darius jest informatorem?

- Zacząłem coś przewąchiwać, kiedy myszkowałem po Królowej Artemizji. Nadajnik w kabinie radiowej był nastawiony na tę samą częstotliwość co twój aparat. Muszę uczciwie przyznać, że wówczas wziąłem pod uwagę was obu. Pozostał tylko Darius, kiedy na brzegu Giordino mi powiedział, że przez cały czas pomiędzy przyplynięciem a odpłynięciem Królowej Artemizji to właśnie Darius obsługiwał odbiornik. Miał idealny układ. Gdy ty z pułkownikiem Zeno goniłeś za własnym ogonem i tłukłeś komary, Darius siedział sobie wygodnie, chleptał metaxę i powiadał Heiberta o każdym waszym ruchu. Dzięki temu miałem statek tylko dla siebie, bo załoga krzątała się w zęzach, zajęta odczepianiem okrętu podwodnego. Kapitan nie zawracał sobie głowy ustawianiem wacht, bo Darius go zapewnił, że sytuacja jest czysta. Ale Darius nie miał pojęcia - tak samo zresztą jak ty, Zac - że mam zamiar podplłynąć do statku wpław. Niczego nie podejrzewałeś, kiedyśmy się z Giordino zgłosili na ochotnika do obserwowania statku z plaży. Pomysł przyszedł mi do głowy nagle, gdy nie dostrzegłem na pokładzie Królowej Artemizji żywej duszy. Wybacz, że zrobiłem to bez uzgodnienia, ale byłem pewien, że wściekniesz się i spróbujesz mnie powstrzymać.

- To ja powinienem cię przeprosić - odrzekł Zacynthus. - Zasłużyłem sobie na tytuł kretyna roku. Boże, jak mogłem być tak ślepy? Fakt, że Dariusowi nigdy nie udało się przechwycić jakiegokolwiek wymiany sygnałów pomiędzy willą a przepływającymi statkami Minerwy, już dawno powinien mi dać do myślenia.

- Tego ranka, na szosie, mogłem wprawdzie podzielić się z tobą podejrzeniami - rzekł Pitt - ale doszedłem do wniosku, że to nie czas ani, biorąc pod uwagę obecność Dariusza, miejsce. Po wtóre, wątpię, czy Zeno dałby wiarę moim oskarżeniom bez przekonujących dowodów.

- Masz zupełną słusność - przyznał Zacynthus. - Jeszcze jedno. Kiedy dowiedziałeś się o Królowej Jokaście?

- Pożyczając swoje pojazdy, lotnictwo amerykańskie hołduje pewnemu zabawnemu przyzwyczajeniu: żąda ich zwrotu. Po naszym więc rozstaniu na szosie wpadliśmy z Giordino do bazy, żeby odstawić furgonetkę. Czekał już na nas pułkownik Lewis i to on poinformował mnie o Królowej Jokaście; jeden z samolotów porannego patrolu spostrzegł ją, jak zmierza na północ, w stronę Thasos. Następny, oczywisty, krok polegał na skontaktowaniu się z ateńskim przedstawicielem Minerwy w celu ustalenia ładunku i portu przeznaczenia statku. Odpowiedź wskazała na interesujący zbieg okoliczności - dwa statki Minerwy nie tylko w ciągu dwudziestu czterech godzin przechodziły obok Thasos, lecz również oba zmierzały do Stanów. Wtedy połapałem się, że von Till - czy raczej Heibert - chce okręt podwodny z heroiną odczepić od Królowej Artemizji i podłączyć pod Królową Jokastę.

- Mogłeś mnie jednak wtajemniczyć - z widocznym śladem rozgoryczenia powiedział Zacynthus. - Omal nie przymknąłem Giordino, kiedy wpadł do mnie jak bomba i zażądał, byśmy wraz z pułkownikiem Zeno biegli za nim do labiryntu.

Pitt popatrzył na sposępniałą twarz inspektora. - Rozwahałem taką możliwość - przyznał otwarcie - ale doszedłem do wniosku, że im mniej wtajemniczonych, tym większe szansę utrzymania Dariusza w nieświadomości. Celowo również niczego nie powiedziałem dziewczynie: było sprawą niezwykle ważną, aby jej cynk o moich planach - przechwycony z całą pewnością przez Dariusza - brzmiał poważnie i dramatycznie. Działąłem pokrętnie, przyznaję, ale miałem istotne powody.

- I tylko pomyśleć, że zwykły amator zrobił durnia z najlepszego agenta mojej firmy. - Potem Zacynthus uśmiechnął się niespodziewanie, zacierając nieprzyjemne wrażenie, jakie mogły wyrzeć jego słowa. - Ale było warto, naprawdę warto.

Pitt odetchnął z ulgą. Nie chciał z Zacynthusa robić sobie wroga. Odwrócił głowę i jego oczy spotkały się z oczyma von Tilla; było w nich coś więcej aniżeli zwykła nienawiść. Pitt, nie odczuwając niczego poza narastającym obrzydzeniem, powiedział głosem cichym ale słyszalnym w każdym zakątku groty: - Powinieneś umrzeć tysiąc razy, żeby odpokutować za wszystkie swoje zbrodnie, staruchu. Większość ludzi przychodzi na świat i umiera nie zabijając nikogo, ale lista twoich ofiar nie ma końca - od bezbronnych jeńców, których topiłeś w lodowatych wodach Morza Północnego, po uczennice, które sprzedajesz do plugawych burdeli Casablanki. Jest coś krzepiącego w fakcie, że twoja śmierć również będzie okropna. Żałuję tylko, iż nie będę widzieć, jak na końcu liny twoim pomarszczonym cielskiem wstrząsną drgawki, jak wydłuży się twój byczy kark... Ponoć w chwili śmierci wisielcy wypróżniają się i oddają mocz; to dla ciebie odpowiedni koniec, staruchu - rzucony do anonimowego grobu, będziesz gnić po wieczność w swoim własnym gównie.

Von Till, nie zwracając uwagi na pistolety żandarmów, wybełkotał coś niezrozumiale i z twarzą skrzywioną wściekłym grymasem jak szalowiec rzucił się na Pitta. Nie zdołał jednak uczynić nawet dwóch kroków, gdy uderzony przez Giordino kolbą czterdziestki-piątki, niczym niekształtny tłumok osunął się na pokład. Leżał jak martwy, ale Giordino nawet na niego nie spojrział, kiedy wsuwał broń do kabury.

- Przyłożyłeś mi odrobinę za mocno - stwierdził z przyganą Zacynthus.

- Robactwo ma twarde życie - odrzekł beznamiętnie Giordino. - Szczególnie robactwo tak jadowite jak ten stary skurwysyn.

Darius, odkąd Giordino go postrzelił, stał nieruchomy i milczący. Każdy inny człowiek chwyciłby zranioną rękę, on jednak trzymał ją wyciągniętą wzdłuż boku, pozwalając, by krew skapywała na pokład. Rysujący się na jego twarzy wyraz zagubienia przywiódł Pittowi na pamięć pewnego goryla z ogrodu zoologicznego w San Diego; szpetną niekształtną bestię, która nie pojmując, dlaczego znalazła się wśród krat i murów, a także dlaczego gapią się na nią jakieś dziwne zwierzęta, miała dokładnie taką samą minę. Pitt był szczerze rad, iż w punkt pomiędzy czarnymi jak węgiel, zimnymi oczyma Dariusza mierzy przynajmniej pięć luf.

Pitt wskazał Dariusza skinieniem głowy. - Co z nim?

- Szybki proces - odparł Zacynthus - a potem pluton egzekucyjny.

- Nie będzie żadnego procesu - wtrącił Zeno. - W szeregach żandarmerii nigdy nie było zdrajców. - Mówił posępnie, ale miał smutny wzrok. - Kapitan Darius zginął podczas pełnienia obowiązków służbowych.

W grocie zapadła cisza, a Pitt, Zacynthus i Giordino popatrzyli po sobie, zbici z tropu czasem przeszłym, którego użył Zeno.

Darius milczał nadal, nie pokazując po sobie żadnych uczuć prócz bezgranicznej rezygnacji. Powoli, ociężale, jak człowiek, który nie spał od wielu dni, wdrapał się na pomost i z pochyloną głową stanął przed pułkownikiem.

- Wydawało się, że znam cię od wielu lat, Darius - powiedział ze znużeniem Zeno - a przecież nie znałem wcale. Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego stałeś się tym, kim jesteś. Szkoda, żandarmeria straciła doskonałego człowieka... - Zeno urwał, bez powodzenia szukając słów. Potem z uwagą, niemal pietyzmem, wyjął magazynek z pistoletu i opróżnił go, pozostawiając tylko jedną kulę. W końcu na powrót wsunął magazynek w kolbę i trzymając broń za lufę podał ją Dariusowi.

Darius skinął głową, spojrział w oczy Zeno, a kiedy nie znalazł w nim znaku, na który czekał - wziął pistolet, odwrócił się powoli i jak lunatyk ruszył pomostem w stronę tunelu.

- Bez pożegnań, wyrazów żalu, bez jednego "niech was diabli wezmą" - z niedowierzaniem

powiedział Giordino. - Ot, tak, jak gdyby nigdy nic idzie rozwalić sobie łeb... Pójdę o zakład, że spróbuje prysnąć.

- Umarł, kiedy został zdrajcą - odrzekł cicho Zeno. - Dariusz wiedział to wtedy i wie teraz. Wczesna śmierć była jego nieuchronnym przeznaczeniem, odkąd wyszedł z łona. Teraz pięć minut rozmowy z Bogiem, żeby przygotować duszę, a potem – naciśnie spust.

Giordino w milczeniu odprowadzał wzrokiem ginącą w mrokach tunelu sylwetkę Dariusza. Stanowczość słów pułkownika rozwiała wszelkie jego wątpliwości co do zamierzeń olbrzyma. Giordino nigdy nie miał pojąć, jakim cudem ktokolwiek może z taką rezygnacją rozstawać się z życiem?

Spojrzał na Pitta. - Trwonimy czas i kończy nam się forsa. Gunn pewnie dostaje szafu zastanawiając się, gdzie przepadli jego bezcenni naukowcy.

- Trudno mu się dziwić - stwierdził przekornie uśmiechnięty Knight, tarabaniąc się z włazu na pokład. - Wielki intelekt to ostatnimi czasy łakomy towar.

- Jajogłowy błazen - jęknął Giordino. - Nauka zesłała na psy.

Pitt uśmiechnął się mimo bólu w nodze. - Może częśćka intelektu Knighta spłynie na ciebie, kiedy będziesz jego i resztę jajogłowych odstawiać na pokład Pierwszego Podejścia. Odpowiadasz za to, żeby dotarli tam bezpiecznie.

- I to się nazywa wdzięczność - po raz wtóry jęknął Giordino. Po tym wszystkim, co mi zawdzięczasz...

- O ileż szlachetniej jest dawać niż brać - zapewnił go Pitt. - Teraz migiem. Jeśli chcesz przepłynąć tunelem, będziecie musieli wyłowić sprzęt.

Z włazu wychynął Woodson i podszedł do Pitta. - Może zostaną z panem, majorze, dopóki nie położymy pana do łóżka?

- Nie, dzięki - odparł Pitt, lekko zaskoczony wyrazem troski na kamiennej twarzy Woodsona. - Jestem w dobrych rękach. Zac zabierze mnie do szpitala pełnego chętnych pielęgniareczek, prawda, Zac?

- Wybacz, ale nic z tego - odrzekł z uśmiechem Zac - chyba że lotnictwo zmieniło politykę kadrową. Obawiam się, że na całej wyspie tylko szpital w bazie ma odpowiednie zaplecze do zatykania dziur po kulach.

Pojawili się dwaj żołnierze z noszami i natychmiast ułożyli na nich Pitta, który oświadczył: - No i doskonale, wreszcie jadę pierwszą klasą. - Potem nagle usiadł. - Cholera! O mały włos byłbym zapomniał. Gdzie jest Spencer?

- Tu, majorze, tu - odparł rudobrody biolog wyłaniając się zza pleców Woodsona. - Co mogę dla pana zrobić?

- Proszę w moim imieniu przekazać komandorowi Gunnowi wyrazy szacunku i mały prezent. Spencer pobladł na widok zakrwawionej nogi Pitta. - Zrobione.

Pitt wychylił się poza nosze i wsparty na łokciu powiedział: - W pierwszej grocie, na głębokości dwudziestu stóp jest u podnóża północnej ściany kilka niewielkich szczelin. Nad jedną wisi coś na kształt płaskiego skalnego okapu. Znajdzie tam pan Filuta, jeśli tymczasem nie zwiął.

- Filuta!?! - wykrzyknął zaskoczony Spencer. - Mówi pan serio, majorze?

- Chyba wiem, jak wygląda uczciwy Filut! - z udanym oburzeniem powiedział Pitt. - Niech pan uważa, żeby go po drodze nie zgubić.

Spencer przeciągle gwizdnął przez zęby. - No i kto by pomyślał.

Były chwile, kiedy zaczynałem wątpić w jego istnienie. - Urwał na chwilę, pogrążony w

głębokiej zadumie. - Chryste, przecież nie mogę użyć kuszy, bo go uszkodzę. Siatka, cholera, gdybym tylko miał siatkę.

- Istnieje tylko jeden skuteczny sposób polowania na Filuty - oświadczył Pitt. - Niech go pan złapie za ogon.

Ból już odpłynął i Pitt przestał czuć, że w ogóle ma nogę. Światła raziły go w oczy, otoczenie traciło kontury, czas spowalniał swój bieg, a głosy dobiegały gdzieś z daleka. Kiedy żandarmi unieśli nosze i ruszyli pomostem, Pitt miał wrażenie, iż brodzą w jeziorze kleju. Po raz ostatni tego dnia dźwignął głowę. - Zac, jeszcze jedno pytanie - wyszeptał ledwie słyszalnie. - Jak naprawdę nazywa się ta dziewczyna?

Zac popatrzył na Pitta z uśmiechem w oczach. - Nazywa się Amy.

- Amy - powtórzył Pitt. - Nigdy dotąd nie znałem żadnej Amy.

Rozluźnił się, opadł na nosze i zamknął oczy. Ostatnią rzeczą jaką usłyszał, zanim okryła go bez reszty opona mroku, był odbity od ścian labiryntu daleki pojedynczy strzał.

Rozdział 19

Jak okiem sięgnąć, niebo wisiało niczym świetliste niebieskie sklepienie. Upalne powietrze, nieustannie podgrzewane falami gorąca, wręcz ociekało wilgocią, jakiej nie pamiętali najstarsi górale. Wysokie białe budynki, przywodzące na myśl obrobione dłutem rzeźbiarza niewielkie góry, odbijały oślepiające promienie na czarny asfalt ulic. Ruch panował okropny, a chodniki roiły się od spieszących na lunch biuralistów, kiedy Pitt pchnął szerokie szklane drzwi i sztywno kusztykając wkroczył do klimatyzowanego holu gmachu Federalnego Biura ds. Narkotyków.

Z punktu widzenia kawalera, pomyślał, jednym z największych plusów Waszyngtonu jest ogromna podaż ładnych dziewczyn. Dostępne we wszelkich rozmiarach, kategoriach wiekowych i typach charakterologicznych, na kształt rozgadanej szarańczy roiły się w każdym biurowcu, gwarantując wygłodzonemu samcowi ten sam rodzaj nieograniczonych perspektyw, jakie ma wstępując z obłędem w oku do sklepu ze słodyczami zamożny dzieciak. Pitt przyoblekł twarz w najbardziej czarujący ze swych nonszalancko uwodzicielskich uśmiechów i uderzył nim trio chichoczących sekretarek, które wysiadały z windy. Odwzajemniły ów uśmiech, dokładając do niego przelotne i wstydliwe spojrzenia, a następnie prześlizgnęły się obok Pitta i rzucając mu przez ramię pożegnalne spojrzenie poszły swoją drogą.

Chwilę później, odgrywając z pełnym zaangażowaniem rolę rannego wojownika, Pitt, wsparty ciężko na lasce, wykuszykał z windy na puszystą wykładzinę ósmego piętra. W środku recepcji tuzin dziewcząt, eksponujących z wzruszającym brakiem pruderii las obleczonych w nylon nówek, siedział przy tuzinie biurek, atakując bezkompromisowo tuzin maszyn do pisania. Panienki były tak zajęte rzetelnym wykonywaniem obowiązków, że nawet nie spojrzały na niego.

Pitt powoli podszedł do blondynki o obfitym biuście, która zajmowała biurko oznaczone małą prostokątną tabliczką z napisem "Informacja". Potem pochylił głowę i stał przez chwilę w milczeniu napawając się widokiem.

- Przepraszam - powiedział wreszcie.

Nie słyszała go w zgiełku stukających maszyn.

- Przepraszam - powtórzył znacznie donośniej Pitt. Raczyła go zauważyć.

- Czym mogę służyć? - Głos był oziębły, a wielkie orzechowe oczy nieprzyjazne. Białe golf, zielona sportowa marynarka z niedbale wetkniętą do kieszonki na piersi chusteczką nie sugerowały, że Pitt jest jakimś ważnym waszyngtońskim urzędnikiem.

- Chciałbym się widzieć z dyrektorem.

- Wybacz pan - oświadczyła wracając do maszyny - ale pan dyrektor jest ogromnie zajęty i nie może przyjąć nikogo.

Pitta zaczęła ogarniać irytacja. - Spotkanie zostało uzgodnione przez inspektora Zacynthusa i....

- Gabinet inspektora Zacynthusa mieści się na czwartym piętrze - wyrecytowała bez namysłu.

Nawet wystrzał nie zwróciłby na siebie większej uwagi niż donośny stuk laski Pitta, która rąbnęła w blat biurka. Pokój pograżył się w ciszy, sekretarki rozdziawiły usta, a ich dłonie zastygły nad klawiaturami maszyn do pisania. W obfitej piersi sekretarki wezbrał lęk, krew zaś z jej twarzy odpłynęła do ostatniej kropelki.

- W porządku, kiciu - oświadczył z groźbą w głosie Pitt. - Rusz no ten swój kształtny zadek i poinformuj dyrektora, że major Dirk Pitt zjawił się na spotkanie uzgodnione przez inspektora Zacynthusa.

- Pitt... Major Pitt z NUMY - wyrzuciła bez tchu blondynka. - Ach, strasznie przepraszam, sir, ale sądziłam, że...

- Wiem - wszedł jej w słowo Pitt. - Nie mam na sobie munduru.

Dziewczyna poderwała się zza biurka, rozdzierając przy okazji pończochę. - Tędy, panie majorze. Jest pan oczekiwany.

Pitt obdarzył szerokim uśmiechem najpierw ją, a potem pozostałe dziewczyny, delektując się pełnym podziwu spojrzeniem dwudziestu czterech oczu, owym cielęcym spojrzeniem zarezerwowanym dla sław i gwiazdorów filmowych. Poczł, że męskie ego nabrzmiewa w nim jak balon.

- Piszcie, dziewczęta - poradził dobrotliwie. - Przecież waszej firmie te listy i raporty są potrzebne jak powietrze.

Blondynka powiodła go długim korytarzem, zwalniając od czasu do czasu kroku, aby mógł za nią nadążyć, a wreszcie przystanęła i zapukała do zabejcowanych na orzech drzwi. - Major Pitt - zaanonsowała, odsuwając się na bok.

Trzech mężczyzn podniosło się z miejsc, kiedy Pitt wszedł do pokoju; czwarty - Giordino - jak przykuty siedział sobie wygodnie na skórzanej kanapie. - Nie myślałem, że tego doczekam - oświadczył. - Dirk Pitt, wlokący się o lasce!

- To tylko trening, który przyda się na starość - zareplikował Pitt.

Niski rudowłosy mężczyzna, z którego zębów zawadiacko sterczało cygaro kształtu i rozmiaru zeppelina, podszedł do Pitta i uściśnął mu dłoń. - Witaj w domu, Dirk. Gratulacje za doskonałą robotę na Egejskim.

Pitt spojrział w jastrzębie oblicze Jamesa Sandeckera, popędliwego szefa NUMY.

- Dziękuję, panie admirale. Są jakieś wieści o Filucie?

- Tylko takie, że na razie żyje i pływa - odparł Sandecker. - Odkąd Gunn przysłał go tydzień temu w specjalnym zbiorniku, nie mogę się do niego dopchnąć przez hordę naukowców, którzy dniem i nocą wytrzeszczają na bydlę cholerne ślepie. Miałem obiecany na rano wstępny raport.

Następny w kolejce do powitania był Zacynthus; sprawiał wrażenie znacznie młodszego i bardziej rozluźnionego niż wtedy, kiedy Pitt rozmawiał z nim po raz ostatni.

- Miło widzieć, że znowu łazisz o własnych siłach - stwierdził z uśmiechem. - Wyglądasz równie wrednie jak za najlepszych czasów.

Ujął Pitta pod ramię i podprowadził do stojącego przy oknie wysokiego mężczyzny. Pitt szacującym spojrzeniem obrzucił dyrektora Federalnego Biura, czując jednocześnie na sobie równie badawcze spojrzenie szarych oczu, spoglądających z ospowatej twarzy o wystających kościach policzkowych. Twarzy jakby wziętej wprost z archiwów policyjnych. Pitt stwierdził z rozbawieniem,

że dyrektor bardziej przypomina przemytnika narkotyków, aniżeli zwierzchnika kilku tysięcy agentów federalnych. Dyrektor przemówił pierwszy. - Nie mogłem się doczekać na spotkanie z panem, majorze Pitt. Biuro wyraża głęboką wdzięczność za pańską pomoc. - Miał niski głos i bardzo precyzyjnie wymawiał słowa.

- Nie zrobiłem znowu tak wiele. Główny ciężar spoczywał na barkach pułkownika Zeno i inspektora Zacynthususa.

Dyrektor stawiał czoło spojrzeniu Pitta. - Może, ale to panu pozostały blizny. - Wskazał krzesło i poczęstował Pitta papierosem. - Miał pan przyjemny lot z Grecji?

Pitt zapalił i głęboko się zaciągnął. - Wprawdzie maszyny transportowe Air Force nie słyną z dobrej kuchni i urody stewardes, ale i tak było to o niebo przyjemniejsze niż lot w przeciwnym kierunku.

Admirał Sandecker posłał Pittowi stropione spojrzenie. - Dlaczego Air Force? Mogłeś przylecieć z Aten PanAmem albo TWA.

- Pamiątki! - parsknął śmiechem Pitt. - Jeden z suvenirów, jakie zabrałem z Thasos, był za wielki, aby mógł się zmieścić w luku bagażowym zwykłego rejsowego samolotu. Na odsiecz pospieszył mi pułkownik Lewis, proponując powrót prawie pustym transportowcem zmierzającym do kraju.

- A jak tam rana? - Sandecker skinieniem głowy pokazał nogę Pitta. - Dobrze się goi?

- Trochę kuleję - odparł Pitt - ale trzydzieści dni urlopu zdrowotnego pozwoli mi wrócić do normy.

Admirał przez dłuższą chwilę świdrował spojrzeniem Pitta poprzez niebieską chmurę dymu, a potem oświadczył głosem nie znoszącym sprzeciwu: - Dwa tygodnie. Mam większą wiarę w siły regeneracyjne twojego organizmu niż ty sam.

Dyrektor odchrząknął znacząco. - Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem raport inspektora Zacynthususa, który jednak pomija pewną kwestię. Zastanawiam się, majorze, czy dla zaspokojenia mojej prywatnej ciekawości nie zechciałby pan powiedzieć, w jaki sposób doszedł pan do wniosku, iż statki Minierwy mogą pracować w tandemie z okrętem podwodnym.

W oczach Pitta zabłysła wesołość. - Chyba można by rzec, iż tajemnica została zapisana na piasku.

Usta dyrektora skrzywiły się w sztucznym uśmiechu. Szef biura miał sceptyczny stosunek do metafor. - To bardzo homeryckie, majorze, ale trudno uznać pańskie słowa za odpowiedź na moje pytanie.

- Dziwne lecz prawdziwe - odparł Pitt. - Kiedy nie znalazłszy na pokładzie Królowej Artemizji śladu heroiny wróciłem na plażę, zacząłem dłużyć kijem w piasku. Zrazu okręt podwodny, podczepiany pod frachtowiec, wydał mi się pomysłem abstrakcyjnym im dłużej jednak dłużyłem, tym wyrazistszych nabierał kształtów.

Dyrektor odchylił się w fotelu i smętnie pokręcił głową. - Czterdzieści lat, stu agentów z dwunastu państw, którzy w najbardziej niesprzyjających okolicznościach wypruwali z siebie żyły, aby rozgryźć przemytniczą operację von Tilla... Trzech z nich, nawiasem mówiąc, oddało życie podczas tych usiłowań... - Posłał Pittowi zza biurka ponure spojrzenie. - Jest, na swój sposób, tragicznym żartem, żeśmy przegapili rozwiązanie tak oczywiste dla człowieka z zewnątrz.

Pitt nic nie odrzekł.

- A propos - podjął dyrektor tonem niespodziewanie radosnym. - Nie przypuszczam, aby miał pan okazję słyszeć o wynikach naszej akcji w Galveston...

- Nie, panie dyrektorze. - Pitt z uwagą strząsnął papierosa do popielniczki. - Inspektora

Zacynthusa, odkąd trzy tygodnie temu rozstaliśmy się na Thasos, ujrzałem ponownie dopiero przed pięcioma minutami, skąd mogłem zatem wiedzieć, czy moja skromna sugestia dotycząca Galveston przyniosła jakieś owoce czy też nie.

Zacynthus zerknął na swojego szefa. - Czy mogę poinformować majora Pitta, sir?

Dyrektor skinął głową.

Zacynthus zwrócił się do Pitta: - Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Pięć mil od brzegu powitała nas flotylla kutrów Heiberta... to był śliski moment, bośmy nie znaleźliśmy właściwych sygnałów rozpoznawczych. Na szczęście skłoniłem kapitana Królowej Jokasty - grożąc mu kastracją przy użyciu zardzewiałego noża - do dezercji i przejścia na naszą stronę.

- Czy ktokolwiek wszedł na pokład? - zapytał Pitt.

Takie ryzyko nie istniało, bo rzecz, z punktu widzenia łodzi patrolowej, byłaby cholernie podejrzana. Rybacy po prostu przekazali nam z dala sygnał, żeby odczepić okręt podwodny. To interesująca konstrukcja, nawiasem mówiąc na inżynierach z marynarki wojennej, którzy badali ją podczas rejsu przez Atlantyk, wywarła silne wrażenie.

- Czym się wyróżnia?

- Jest w pełni zautomatyzowana.

- Zdalne sterowanie? - zapytał z niedowierzaniem Pitt.

- Tak, kolejny z genialnych pomysłów von Tilla. Rozumiesz, gdyby okręt miał wypadek albo w drodze do wytwórni konserw został wykryty przez straż portową, żaden diabeł nie zdołałby go powiązać z Linią Żeglugową Minerwa. A kogóż można by przesłuchać, skoro nie miał na pokładzie żywej duszy?

- A zatem był sterowany przez któryś z kutrów? - spytał zaintrygowany Pitt.

Zacynthus skinął głową. - Przez sam środek basenu portowego, aż pod pale, na których stoi fabryka konserw. Tylko tym razem okręt wiózł kilku pasażerów na gapę - mnie i dziesięciu komandosów z piechoty morskiej, których wypożyczyłem z Dziesiątej Floty. Mogę jeszcze dodać, że wytwórnię otaczało trzydziestu naszych najlepszych agentów.

- Byłbyś w poważnych tarapatach - stwierdził z zadumą Giordino - gdyby w Galveston było więcej wytwórni konserw.

Zacynthus uśmiechnął się z wyższością. - W rzeczy samej Galveston chełpi się czterema fabrykami konserw i wszystkie zostały wzniesione na palach.

Giordino nie musiał zadawać następnego pytania; miał je wypisane na twarzy.

- Regionalny wydział biur już na dwa tygodnie przed przybyciem Królowej Jokasty wziął pod obserwację wszystkie cztery. Namierzyliśmy właściwą, kiedy otrzymała dużą dostawę cukru.

Pitt uniósł brew. - Cukru?

- Cukier - pospieszył z wyjaśnieniem dyrektor - jest często wykorzystywany jako domieszka do heroiny. Towar, zanim trafi do rąk klienta, jest doprawiany cukrem najpierw przez hurtownika, a potem przez detalistę, dzięki temu zasadniczo zwiększa objętość.

Pitt zastanawiał się przez chwilę. - A zatem sto trzydzieści ton to był tylko początek?

- Byłoby początkiem - odparł Zacynthus - gdyby nie ty, stary przyjacielu. Tylko ty przejrzałeś plan von Tilla. Gdybyście z Giordino w odpowiednim momencie nie zjawili się na Thasos, mniej więcej w tej chwili, tkwiąc w Chicago ślalibyśmy sobie joby obcy i na kopach wnosili jeden drugiego do jeziora Michigan.

- Złóż to na karb szczęścia - zaproponował z uśmiechem Pitt.

- Jak go zwał, tak go zwał - odparował Zacynthus. - Sprawy stoją natomiast tak, że na oskarżenie czeka w tej chwili trzydziestu największych importerów w kraju oraz wszyscy mający jakikolwiek

związek ze spółką transportową, zajmującą się rozwożeniem towaru. Ale to tylko połowa całej historii. Przeszukując biuro wytwórni konserw znaleźliśmy notes z adresami niemal dwóch tysięcy odbiorców z Nowego Jorku i Los Angeles. Nagle biuro znalazło się w położeniu poszukiwacza złota, który trafił na macierzyste złożo.

Giordino gwizdnął przeciągle. - Ćpunów czeka trudny rok.

- Fakt - zgodził się Zacyntus. - Skoro główne źródło dostaw kompletnie wyschło, a lokalne służby policyjne po kolei zwijają hurtowników i detalistów, narkomanów czeka największa plaga głodu od dwudziestu lat.

Pitt wbił w okno nie widzące spojrzenie. - Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział.

- Tak? - Zacyntus podniósł głowę.

Pitt przez chwilę obracał w dłoniach laskę. - Co się stało z naszym starym druhem? Nie widziałem w gazetach żadnych wzmianek na jego temat.

- Zanim odpowiem, popatrz najpierw na to - Zacyntus wyjął z szuflady i położył na biurku dwie fotografie.

Pitt pochylił głowę i obejrzał je uważnie. Pierwsza przedstawiała jasnowłosego mężczyznę w mundurze niemieckiej marynarki wojennej. Rozluźniony, z dłońmi na zwieszającej się z szyi lornecie, stał na mostku okrętu i spoglądał na morze. Twarz na drugim zdjęciu obdarzyła Pitta znajomym grymasem wygolonego do gołej skóry Ericha von Stroheima; na dolnej części fotografii przeżył się do skoku wielki biały pies. Wspomnienia - aż nadto żywe - sprawiły, że Pitta od stóp do głów przebiegł dreszcz.

- Chyba nie ma tu zbyt wielkiego podobieństwa - zauważył.

Zacyntus skinął głową. - Admirał Heibert odwalił robotę godną najwyższego podziwu. W stosunku do charakterystyki von Tilla zgadza się wszystko - blizny, znamiona, nawet plomby w zębach.

- A odciski palców?

- I tu nie sposób niczego udowodnić. Nie istnieją w archiwach odciski palców prawdziwego von Tilla.

- Więc skąd możemy mieć pewność... - zapytał stropiony Pitt.

- Niepożądany szczegół - odparł powoli Zacyntus. - Bez względu na skalę i staranność przygotowań, przestępca zawsze wpada za sprawą nie dostrzeżonych szczegółów. W wypadku Heiberta takim drobiazgiem był czerep von Tilla.

Pitt pokręcił głową. - Chyba nie rozumiem.

- Von Till złapał w młodości chorobę skórą, zwaną Alpecia areata, która powoduje całkowite wyłysienie. Heibert jednak o tym nie wiedział. Sądząc, że na modłę pruską von Till goli czaszkę na zero, wziął się, rzecz jasna, za brzytwę. Facetom z komisji nie trzeba było wiele czasu, aby dostrzec odrosty. Oczywiście, później znalazły się kolejne dowody potwierdzające tożsamość admirała Heiberta, ale włosy były pierwszym gwoździem do trumny.

Pitt doznał nagle niedookreślonego uczucia ulgi przemieszanej z satysfakcją. - Więc już zadyndał?

- Cztery dni temu - odparł rzeczowo Zacyntus. - Nie znalazłeś w gazetach niczego, bo nic w nich nie było. Niemcy wszystko wyciszyli. Mają po uszy wypominania sobie faszystowskiej przeszłości przy okazji każdego wykurzonego z jamy zbrodniarza wojennego. Poza tym Heibert nie był równie sławny jak Bonmann czy kilku innych akolitów Hitlera.

- Człowiek zaczyna się zastanawiać, ile jeszcze tej swołoczy pałęta się po świecie.

Zadzwoił telefon na biurku i dyrektor podniósł słuchawkę. - Tak... tak, przekażę te wspaniałe

nowiny, dziękuję. - Odłożył słuchawkę na widełki i z szerokim uśmiechem na ospowatej twarzy zwrócił się do admirała Sandeckera: - Dzwonił pański sekretariat, admirałe. Niech pan pozwoli, że będę pierwszym, który złoży gratulacje.

Sandecker przetoczył cygaro z jednego kącika ust w drugi. - Z jakiego powodu, do jasnej cholery?

Dyrektor, wciąż uśmiechając się od ucha do ucha, wstał i położył dłoń na ramieniu Sandeckera. - Pańskie morskie kuriosum okazało się żyworodną samicą. Właśnie został pan dumnym tatusiem małego, rozhasanego Filuta.

Kiedy Pitt wykuszykał na chodnik, upalna duchota nieco zelżała, słońce zaś kładło coraz dłuższe cienie późnego popołudnia. Pitt przystanął na moment i rozejrzał się dokoła: okoliczne budynki wypływały ze swoich trzewi rzeszę pracowników, a w miarę jak pustoszały - gęstniał ruch na ulicach. Potem przeniósł spojrzenie na daleki gmach capitolu, którego biała kopuła zaczynała gorzeć złotem w blasku zachodzącego słońca; ten widok przywiódł Pittowi na myśl tamtą odległą plażę, roziskrzona fale morskie i biały statek... To wszystko sprawiało wrażenie historii, od której oddzielała go niemal wieczność.

Zacynthus i Giordino zeszli po schodach, a kiedy dołączyli do Pitta, Zacynthus powiedział rubaszenie: - Skoro jesteśmy bez wyjątku samotnymi i wesołymi mężczyznami bez zobowiązań, sugeruję, byśmy połączyli siły, ulegając wspólnie pokusie zabawy, a nawet swawoli.

- Ja to kupuję - oznajmił ochoczo Giordino.

Pitt wzruszył ramionami w udanej rozterce. - Serce mi pęka, ale nie mogę przyjąć twego zaproszenia. Mam wcześniejsze zobowiązania.

- Cholera, znowu ja - jęknął Giordino.

Zacynthus parsknął śmiechem. - Popelniasz ogromny błąd, bo tak się akurat składa, że jestem szczęśliwym posiadaczem czarnego notesiku z namiarami najpiękniejszych w Waszyngtonie... - Urwał w pół słowa i z głupawą miną zagapił się na ulicę.

Przy krawężniku zatrzymał się monstrualny czarno-srebrny wóz. Elegancki w liniach, majestatyczny w całości, sprawiał wśród nowoczesnych aut wrażenie królowej, która zabłąkała się pomiędzy cuchnący plebs. Akcentem zaś dopełniającym jego świetności czy może raczej clou całego programu była siedząca za kierownicą ciemnowłosa dziewczyna.

- Dobry Boże - westchnął Zacynthus. - Maybach von Tilla.

Skąd go wzięłaś?

- Zwycięzca bierze wszystko - uśmiechnął się chytrze Pitt.

Giordino uniósł brew. - Teraz rozumiem, co miałeś na myśli mówiąc o wielkim suwenirze. Mógłbym tylko dodać, że ten drugi też mu w niczym nie ustępuje.

Pitt otworzył przednie drzwiczki. - Chyba znacie, panowie, mojego czarującego szofera.

- Przypomina mi jedną dziewczynę, którą znałem w Atenach - stwierdził z uśmiechem Giordino. - Tyle że jest dużo ładniejsza.

Dziewczyna wybuchła śmiechem. - Chcąc ci dowieść, że pochlebstwo się opłaca, wybaczam ci ten okropny galop, jaki zafundowałeś mi w labiryncie. Ale następnym razem uprzedź mnie zawczasu, żebym zdążyła wciągnąć na siebie coś przyzwoitego.

Giordino wyglądał na szczerze zafrasowanego. - Obiecuję.

Pitt, z wesołością w oczach, zwrócił się do Zacynthusa: - Zrób mi pewną przysługę, dobra, Zac?

- Jeśli będę mógł.

- Chciałbym na parę tygodni zagwarantować sobie usługi jednego z twoich agentów. Sądziś, że mógłbyś to załatwić?

Zacynthus popatrzył na dziewczynę i skinął głową. - Chyba tak. Biuro ma wobec ciebie przynajmniej taki dług.

Pitt zajął miejsce na siedzeniu i zamknął drzwiczki. Potem podał Giordino swoją laskę. - Trzymaj, chyba nie będzie mi już potrzebna.

Zanim Giordino zdołał wymyślić stosowną odpowiedź, dziewczyna zwolniła sprzęgło i wielki wóz włączył się do ruchu.

Giordino odprowadzał wzrokiem wysoki dach maybacha aż do chwili, gdy auto zniknęło za odległym rogiem, a potem spojrzał na Zacynthusa. - Jak ci wychodzą eskalopki z pieczarkami w sosie z białego wina?

Zacynthus pokręcił głową. - Obawiam się, że mam dyplom tylko z mrożonych dań.

- W takim razie możesz postawić mi drinka.

- Zapomniałeś, że jestem tylko biednym urzędnikiem na państwowej posiadzie.

- No więc wpiszesz mnie w rubrykę: wydatki reprezentacyjne. Zacynthus daremnie usiłował zachować poważny wyraz twarzy. Potem wzruszył ramionami. - Myślisz?

- Jasne.

Ku rozbawieniu przechodniów, ramię w ramię, wysoki Zacynthus i maleńki Giordino, którzy wyglądali jak Pat i Pataszon, pospieszyli w stronę najbliższego baru.

KONIEC